





KRZYŻACY.



# KRZYŻACY

1410.

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ego te baptizo in gladio  
*Godło krzyżackie.*

TOM II.

INSTYTUT

BADAŃ ILEKONNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-250 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKLAD SEBETHNERA I WOLFFA.

1882.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 15 Апреля 1881 года.

---

W Drukarni J. Bergera, Elektoralna Nr. 14 w Warszawie.

*1686*  
<http://fdn.org.pl>

Krzyżacy byli już o kilkoro staj od obozu polskiego, gdy ich strażę postrzegły... i Hanko pobiegł do króla. W mgnieniu oka rozeszła się wieść po całym wojsku: Nieprzyjaciel tuż! i w mgnieniu oka zaczął się lud, choć nie wołano jeszcze, do boju szykować. Czeladź powłaziwszy na drzewa, które na polu stały, mogła z nich dojrzyć lepiej, nietylko szyszaków i proporców, z za krzaków i zarośli wyglądających, ale całych zbroi, szyków i taboru, który stał pod wsią Grünwaldem.

Litewskie wojsko na prawém skrzydle sam Witold natychmiast sprawił, nie czekając rozkazów i kazał mu się nieco naprzód dla wygodniejszego posunąć stanowiska. Zyndram Maszkowski biegł do swoich chorągwi. Jedni co byli zbroje dla skwaru podpinali, drudzy co je wieźli i nieśli, poczęli co żywiej okrywać się niemi. Wiele kopij było na wozach, więc i po te śpieszył kto w Boga

wierzył, bo serce wielkie mieli wszyscy do spotkania z Niemcami, a ochotę i niecierpliwość niezmierną.

Dziwnym cudem, wśród pośpiechu tego zamieszanie się nie wznieciło, a nieprzyjaciel, który wcześniej na stanowisko przyszedł i dawniej był w gotowości, gdyby naówczas na nieprzygotowanych i na niewiedzących prawie o nim, uderzył, niewątpliwieby był zadał klęskę.

Ale w obozie krzyżackim cicho było: nieruchome szeregi czekały. Jagiellowe zaś wojska choć bardzo szybko pod wzniesione chorągwie gromadzić się zaczęły, nie miały rozkazu do poruszenia się naprzód.

Król wszedłszy do kaplicy, spokojnie słuchał mszy świętej, którą ksiądz Bartosz odprawiał z wielką gorącością ducha. Dwóch dworzan króla zbrojnych do mszy służyło. W głębi namiotu stali pisarze, duchowni i kilku starszyny, nieodstępujących króla: reszta przebiegała szeregi i leniwych nagliła do pośpiechu.

Na twarzy króla nie widać było nic oprócz powagi, jaką wrażała chwila, którą wszyscy czuli stanowczą; blady był nieco, czoło miał zasepione, ręce złożył i gorąco zdawał się modlić duchem, choć usta jego się nie poruszały.



Przy podniesieniu upadł król na kolana i głową dotknął aż do ziemi. Właśnie kielich ksiądz do góry uniósłszy, trzymał go w rękach, gdy Witold wpadł w chrzęszczącej zbroi i zbliżył się ku Jagielle.

— Bracie!—zawołał—czas wielki! wychodź! Należy radzić, trzeba uderzyć: jeśli im damy pierwszym począć, biada nam, zgineliśmy.

— Daj mi się modlić!—odparł Jagiełło.—Bogu dnia pierwociny należą.

Witold postawszy chwilę, wybiegł zniecierpliwiony. Przed namiotem stała cała rada wojenna, oprócz Zyndrama.

— Na miłość Boga!—zawołał Szafraniec— a jużby dość było nabożeństwa. Czas płaci, czas traci! Króla gwałtemby wyciągnąć z kaplicy, bo jest o czém inném myśleć. Lada chwila uderzyć mogą.

— Król nie odejdzie z kaplicy, dopóki mszy nie wysłucha—zawołał Witold—żadna go siła nie weźmie: to darmo.

Ruszył ramionami Szafraniec.

— Tak samo jak teraz z modlitwą, będzie z bitwą—przerwał Zbigniew z Brzezia—myślmy, aby się król nie naraził. Obstawić go należy i nie puszczać, bo go potem utrzymać będzie

trudno, gdy raz się do boju puści, a nie jego rzecz bić się, tylko rozkazywać.

— Tak, głowy strzedz należy—zawołał podkanclerzy—wszystko przewidzieć. Któż wie, jak bitwa wypadnie?

— Po ludzku co rozum dyktował uczyniło się—mówił marszałek—rozstawione są po drodze poczty i konie, na wypadek nieszczęścia, aby choć król cało wyszedł, póki my piersiami zasłaniać go będziemy.

— Ja już dłużej pozostać tu nie mogę!—zawołał Witold bijąc zbrojną ręką po żelazie, w które się cały odział—ja muszę śpieszyć do moich.

To mówiąc, wszedł powtórnie do kaplicy. Msza święta, którą kapelan zwolna odprawiał, jeszcze się nie kończyła. Nadchodziła komunია. Jagiełło pochylony bił się w piersi. Witold szepnął mu:

— Bracie! gore! wojsko potrzebuje widzieć cię: śpiesz.

— Nie odejdę bez krzyża i błogosławieństwa—mruknął Jagiełło niecierpliwie.—Czyńcie co chcecie, władzę zdał...

— Ależ to księżowska rzecz się modlić!—zawołał Witold.

— I królewska—dodał Jagiełło spokojnie.

Zrozpaczony niemal wyrwał się Witold z ka-

plicy. Chorągwie widać było ustawiające się do boju. Z poza krzaków, gwałtowny wichur, który nie ustawał i niósł w oczy Krzyżakom pył i piasek z pod koni, powiewał silnie proporcami nieprzyjaciela, które z za zielonych gąszczy przeglądały.

Szmer jak mruczenie strumienia słychać było w szeregach zakonników: odmawiano modlitwę przed bojem. Całym chórem odzywały się niekiedy zakonnym trybem wygłaszane *Responsoria*.

Ze strony polskiej jeszcze się nie odezwała Bogarodzica, wojsko w milczeniu czekało na wodza, ten i ów modlił się pocichu. Wódz modlił się téż, leżąc pochylony na ziemi.

Witold wziął za ramię Zyndrama Maszkowskiego.

— Mieczniku, chodź ze mną; Janie hrabio z Tarnowa, idźcie proszę: razem może więcej u króla zyszczemy. Mnie nie słucha, przypisując mi krew zagorącą.

Weszli wszyscy po trzeci raz do kaplicy. Ksiądz składał dopiero naczynia ofiarne, nie wyrzekł jeszcze: „Idźcie, ofiara spełniona,” nie odczytał Ewangelii ostatniej. Jagiełło klęczał pochylony i zatopiony w modlitwie.

Jan z Tarnowa zbliżył się do ucha jego.

— N. Panie, wszyscy was błagają, pośpiesz-

cie stanąć na czele naszym. Krzyżacy już gotowi, a nie godzi się by uderzyli pierwsi.

— Nie godzi mi się bardziej jeszcze odejść bez błogosławieństwa—odpowiedział król. — Nie pójdę, nie pójdę!

Zdawało się, że ks. Bartosz jakby naumyślnie powoli bardzo mszę czytał, powoli wymawiał słowo każde, obracał się zwolna, zamyślał i stawał modląc duchem. Jagiełło też schylony bił się w piersi i jęczał, jakby z grzechów spowiadał, choć tegoż rana spowiedź już odbywał.

Naostatek wstał król.

Dworscy już przygotowaną trzymali zbroję. Pośepny jak zawsze, ale dziwnie spokojny, postępował z kaplicy ku krzakom, w których mu siedzenie naprędce zgotowano, dla uzbrojenia. Miał król na sobie kaftan i spodnie suknie, ino blach brakło. Pachołęta rzuciły się natychmiast rzymyki i sprzączki opinać.

Zbroję na ten dzień przygotowano lekką, ale z najprzedniejszej stali i pozłocistą. W pośrodku jęć świecił krzyż. Napierśniki, nagolenniki, naramienniki, wszystko było jednakie, roboty przedziwnej i piękne, gdyż rycerz do boju iść musi jako na uroczystość największą, a tam gdzie się święci krew i życie za sprawę Bogu miłą, sercu

drogą, obchodzi każdy dzień swojego kapłaństwa, dzień ofiary, do której przystępuje w białej szacie.

Wszystko téż co otaczało króla błyszczało, wdziawszy najdroższe rynsztunki. Na tarczach widać było stare rodowe znamiona: Topór, Leliwę, Podkowy Jastrzębców, Gryfy Jaxów, Nałęcz krwawe, Róże, Strzały i Lemiesze. Tak samo na hełmach unosiły się dlatego, by widne były zdala żołnierstwu godła herbowne: Kanie Jastrzębców, Pióra, Trąby, Gryfy. Niektóre z nich złoczone połyskiwały świetnie, inne czarnym okryte szmelcem, inne barwami różnemi malowane, służyły za chorągwie i jak chorągwi strzedz ich musiano.

Błyszczały na niektórych pasy rycerskie, inni jeszcze na nie zarabiać dopiero musieli, Na zbrojach co kto miał droższego zawiesił: relikwiarz, obraz, łańcuch, krzyż, bo się nikt dla bezpieczeństwa z dostojnością nie taił, ale owszem, jak najświetniej pragnął wystąpić. Niektórzy poodzielali się w stare żelazne siatki od stóp do głów i pobrali lekkie tarcze, aby lżej im było harcować z nieprzyjacielem; inni konie nawet mieli zbrojami poosłaniane, bo konia każdy strzegł jak siebie.

Szły więc rumaki w stalowych okryciach i nalebkach, a chrapały bój czując, bo koń żołnierski zapalał się jak on do bitwy i nieraz nieprzyjacielskiego gryzł gdy dopadł.

Zbroi różnych tyle niemal było co ludzi, każdy się odziewał jak chciał i mógł, sam o swe bezpieczeństwo dbając i kopii sobie a drzewca lekkiego i mocnego dobiérał. Niektórzy mieli łuki na plecach i strzały, inni po obu stronach siodła miecze proste i krzywe. Tarcze były płaskie i dziobate, żelazne i skórzane od nich nie gorsze.

Dla króla kilkoro stało koni gotowych. Szyzaka jeszcze nie kładnąc, siadł Jagiełło nie patrząc na pierwszego co się nastęczył i jechał.

Jeden z dworzan niósł hełm biegnąc za nim, drugi, Zbigniew Czajka, złoconą włócznię królewską.

W orszaku króla, z małym proporczykiem pańskim, jechał Mikołaj Morawiec z Kunoszówki Powąła. Pozostali przy nim Ziemowit Mazowiecki siostrzan, Fedko kniaź i Zygmunt Korybut synowcowie, podkanclerzy Mikołaj, Zbiszek z Oleśnicy Dębno, Jan Mężyk, Czech Żoława i wielu komorników.

Witolda już utrzymać nie było można, bo konie zmieniając, nieustannie szyki przebiegał.

Jemu i wielu innym zdało się wszystko straconém, wojsku jeszcze nie otrąbiano hasła, król zwłóczył i lada chwilę Krzyżacy uderzyć mogli; Jagiełło tymczasem na wzgórze jechał, z kąd cały obszar przez oba wojska zajęty widać było dość dobrze. W prawo sterczały nad gąszczami różnobarwne chorągiewki litewskie i ruskie, które najwięcej naprzód wysunięte były.

Po twarzach panów rady i Zyndrama Maszkowskiego znać było jak boleli nad zwłoką; lecz Jagiełły niczem do pośpiechu skłonić nie było podobna. Jechał zwolna i jakby z obojętnością, pewny zwycięstwa, czasu nie mierząc wcale. Co raz obijały mu się o uszy naglące prośby dowódców: zdawał się ich nie słyszeć.

Gdy się to działo, chorągiew z trzechset Czechów najemnych złożona, ku tyłowi posunięta stała. Tu właśnie za nią jeńcy krzyżaccy trzymani byli pod strażą, między którymi Brochocki Ofkę kazał umieścić, a za nią ks. Jan poszedł. Że dziewczęciu dodano dla straży starego żołnierza, który pod Dąbrownem rękę miał kamieniem z murów puszczonego zgniecioną, ks. Jan, który ani mógł, ani chciał teraz czynić jęj wyrzutów, spoglądając zdala na szykujące się wojsko, gorąco począł się modlić. Oczy jego od tego widoku

przygotowań do walki oderwać się nie mogły. W całym obozie zdawał się jeden duch panować: rwał się żołnierz, szarpały niecierpliwie konie, a wiatr dmący z tyłu, chorągwiami naprzód mიაտա, jakby niemi drogę pochodu wskazywał.

Trębacze królewscy stali gotowi, przy ustach trzymając trąby swe, a znaku nie dawano.

Z obozu też krzyżackiego nie słyhać nie było, oprócz chrzęstu zbroie i rżenia koni.

Stary żołnierz z ręką przewiazaną, który miał Ofki pilnować, nie mogąc iść z drugimi, duszą przynajmniej był z nimi. Gorzały mu oczy, otworzył usta i spiąwszy się na osmoloną kłodę, starał się dojrzec swęj chorągwi, którą musiał opuścić.

Nie bardzo się troskał o chłopaka oddanego w dozór, bo wiedział dobrze, iż takiej chwili ujść nie może. Ofka korzystając z tego, dawno się rozglądawszy już, gdzie stali, najrzała Czechów, których chorągiew tuż prawie czekała. Wiedziała ona, że między nimi byli tacy, co przyrzekli, iż bić się nie będą. W sercu jęj ta potęga nieprzyjaciela, której widziała i czuła przewagę, obudzała gniew, który łzami tryskał z oczów. On to ją skłonił do niebezpiecznego a śmiałego kroku,



który z zuchwalstwem niewieściem spełnić postanowiła.

Dowódzca Czechów nieco wysunąwszy się naprzód, stał niedaleko.

Dziewczę obejrzawszy się i postrzegłszy, że ją nie śledzą, pomknęło ku niemu.

Z konia swego spojrzął dowódzca na słabe pacholę z ciekawością. Twarzy mu z pod hełmu niewiele widać było.

— Hej! — zawołała Ofka — dobry będziecie mieli taniec, miłościwi panowie. O! zaprawdę! nie łącna to rzecz, drugi podobny zobaczyć; po obu stronach was Czechów przynajmniej równa siła, brat z bratem walczyć będzie i brat brata zabijać! Rozkosz na to patrzeć, jak się rzezać będziecie.

— A ty zkąd o tém wiesz, chude ptaszę? — zawołał Czech.

— Alboż nie widzicie, że do jeńców należę, że choć ciało moje tu, serce moje tam!

Wskazała ku Krzyżakom.

— Wiem ja — dodała, i więcej jeszcze — wiem i to, żeście wzięli złoto i przyrzekli i poprzysięgli, iż się przeciwko krzyża bić nie będziecie!

Wstrząsł się dowódzca i zbroja na nim chrzęsła, zdawało się, że za miecz pochwyci. Obejrzał się dokoła, czy kto go nie słucha.

— Któż ci mówi, że my się bić będziemy? — rzekł cicho.

— A po cóż stoicie w szeregach, po co w oczach nieprzyjaciela je zwiększacie?

Zmleczal zagadnięty, głowę spuściwszy, potem popatrzał na szebioczącego chłopca.

— Zkądś ty? — zapytał.

— Ze dworu Wielkiego Mistrza! — odparło śmiało dziewczę. — Zakon mocen i silny jest, i pomścić się potrafi. A kiedyż wam łatwiej ujść, jeśli nie w téj chwili gdy wojsko całe w szeregu oczekuje hasła, gdy nikt was gonić nie będzie śmiał, ani mógł? Dlaczego nie korzystacie z tego. Droga wolna, idźcie precz ztąd! Idźcie jakeście dali słowo.

Czech uskoczył z koniem w bok ku swoim. Ofka została w miejscu, patrzyła tylko nakazującym wzrokiem. Zdawało się, że Czesi obradowali między sobą, zebrała się ich kupka i żywo rozprawić poczęli. Jeden konia w tył nawracał, drugi parł naprzód. Trwało to dobrą chwilę, gdy Ofka ujrzała, że Czesi ruszają nie pytając nikogo i ciągną w tył niepostrzeżeni.

Dumna tém co się jój zdawało dziełem własnym, uskoczyła wnet na dawne miejsce.

W istocie garść ta ze trzechset ludzi złożona, wprzód jeszcze nim otrąbiono hasło, poczęła uchodzić i odbiła się na kilkaset kroków, gdy Mikołaj podkanclerzy postrzegł ją w pochodzie.

Domyślając się zdrady, podbiegł co żywiej.

— Co czynicie! co to jest? ustępujecie w chwili bitwy?

Dowódzca zmieszał się.

— Żołdu nam nie wypłacono! — krzyknęli niektórzy.

— Fałsz to jest — z oburzeniem przerwał ks. Mikołaj — kłamstwo i zdrada! Wiem, że żołd z góry otrzymaliście na rękę, ale podli najemnicy cofacie się przed niebezpieczeństwem. Jeśli nie odebraliście żołdu, dlaczegóż nie żaliliście się przed królem, przed nami? a dopiero gdy hasło dać mają do boju, zajęcze serca w tył was niosą. Idźcie — dodał podkanclerzy z gniewem — idźcie, na takim żołnierzu nie zależy nam nic; lecz jeśli was dognają, a w pień wysieką jak zdrajców, słuszny to będzie żołd za podłość waszą.

Słowy temi wstrzymani Czesi, stanęli. Niektórzy głośno krzyżeć zaczęli i na dowódcę się rzucać z mieczami dobytymi, inni chcieli go bronić. Zmieszała się chorągiew cała i zwinęła w kłęb, który chwilę zdawał się chcieć między sobą bój

rozpocząć, aż większa jej część napowrót konie zwróciwszy ku obozowi biedz zaczęła, a kilku co oporni byli, za większością ciągnąć musieli, choć nie radzi.

Mikołaj podkanclerzy śpieszył też do króla, choć ani jemu, ani nikomu z otaczających o Czechach mówić nie chciał. Król w otoczeniu panów poglądał jeszcze z góry na szyk bojowy. Na prawém skrzydle u Witolda ruch się już poczynił, w środku chorągwie nieruchome jeszcze, czekały ostatniego hasła.

Na samym przodzie szła wielka chorągiew ziemi krakowskiej, najwspanialsza ze wszystkich i najdzielniejszém rycerstwem obsadzona, żołnierz stary, wyćwiczony, chłodny, a niezłomny. Sam wódz wszystkiego wojska ją prowadził, *słoneczny* pan, jak go tam zwano (bo w tarczy miał słońce złote) Zyndram z Maszkowie. Niósł znak Marcin Półkozic z Wrocinowie i tu stało czoło rycerskie, dziewięć jako jeden mężów, z którymi o pierwszeństwo nikt walczyć nie mógł; Zawisza Czarny z Garbowa, Floryan Jelitczyk, Domarat Grzymała, Skarbek z Góry, Paweł Niesobia, Jan Nałęcz, Staszko Sulima, Jaxa Lis.

Chorągiew gończą prowadził pan Andrzej z Brochocic, w której też mężowie byli dzielni

i poczty doborowe; dalej szła nadworna, także obsadzona rycerstwem najlepszym, potem Świętego Jerzego z takim samym znamieniem jak krzyżacka, pod którą szli Czesi, Sokół i Zbislawek, ale nie ci co z pola uchodzili; za nimi chorągwie ziem i rodów, bo nie było ani jednego szlacheckiego godła, coby chorągwi swój tu nie miało.

Na końcu szła zbierana drużyna zaciężnych Gniewosza z Dalewic, podstolego krakowskiego, a było ich wszystkich pięćdziesiąt sownie osadzonych, pięćdziesiątą pierwszą wiódł Zygmunt Korybut, czterdzieści z okładem Witold z bojarami swemi.

Na samo spojrzenie, linia bojowa jak ława ludzi żelazem okutych, kopiami najeżona — groźną była i zdawała niepożytą. Na wszystkie strony, kędyś okiem rzucił, błyszczała stal, chrzęszczało żelazo, ale głosów ludzkich słyszeć nie było prawie; szmer ledwie cichy jak modlitwa, unosił się po nad tym tłumem, którego serce biło oczekiwaniem.

Wedle rycerskiego zwyczaju, król który już na koniu siedział, począł młodzież wybraną na rycerzy pasować. Zbiegło się ich i napraszało wielu tego zaszczytu, gdy inni mocno byli przeciwni całemu obrzędowi, nową za sobą pociągającemu

zwłokę. Nie odbywał się téż jak w innych razach z ceremonią rycerską, ale z pośpiechem wielkim, tak, że ledwie król mieczem dotknąć miał czas, a było tego dosyć. Pas już opiął kto mógł i miał, a śpieszył do szeregów, aby go ochrzcić w boju.

Wojska chociaż się nie widziały jeszcze, bo za-rosła, szeregi jedne drugim zakrywały, czuły się wzajem i oczekiwanie to niecierpliwość, a zjadłość mnożyło. Pod wsią Grünwaldem, gdzie Krzyżacy dalej się podsunęli, już kilku wytrzymać nie mogąc, wybiegło na harce i skruszyli pierwsze kopie, ale ich starszyzna pohamowała, czekając, aż król sam da znak do boju. W niektórych szeregach stojąc długo, poczęli się domagać hasła, ale ich do milczenia zmuszono. Król zdawał się ociągać. Myśli jego trudno było odgadnąć, być może, iż pragnął zaczepki dla uspokojenia sumienia, być może, iż natchnienie jakieś miał godziny i chwili.

Siedząc na koniach, podawało sobie rycerstwo żelazne dłonie, przysięgając: — umrzeć, lub zwyciężyć.

Napróżne były nalegania na Jagiełłę, nie odpowiadając na nie, poglądał, liczył, ważył, rozchmurzał się, zdawał ożywiać i znowu bladł i serca zdawało mu się braknąć. W istocie nie na męztwie zbywało, lecz świętego tego rycerstwa

żał mu było, jako kwiatu wybranego, który mógł paść pod kosą. Dać znak do boju, było to dać wyrok śmierci na tysiące i mogła wzdrygnąć się dusza.

Wyrwujące się już wreszcie z szeregów bliższych wołania o hasło, niecierpliwe i błagające ręce, które wyciągano zewsząd ku królowi, skłoniły go, że do siebie najprzód Mikołaja podkanclerzego powołał. Nie zsiadając z konia, raz jeszcze odbył spowiedź i otrzymał rozgrzeszenie.

Podprowadzono mu wierzchowca dobranego z tysiąca na ten dzień umyślnie. Koń był dzielny, a uchodzony, cisawej maści, z niewielką, ledwie dostrzeżoną łysinką na czole.

Już w siodle, król nareszcie o szyszak, który dworzanie trzymał przy nim, zawołał. Złożony był cały, a srebrny ptak ze skrzydły rozpostartemi z korony nad nim się unosił. Już go w rękę trzymał król.

— Panie podkanclerzy — rzekł — zabierzcie z sobą pisarzy, duchownych, czeladź bezbronną i co jest dworu do oręża niezdatnego, a prowadźcie ich do taborów i tam na mnie czekajcie.

W istocie nalegali panowie i Witold, ażeby król, który za dziesięć tysięcy ludzi stał, do boju się nie mieszał i w obozie bezpieczny pozostał.

Obawiano się go, znając, iż jak z razu powolnym był, tak później poczuwszy ogień w sobie niczém się już hamować nie da. Król dla spokoju słowo dać musiał, iż na uboczu zostanie, ale tego na sobie wymódz nie pozwolił, aby gdy rycerstwo walczyć będzie, on nie widząc nawet, nie wiedząc nic, zakryty i osłonięty miał stać.

Wysławszy podkanclerzego z obietnicą, iż i sam nadciągnie, wcale przyrzeczenia tego dotrzymać nie myślał.

Szyszak brał, aby go na głowę włożyć, gdy komornicy, którzy się z podkanclerzym odejść zabierali, zaczęli wołać, że od Krzyżaków idą posłowie. W istocie zdala już widać było dwóch heroldów, których trębacz wiodąc, wyprzedzał.

Szli odziani zwyczajem wysłanników, z tarczami, jeden z godłem króla rzymskiego, orłem czarnym w polu złotém, drugi z tarczą książąt Szeceińskich, gryfem na białém polu.

Każdy z nich niósł w ręku miecz obnażony, bez pochew, a że oświadczyli, iż do króla w poselstwie idą, wiedziono ich na pagórek gdzie stał Jagiełło.

Odwołano więc co rychlej Mikołaja podkanclerzego i dwór, aby ich okazalój przyjąć. Stanęli obok króla we zbrojach, Ziemowit młodszy, Jan



Mężyk, Zolawa Czech, Zbiszek z Oleśnicy, Bogufał kuchmistrz koronny, Zbigniew Czajka niosący włócznię, Morawiec z proporcem, Daniłko, który strzały za królem nosił, a że Witold już około swoich był, bez niego się obeszło.

Heroldowie niemiecką mieli butę w twarzy i znać po nich było gniew, z którym szli, pychę i jakąś pogardę. Nie bardzo téż niski pokłon oddawszy królowi, ten co z cesarskim orłem niósł tarczę, począł mówić po niemiecku. Jan Mężyk, który język ten rozumiał, musiał go Jagielle tłómaczyć.

— Najjaśniejszy Królu! — rzekł herold cesarski — Wielki Mistrz pruski Ulryk, tobie i bratu twemu, śle przez nas heroldów swoich, te dwa oto miecze w pomoc do zbliżającój się walki, abyś opatrzony w nie, żywiój wystąpił z ludem twym, nie ociągając się do boju. Nie chowajcie się w tych gajach i zaroślach, prosimy na otwarte pole.

Jeżeli W. Kr. Mości miejsca za szeszupło dla rozpostarcia sił swoich, gotów W. Mistrz ustąpić nieco, byle walkę przyspieszyć. Daje wybór miejsca, stańcie gdzie się podoba, byle nie zwlekać bitwy.

W chwili gdy herold to mówił, a Mężyk tłómaczył, znać umyślnie wojsko krzyżackie poruszy-

ło się nieco i dało wolniejsze pole naprzeciw na strzał mały stojącemu.

Wprawdzie w starych obyczajach rycerskich zachodniej Europy, takie przed bitwą wyzwanie na rękę bezprzykładném nie było—i być może, że ociąganie się Jagiełły powód do niego dało. Zuchwały ton, z jakim heroldowie niemal szydersko wyuczoną mowę powtórzyli, oburzył wszystkich. Królowi widomie krew uderzyła na bladą twarz, ale się rychło pohamował; inni kleli po polsku, czego Niemcy nie bardzo rozumieli, choć z miny domyślić się mogli.

Podane miecze wyciągnąwszy rękę, Jagiełło ujął spokojnie, oddając je komornikowi, co stał przy nim; pokraśniała twarz zbladła i z oczów, które ku szykom obrócił, łzy się mu rzuciły obfite.

Nikogo się nie radząc, po krótkim namyśle powołał do siebie Mężyka i mówić począł natchniony, z powagą prawdziwie królewską.

— Dzięki Bogu, w wojsku naszym na orężu nie zbywa, nie potrzebujemy go od nieprzyjaciela pożyczać, ale w pomoc dobrej sprawie, przyjmuję w imię Boże i te dwa miecze wasze, chociaż je wrogowie łaknący krwi mojej i narodu mego przy-  
syłają.

Tu król coraz bardziej wzruszony, jakby na modlitwie oczy w górę podniósł.

— Do tego Boga sprawiedliwego, który dumnych upokarza, do Maryi Matki Jego, do patronów naszych świętych ucieknę się z prośbą i modlitwą, aby na wrogów mych tak dumnych i bezbożnych, którzy niezém się ubłagać nie dają, ani do pokoju nakłonić, ale krew lać pragną, szarpać nasze wnętrzości i miecze tępić na karkach bliźnich, gniew swój obrócili. Ufam Bogu, że mnie i lud ten osłoni, że nie dopuści, abyśmy ulegli przemocy wroga, u którego dopraszałem się pokoju, a nawet w téj chwili na sprawiedliwych warunkach nie odrzuciłbym go jeszcze; jeszczebym rękę cofnął, choć mi Pan Bóg przez was zsyła w tych mieczach dobrą wróżbę zwycięstwa. Wyboru miejsca i pola do bitwy nie żądam, ale jak na chrześcianina przystoi, Bogu polecam. Co Bóg naznaczy, przyjmę. Zuchwalstwo wasze on ukarze, on na tém oto polu, na którym stoimy, zetrze potęgę Zakonu i upokorzy jego dumę. Pomoże Bóg!!

Za królem ozwali się wszyscy głosem wielkim: Pomoże Bóg!!

Słowo to jak iskra piorunowa poleciało aż w szeregi i odgłosem swym obito się o hufce krzyżackie.

„Pomoże Bóg!”

Nadzwyczajną moc ducha okazał król w całej tej chwili, nie dając się unieść ani gniewowi, ani zbytniemu poruszeniu, ani zabobonnej obawie.

Z cierpliwością bezprzykładną, obrócił się jeszcze modląc, do podkanclerzego:

— Heroldów zdać Dziwiszowi Jelitczykowi. Wszyscy do obozu!.. Wytrąbić hasło, w Imię Boże!

To mówiąc, nałożył król, przeżegnawszy się, szyszak na skronie i gromadka dworska objęła go i otoczyła dokoła.

\* \* \*

Nie dopuścili panowie Rady, aby król z którąkolwiek walczył chorągwią, choć się tego Jagiełło usilnie domagał. Osobny mu orszak złożono i osobne a bezpieczne, choć nie dalekie od szeregów wyznaczono miejsce, bo dalej się odsunąć nie dał: tego na nim wyprosić nie było można.

Na hasło pierwsze królewskiego trębacza, które powtórzyli inni po chorągwiach, długo wstrzymywane szeregi zadrżały, ruszyły się, proporce zaszeleściały i z obu stron zarazem puściły się zastępy zbrojne w dolinę.

Mikołaj podkanclerzy szedł wedle rozkazu królewskiego do taboru, gdy pisarze, których za sobą prowadził, poczęli go wstrzymywać prośbami:

— Czyż nie dozwolicie nam popatrzeć! wszakże starcia takiego, sił takich, walki, drugi raz oko ludzkie nie rychło zobaczy. Stańmy tu!

Stanął więc podkanclerzy i dał się zatrzymać nieco na uboczu młodzieży i duchownym, w istocie bowiem, w owym wieku dwukroć stotysięczny zastęp, walczący z sobą, mający rozstrzygać o losach mnogich ziem i krajów, drugi raz nigdzie nie wystąpił, ani z obu stron żadne może rycerstwo takim duchem bojowym zagrzane nie było.

Gdy na całej długiej linii bojowej ruszył się lud z obu stron na koniach ciężkich, w zbrojach cały, zdawało się, że ziemia drży pod nim. Tumany kurzawy podniosły się z pod kopyt, lecz silny wicher rzucił je na Krzyżaków. Chrząst zbroi, okrzyki, tysiące głosów nucących bojową „*Bogarodzicę*,” wystrzały z dział z obu stron, zwały się w straszliwy jakiś grzmot zniszczenia.

A gdy na całej linii téj w dolinie tysiące kopij rozbiło się o tysiące zbroi i młoty żelazne uderzyły po hełmach, huk i łoskot rozszedł się na kilka mil wkoło. Z trwogą usłyszeli go mieszkańcy po lasach i siołach. Były to dwie

siły: ludzka i Boża, ścierające się z sobą, aby w potokach krwi wykwitła sprawiedliwość i powsta nad grzesznemi.

Król i cały orszak jego patrzył osłupiały.

Żaden z szeregów nie został złamany, popadały konie, obalili się ludzie, ale ściśniony tłum na ciałach ich walczył zażarcie, z gniewem, z wściekłością niewysłowioną...

Gdy las włóczni potrzaskanych zawałił ziemię, młoty i siekiery i miecze poczęły kuć po zbrojach.

Szczęk jakby olbrzymiej kuźni, zmieszany z krzykiem bólu i tryumfu, zgonu i zemsty, to wstrząsał powietrzem, to na chwilę przycichał, aby z wzmożoną siłą się powtórzył.

Nawała Jagiełłowych chorągwi, które puściły się z góry, była tak silną, że pchnęła nieco zastęp białych rycerzy; lecz nie złamano szeregu i każdy z wojowników miał przeciwko sobie zbrojną rękę i żelazną ścianę. Konie chwyciły się za grzywy i wizgiem zwierzęcym wtórowały ludzkiemu.

Dla patrzących zdala, te tysiące, które sprzęgła namiętność do śmiertelnej walki, wystawiały obraz zgrozy przerażający. Duchowni poklękali modląc się, słabsi zamknęli oczy, by nie widzieć tego obrazu, radzi zatulić uszy, aby ryku tego nie słyszeć.

Nie byli to już wojujący ludzie. Cały ten wał ruchomy wydawał się potworem jakimś z ciała i żelaza złożonym, wijącym się we wściekłych z sobą samym zapasach.

Tu pod oczyma króla, kwiat rycerstwa stawik czoło najprzedniejszemu z całej Europy zebranemu i dotrzymywał mu placu boju, cześć czyniąc swoim znakom.

Inaczej poszło z czterdziesto-tysięcznym wojskiem, które prowadził Witold. Szybko stanęło ono do boju, uderzyło raźnie; ale o żelazny mur i kopie krzyżackie rozbić się musiało, zachwiało i nie wytrzymało ciosu. Tu uzbrojenie było niedostateczne. Bojary i kniaziowie prowadzili lud silny, ale mało zbrojny i wcale do boju rycerskiego nie nawykły. Kopie były krótsze i słabsze, nie dościgały więc nieprzyjaciela, gdy ten już swojemi parł i gniótł piersi.

Jeszcze wojska Jagiełły nie ustępując kroku, zciąwszy się z Krzyżakami trwały w walce mężnie, gdy główne szyki Zakonu zwróciły się ku Litwie. Wiedział Ulryk, że tu słabszy znajdzie opór. Szeregi, w których pierwszymi ustawiono najdzielniejszych i najlepiej zbrojnych, zachwiały się i cofać poczęły.



Tu więc wyteżono usiłowania, aby oskrzydlić wojsk resztę. Tatarzy, którzy w pierwszej tylko napaści są straszni, pierzchać poczęli wedle obyczaju swego, ciągnąc za sobą pułki Witoldowe. Napróżno sam książę zastępował z tyłu pierzchającym i zmuszał ich do boju powracać; popłoch jaki się wszczął, niczém nie mógł już być pohamowany. Jeden po drugim uchodziły oddziały całe, ginęły chorągwie, złamany szyk dawał Krzyżakom przystęp, tak że Witold zrozpaczony, sam własnych ludzi zabijał, nie mogąc ich opamiętać.

Jedni Smoleńszczanie dotrzykali placu, reszta pociągnięta przykładem Tatarów, z częścią Polaków nawet, ku lasom uciekać zaczęła, a Krzyżaków oddział znaczny, sądząc, że już otrzymali zwycięstwo, w pogoń się puścił za uchodzącymi, siekąc i mordując po drodze.

Z pagórka, na którym stał Jagiełło, widać było z jednej strony walkę upartą, z drugiej klęskę mogącą za sobą pociągnąć niepowetowane straty.

Tumany kurzu uchodzące ku lasom, znaczyły drogę rozpierzechłych pułków Witoldowych.

Chwila to była straszliwa, w której męstwa i nadziei, nawet Jagielle, ufającemu w pomoc Bożą, zabrakło. Zakon zdawał się odnosić zwycięstwo,



hufce jego z prawej strony wybiegłszy za Litwą, okalały już wojsko. Trwoga ogarnęła tych co przy królu stali.

Pod wielką chorągwią, jak mur stali towarzysze Zawiszy Czarnego i Zyndrama; tu było serce wszystkich: tu albo mogła podźwignąć się jeszcze nadzieja, lub zrodzić rozpacz. W chwili gdy król i stojący przy nim zwrócili oczy na wielką chorągiew, którą niósł chorąży krakowski Marcin z Wrocimowic, pochyliła się ona, zachwiała, zwinęła i znikła. Jęk dał się słyszeć w orszaku królewskim. W niewielkiej odległości, jakby tryumfująca, powiewała wspaniale chorągiew Mistrzowska z krzyżem czarnym i złotym.

Gdy Jagiełło oczy zamknął, aby tego sromu nie widzieć, okrzyk dał się słyszeć wkrótce; otworzył je i ujrzał znowu krakowski proporzec wyprostowany nad hełmami rycerzy. Kupka ta, która stała około chorągwi, jakby chwilową jej stratą zagrzana do nowego wysiłku, rzuciła się z niepohamowaną potęgą naprzeciw stojącym Krzyżakom. Przez chwilę sparły się zbroje i piersi, łamały hufce i gięły szeregi, aż białe płaszcze padać i uchodzić zaczęły. Chorągiew Mistrza obalono, proporzec Jagiełły ścigał już uciekających. Reszta wojsk zagrzana przykładem, z okrzykiem

cisnęła Krzyżaków tracących serca i głowy. Zwycięstwo przechyliło się na stronę Jagiełły.

W tej chwili właśnie, ci co ścigali uchodzącą Litwę, wracać zaczęli z jeńcami, łupem i pieśniami zwyciężkami, przychodząc na plac, gdy wojsk reszta szła w rozsypkę. Musieli więc rzucić swych więźniów i tabor, śpiesząc w pomoc braci.

Na chwilę czeskie pułki zaciężne i niemieccy goście wstrzymali pogoń i przedłużyli walkę... znowu los bitwy zdawał się niepewnym.

Jagiello patrzył. Kilkakroć niecierpliwym zrywał się do boju i chciał iść z drugimi, bezczynność go męczyła; krzyczał i w miejscu konia swego męcząc, ludzi rozpychając, napróżno chciał losy wojska podzielać. Dworzanie chwyтали konia i zastępowali mu drogę.

Walka jeszcze zacięta trwała w dolinie, gdy szesnaście chorągwi krzyżackich stojących z boku i nie mających udziału w bitwie, rozwinęło się nagle, i część ich postrzegłszy orszak królewski na wzgórzu, skierowała się ku miejscu temu. Widocznym było, iż wiedzieli o Jagielle i pochwycić go chcieli.

Postrzegłszy to król, krzyknął na Zbiszka z Oleśnicy:

— Bież po chorągiew nadworną, niech ciągną a żywo, przecież i my beczynni nie będziemy!

Chorągiew ta stała w bliskości na rozkazy króla.

Zbiszek nadbiegł, wołając na nich, aby szli Jagiełłę osłaniać, gdy przeciwko niemu wyskoczył z szeregów Mikołaj Kielbasa Nałęcz, z przedniej straży i szablę nawet nań podniósł.

— Czyś ślepy! — krzyknął doń — a toć nieprzyjaciel na nas wprost idzie, a ty chcesz, żebyśmy walkę rzuciwszy biegli króla obraniać? Szalony! precz! A toćby była ucieczka sromotna z placu! Tego król nie może chcieć. Wracaj zkądś przyszedł, pókiś cały!

Zbiszek, który był już w pośrodek chorągwi wpadł, wypchnięty i złajany, musiał się nazad cofać i powracać. Lecz nim się to stało, w dolinie do reszty koronne chorągwie Krzyżaków zgmiotły i z placu spędziły.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał Zbiszek powracając — wszystkie rycerstwo zajęte bitwą, nikt już słuchać nie chce; drudzy do bliższej walki się gotują: rozkazy dawać darmo. Do innych chorągwi niema co biegać, bo w zgiełku i wrzawie nikt nie posłyszysz hasła i nikt go nie posłucha. Nie mam co począć!

Król się na Zbiszka namarszczył, lecz nie było rady; dla bezpieczeństwa zaraz, aby oczów nie ściągać, kazano mały proporeczyk, który był rozwinięty, ściągnąć i schować. Stanęli ludzie gotowi na wszystko. Straż przyboczna otoczyła króla końmi i sobą, chcąc go zakryć od oczów, bo hełm i zbroja go zdradzały, a Krzyżacy też dobrze znali Jagiełłę, tak że z postawy go mogli się domyślić.

Najgorzej było z samym królem, który nierad tej niewoli, wyrwał się coraz, za włócznię swą chwycił, konia bódł, aby się przedrzeć przez ludzi, a im walka bliższą była, tém więcej się zrywał.

Zolawa Czech widząc to i lada chwila czując, że im się król wyrwie i puści, pochwycił za cugle cisawego trzymając, aż Jagiełło zniecierpliwiony, rohatyny końcem go trącił.

— Puść, dyable jakiś—krzyknął—puszczaj, bo muszę iść!

I byłby im się wysliznął, gdyby razem wszyscy nie poczeli prosić i błagać, ażeby życia swego nie ważył. Książęta Ziemowit i Korybut stanęli przed koniem.

— Bij, królu, a choćbyś i zabić miał, nie puścimy cię.

Inni toż powtórzyli: król mruczając, z gniewu opamiętał się, choć zrazu był rękę podniósł, jakby siłą się chciał przebijać.

Gdy się to działo w kupce ze strażą przyboczną, z walczących blisko szeregów wyrwał się Niemiec, złotym pasem rycerskim opięty, w białej jubce, cały okryty zbroją, z pod wielkiej chorągwi pruskiej, i puścił się na wzgórze, wprost na króla.

Siedział na dzielnym koniu bułanym, okrytym już pianą i pokrwawionym; schylił się na siodle, włócznie do boku wziął i pędził. Dopiero go naciérającego już niemal postrzeżono.

Owych szesnaście chorągwi stało nieopodal, patrząc, równie jak wojska, które bliżej były, i niebezpieczeństwo w jakim król był dojrzawszy, boju nawet na chwilę poprzestały.

Jagiello włócznie téż podniósł i stał niewzruszony naprzeciw, kazawszy swoim ustąpić, rad, że się nareszcie zmierzy z nieprzyjacielem.

Zbiszek z Oleśnicy stał właśnie z boku, ale jako pisarz, bezbronny niemal, chwycił tylko kawał złamanego drzewca na pobojuwisku i to w ręku trzymał; ale nie mogąc dopuścić, ażeby na króla nędzny jakiś ciura śmiał się porywać, gdy już miał kopią ugodzić Jagiełłę, z boku go owém

drzewcem z całych sił uderzył i zwałił z siodła. Spadła z czoła przyłbica od szyszaka, gdy się staczał, a Jagiełło włócznią w samą głowę go ugodziwszy, zranił, nie chcąc dobijać.

Lecz nim miał czas zawołać, aby go życiem udarowano, straż nadbiegła i w mgnieniu oka zuchwalca na śmierć zasiekła.

Odciągnęły piesze ciury trupa, aby go na boku obedrzeć ze zbroi i odzieży.

Zbyszek stał skromnie z boku, choć królowi życie ocalił, jakby nic nie uczyniwszy, i wstydząc się swój gorącości tylko, gdy drudzy z orszaku poczęli go słać i wynosić.

Jagiełło, który go zawsze wielce lubił i od dawna przy sobie miał, odezwał się téż uśmiechając:

— Należy się Wam pas rycerski, a Bóg widzi i coś więcej odemnie, o czém nie zapomnę!

Ale Zbyszek się skłonił i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie! ja do żołnierzy Chrystusowych należać chcę, nie do tych, co za świeckich walczą panów.

— Lepszą część obrałeś sobie—odezwał się Jagiełło—ale gdziekolwiek cię znajdę, pamiętać o Was będę.

Zaledwie ów napastnik legł, który na króla godził, owe szesnaście chorągwi stojących z boku, postrzegłszy klęskę swoich w dolinie i śmierć tego, który się wyrwał z szeregów, poruszyły się do odwrotu. Dowódzca, który na białym koniu siedział, począł kopią dawać znaki i wołać: *Herum! herum!*

Ze stanowiska Jagiełły nie tylko widać, ale słyszeć ich było można, tak blisko już byli. Stała w prawo chorągiew wielka królewska wracająca z boju po złamaniu nieprzyjaciela, właśnie gdy owi nadciągali ku téj stronie; a że się tu już świeżych sił krzyżackich nie spodziewano, nie poznano idących, témbardziej, że mieli miasto ciężkich kopij, któremi wszyscy prawie Niemcy byli zbrojni, lekkie włócznie do rzutu, *sulice* takie, jakie nosili Litwini.

Wzięto ich więc za Litwę i wahano się, czy uderzyć.

— Niemcy! — wołali jedni.

— Litwa — zaręczali drudzy.

Poczynano się spierać, a tymczasem stali wszyscy dopuszczając ich bliżej coraz. Dopiero Dobiesław z Oleśnicy, aby mitręgi nie było, kopią przyparłszy do boku, puścił się ku nim sam jeden.

Widok był prawdziwie rycerskiego popisu, gdy Dobek z takim sercem na harc wystąpił.

Był ledwie w pół drogi, a tuż z szeregów niemieckich, jeden z dowódców puścił się, konia spiąwszy, przeciwko niemu i lekką swą włócznią podbiwszy mu kopię, przez głowę ją przerzucił. Gdyby nie to, cięższa ale dłuższa Dobkowa włócznia, byłaby Krzyżakowi w szyszak trafiła: szczęściem głowy uchylił.

Kopię straciwszy Dobiesław, musiał sam, przeciw kilkuset za słabym będąc, konia zawrócić i do swoich biędz nazad. Gonił go jeszcze Krzyżak, póki konia kopią nie uderzył i nie okrwawił, poczem do swoich się cofnął. Nie było już wątpliwości, kogo przeciw sobie miały polskie chorągwie, ruszyły więc, choć znużone, na świeżych z okrzykiem i ochotą.

Tu pod oczyma królewskimi powtórzyła się bitwa raz jeszcze, równie zawzięta i krwawa. Stały zrazu jak mur chorągwie nie napoczęte i świeże, długo cisnęli je i parli, póki złamać zdołali, Zawisza, Maszkowski i przednie owo rycerstwo. Niedostał i ten ostatni szyk, a wszyscy niemal nie chcąc uchodzić, walcząc do tchu ostatka, jak stali w miejscu, pozabijając się dali. Zmniejszał się ten hufiec, malał, rosła kupa trupów pod nogami,



w ostatku i ci co najmężniej walczyli z rozpaczą, padli.

Reszta chorągwi, które się były rozpierchły, uciekła w lasy i na pobojuwisku zostali tylko jęczący ranni i ci co już nigdy powstać nie mieli. To pole z rana jeszcze świeżym i mężnym ludem zarosłe, przedstawiało najokropniejszy widok zniszczenia, jaki oko ludzkie i serce mógł dotknąć. Pomimo okrzyków dogorywających rycerzy i zwycięzców, ciszą nazwać było można tę chwilę po rannym grzmocie i huku.

Z wyżyny, na której stał król, obraz ten tryumfem się wydawał; w dolinę zszedłszy, okropnością był i zgrozą.

Nikt jeszcze rozmiarów odniesionego tryumfu rozliczyć nie umiał, otrzymano plac, zmuszono wroga do ucieczki, lecz zwycięstwo nie wydało się z razu tak zupełnym, tak stanowczym, jak się później okazało. Jagiełło Bogu dziękował, coraz się o czémś dowiadując nowym, a niespodzianym.

Kopidłowski Drio przyprowadził Jagielle owego Jerzego Gersdorfa, który chorągiew Ś. Jerzego krzyżacką, we czterdziestu z nią zostawszy, oddał, rzuciwszy się na kolana przed nim, o życie prosząc. Czech Jost z Salcu przywiódł pojmanego Konrada księcia Oleśnickiego; Skarbek — księcia

Kazimierza Szczecińskiego. Co chwila ciągniono kogoś, a tłum wielki w obozie i wozach pruskich plondrował, zabierając łup niezmierny.

Panu Andrzejowi Brochockiemu, który w pierwszym szeregu walczył, przyszło pod koniec do potykania się z rycerzem, co go tarczą swą znęcił. Miał bowiem na niej niemal to samo znamię, którego używali Prawdźice Brohoccy. Puścił się więc nań i dwa razy kopiami się na siebie zmierz yli, nie mogąc ani ich strzaskać, ni z siodeł się wysadzić.

Za trzeciém spotkaniem, Brochocki, który się miał olbrzyma, rzuciwszy kopię, uchwycił za ramię przeciwnika i ściągnął go z konia.

Tu dobywszy miecza, bronić się jeszcze chciał obalony, gdy na piersi mu siadłszy, p. Andrzej go do poddania się zmusił. Gdy słowo od niego wzięwszy, z ziemi go już podnosił, opadła przyłbica rycerzowi i twarz się odkryła młodzieńcza, jak na Niemca nie brzydka, z oczyma bystremi i wyrazem nie wstrętliwym.

Razem z jeńcem podniósł też Brochocki i tarczę jego, pilno się jej przypatrując, co zacz była, że godła jego przypominała. Spytał go kto był, ale zrazu z pobitego słowa dobyć nie mógł. Dopiero do obozu go prowadząc, dowiedział się, że to był hrabia Dienheim, kędyś z nad Renu, gdzie na

zameczku w skale jako drapieżny sokół się gnieździł. Wziął go więc z sobą, a miał tego przyczynę, bo mu owe Dienheimy obce nie były, choć więźniowi się z tego spowiadać nie chciał. Uratował mu tém życie, bo innych wielu Niemców, z którymi ani się rozgadać, ani do ładu przyjść nie było można, wojsko pobiło na placu, ani ich puścić mogąc wolno, ani się nimi chcąc obarczać.

Ks. Jan przez cały czas owéj utarczki, modląc się z podniesionemi rękami, jako arcykapłan, ze łzami do Boga wołał, aby zwycięstwo dał dobrej sprawie; wreszcie znużony samym widokiem tym, padł jako stał na ziemię bezsilny i niemal bezprzytomny.

Ani mógł na powierzoną mu Ofkę zważać, ni téż by ją powstrzymał, gdy po odejściu Czechów, do jeńców krzyżackich z pod Dąbrowna pobiegła.

Stary żołnierz co nad nią miał dozór, wpatrzywszy się w pobojuwisko, tak się walką tą, którą przed oczyma miał, przejął i rozgorączkował, że choć ranny, do najbliższej uszedł chorągwi, w miejscu nie mogąc ustać. Pod koniec zwłaszcza tych zapasów śmiertelnych, wszystkich opanowała owa wściekłość bojowa, dla której człek w końcu o sobie, o życiu i o wszystkiém zapomina.

Ciury i czeladź bezbronna z kijami i drągami, bez mieczów i zbroi, cisnęła się na plac i napadała rycerzy niemieckich, których już męztwo i duch był odbiegł, z jakim rano występowali.

I jako króla samego Jagiełłę, ledwie drogę mu zaparłszy wstrzymać mogli dworzanie jego i bratankowie, tak innych nie powściągnęło nic od udziału w bitwie.

Na wszystkie strony ścigano uciekających, których jasne zbroje świecące przy zachodzącego słońca promieniach, zdradzały. Na wszystkie strony widać było hufce pierzchające i gonitwy za niemi.

Ogromna moc ludu w taborze i wozach pruskich gospodarowała.

W tym zamięcie, gdy się późno obejrzał ks. Jan i Ofkę chciał znaleźć, napróżno o nią pytał i o strażnika jej, nikogo już w swém miejscu, ani wieści o nich nie mogąc dostać. Sądząc więc, że ucieczka byłaby niepodobną i że skuszona ciekawością zabiegła może gdzie dla patrzenia na to straszne widowisko, pozostał w miejscu, czekając co los zdarzy.

Król jeszcze był ze wzgórza nie zjechał, ani też ruszyć mógł, co chwila nowych jeńców i wiadomości otrzymując. Niesiono i wieziono chorą-

gwie, kładnąc mu je pod nogi. Nieopodal od pobojuwiska w Kruczym lesie, kędy czekając na trupa moc wielka czarnego ptastwa wszystkie drzewa była obsiadła, jakby z dalekich ziem na żer dążyła wcześniej poczuty, znaleziono siedm chorągwi krzyżackich w ziemię wetkniętych, przy których oprócz kruków, innój straży nie było.

W obozie wielką moc beczek z winem zrazu wojsko zuużone odbiwszy, kto czém miał czerpiąc, kołpakami, rękawicami, hełmami, piło, gdy Zyndram Maszkowski obawiając się, aby wojsko upojone, siły straciwszy nie rozprzegło się, beczki wszystkie rozbić i wino wytoczyć kazał. Działo się to na wzgórzu nad pobojuwiskiem, tak, że rzeka owego wina, płynąc po krwawych trupach, ze krwią zmieszana, wylała się jak potok samój krwi na łąki Taunenbergu i powieść ztąd między ludźmi urosła, iż tu krew poległych strumieniami się toczyła.

Słońce już było nad zachodem, gdy po raz pierwszy od rana i od owój ucieczki sromotnej, którą odbolał tak srodze, nadbiegł Witold winszując Jagielle wygranėj tak wielkiej.

— Bogu dziękujmy—rzekł król—nie nasza to sprawa, a Jego.

Witold ledwie mówić już mógł ze znużenia, a Jagiełłę, który od ciągłego krzyku ochryplł zupełnie, ledwie posłyszć było można. Kazano zwoływać rycerstwo, lecz rozhukanego żołnierza od ścigania i od plondrowania wśród poległych trudno było odciągnąć.

— Zwycięstwo wielkie—zawołał Witold—ale dla mnie ono tém większe, że dwóch moich zaciętych wrogów w ręce dostał: Salzbacha i Schumberga, dwóch psów niegodziwych, którzy na owym zjeździe nad Niemnem u Kowna, niepoczciwymi językami mnie i matkę moją znieważyli. Moją bym urazę przebaczył, matczynęj nie mogę, a łby ich paść muszą.

To była pierwsza myśl Witoldowa po zwycięstwie—zemście dogodzić, ale mu Jagiełło nie dopuścił tego.

— Nie pozwolę — rzekł — pastwić się nad zwycięzonymi, dosyć za swe mają. Drugi raz ich pokonajmy ludzkością, a łaskawością. Dość Bożej kary i chłosty nad nimi.

Nie odpowiedział nic Witold, ale mu oczy gniewem nabrzmiały.

Z pogoni wreszcie wojsko wracało, i ruszać kazano, jak kto stał, zabrawszy z obozów zdobytych co się dało ocalić, opuszczając pobojowisko

trupem stutysięcznym usłane. Skwar, który jeszcze dopiekał, widok tych ciał bez pogrzebu leżących, a nie mogących być pogrzebionemi, zmuszał dalej ku Malborgowi na noclegowisko się posunąć. Lecz daleko tak znużonego żołnierza wieść nie było podobna, tak że o ćwierć mili zatknięto obóz nowy.

Rozbito dla króla namiot, chociaż téj nocy ani on, ani nikt spoczynku nie miał. Przyprawiano jeńców, znoszono jeszcze proporce, przychodzili z doniesieniami ludzie, a każda wieść nową pociechę niosła.

Zanim namiot rozbito, król z konia zsiadłszy i szyszak zrzuciwszy, jednego przy sobie mając Dobka z Oleśnicy, jak stał, na ziemi legł pod ożynowym krzakiem, dłużej na nogach utrzymać się nie mogąc. Podesłano mu tylko liścia świeżego narwanego u jaworów, które blisko stały. Dopiero po chwili dano mu znać, iż namiot był gotów, a król poszedł zbroję odpiąć i głosem, który ledwie dosłyszć było można, o jedzenie poprosił.

Cały ten dzień na upale, wichrze, w znoju i boju, nikt nic nie miał w ustach, aż po zachodzie słońca dopiero, poczęto sobie radzić, by głód doskwierający zaspokoić.

A tuż chmury, które słońce było rozbiło u zachodu, zebrały się znowu i puścił się dészcz ulewny, który i na pobojuwisku rannych resztę podobijał, bo ich ratować nie było można, a po skwarze nastąpił dojmujący chłód, przejmujące wichrzysko zimne. Rozbijano co żywiej płótna, aby schronić się pod nie od ulewy, ogni nawet dla zwarzenia jadał trudno było zrazu rozpalić. Lecz w sercach pociecha wielka z tego zwycięstwa, za wszystko stała.

W królewskim namiocie mieniali się całą noc ludzie i opowiadania; każdy przynosił swoją przygodę, każdy miał coś do historyi dnia tego dodać. Widzieli niektórzy zjawiska w powietrzu nad wojskiem i jakby unoszące się nad niém postacie; drudzy cudownie życie ocalili, inni na nieprzyjacielu znaleźli bogate łupy. Kto co przedniejszego dostał, królowi niósł i składał, ale najprzedniejszym darem były niezliczone banderia, chorągwie i proporce krwią pobroczone, które ziemię u namiotu zalegały. W zaciętości, jaka po walce długo w sercach wrzała, wielu poległym zakonnikom długie ich brody mieczami porzezano i powiązano niemi jak sznurami chorągwie.

Pogoń co ścięgała uchodzący oddział krzyżacki pod Wilgnowo, i która go tam rozbiwszy, do-



wódcę pojmała, przyniosła głowę jego, bo mąż zdawał się znaczny, i chciano wiedzieć ktoby był.

Gdy za brodę czarną ujawszy ją, niósł Dobek do królewskiego namiotu ten ohydny znak zwycięstwa, napotkał na drodze ks. Jana, któremu ją okazał.

Poznał w niej staruszek tego komtura, który mu w bramie malborskiego zamku nogę skrwa wiwszy, płazem, a później groszem go nagroził. Był to ów Schwelborn, co dwa miecze nosić przed sobą kazał, odgrażając się, że ich do pochew nie złoży, dopóki krwi się nie napiją. Wargi jego zbroczone teraz były, lecz własną.

Już późno w noc, gdy z pamięci liczono poległych, wszedł do namiotu Mszczuj Dunin ze Skrzynna, niosąc w rękę pektorał złoty z relikwiami świętych, na łańcuchu złotym.

— Najjaśniejszy Panie!—rzekł oddając mu go—większe zwycięstwo Bóg dał, niż śmieliśmy się spodziéwać. Noszenie to zdjął Jurga, towarzysz mój, z zabitego rycerza, który innym być nie mógł, tylko Wielkim Mistrzem Zakonu, Ulrykiem, bo są ludzie co je u niego widzieli, a na płaszczu krzyż miał podwójny.

Słyszając to Jagiełło, załamał ręce wzruszony

i potoczyły mu się łzy z oczów. Wziął relikwie i długo niemy trzymał je przed sobą.

— Tak Bóg pysznych karze — odezwał się w końcu.—Padł więc ten, co wczoraj marzył, iż zawojuje ziemie i królestwa i że nas w pęta zwiąże. Cześć i chwała Panu na wysokościach! cześć Ci Boże, coś dumnych zgniótlł i miłosierdzie swe nad nami, a potęgę okazać raczyłeś. Imieniowi Bożemu niech będzie chwała!

— Amen!—szepnęli przytomni.

\* \* \*

Malborgski zamek znowu stał ozłocony promieniami zachodzącego słońca i krwawemi ścianami wznosił się, panując okolicy i miastu, ale dokoła jego panowała jakaś cisza złowroga. Nie był to spokój co zwiastuje dni długie wesela, ale owo milczenie przed burzą, które jest śmierci przeczuciem. Puściój było niż kiedykolwiek: ani zakonnych płaszczów, ani pacholców i knechtów; bramy pozamykane, w dziedzińcach starcy sami i kaleki. Wszystko się wyniosło na obronę granic, na wojnę, na zamki i strażę. Malborg здаwał się zostawiony sam sobie. Mała ledwie garść żołnierza trzymała strażę po wrotach i murach. Kilku księży śpiewało w chórze godziny, kilku

ze służby patrzyło z wież, ażali gdzie nie dojrzy gońca na szlaku.

Co chwila oczekiwano jakiejś wieści, a nigdy zwycięskiego Zakonu bracia i służba nie trwożyli się tak i nie przeczuwali złego. Wiedzieli wszyscy, iż tam się ważyły losy dwóch krajów, lecz ileżto razy wyszedł Zakon zwycięzko z boju, albo go umiejętnie potrafił uniknąć? Nigdy taką trwogą nie były serca jak teraz.

We wrotach pod kaplicą Świętej Anny stał stary knecht na straży. Sparł się na halabardzie i zadumał, patrząc przed siebie osłupiałemi oczyma. Siwa broda w pół mu się zwinęła na rękę, a źrenice bezmyślne, nieruchome, wlepione trzymał gdzieś w dal, której nie widział. Na najmniejszy szelest drgał i oglądał się. Zaczęto dzwonić na wieczorną godzinę w kościele, zamruczał jakąś modlitwę i roztopiła mu się wprędce na ustach—o czém inném myślał.

Wtém, wlokąc się wzdłuż muru o kiju, kulawy, zgarbiony przysunął się żebrak i stanął przed nim. Nie rychło go zobaczył strażnik, a ujrawszy nie zaraz przemówił.

— Słyszałeś burzę nocną??

— A któż lepiej nade mnie, co śpię pod murem w dziurze?—odparł żebrak—całą noc sza-

lone wyły wichry, piorun padał po piorunie, zdawało się, że ziemia spłonie i niebiosa się na nią obalą.

— Mury zamkowe drżały—rzekł strażnik— piorun padł w Gdańską wieżę i spłynął jak potok ognia po murze: czarna smuga po nim została. To nic dobrego nie wróży.

Żebrak spojrział nań.

— Wicher i burza—rzekł powoli, z powagą wielkiego znawcy—wicher i burza, albo szatani duszę wielkiego winowajcy do piekieł niosą, albo na ziemi walka straszna i bój.

— Tak, walka, bój, bitwa. Wszystkie nasze i gościnne chorągwie poszły. Mówią, że Jagiełło uciekł przed nimi, a drudzy, że z siłą ogromną mieczem i ogniem kroczy na nas.

— Któż Zakon zmoże!—westchnął żebrak.— Kto takich panów potężnych, co na całym świecie mają braci i opiekunów, odważy się nawet zaczepić. Chorągwie już pewnie ścigają króla Jagiełłę i kraj jego pustoszą za karę.

— Wyszli całą potęgą, nas tu garść ledwie została, ale zamek nie potrzebuje obrony.

— A ktoby śmiał się nań targnąć!—odparł żebrak.

— Spaleniznę czuć w powietrzu—mówił żołnierz—tehnąć niema czém, na mózgu cięży cós jak ółowiem.

— To na burzę znowu!—odparł żebrak cicho.

— Poszli pod Bratyan, ale ztamtąd musieli pociągnąć dalej—mówił jakby sam do siebie strażnik. Od téj pory żadnej wieści! żadnej wieści!

— Musieli pociągnąć dalej—wtórował żebrak—to i nie rychło z łupami powrócą.

— Niechby choć bez nich a cało!—ciągnął stary.—Żle uczynili, że pokoju nie chcieli. Słali posłów o pokój, czy my mało ziemi mamy!?! było przyjąć. Wiodło się długo, a nuż się noga obśliźnie!

— Toby był koniec świata — mruknął żebrak.—Najświętsza Panna Marya nasza i Święty Jan Patron nie dopuszczą.

Strażnik wzdychał.

Zdała tentent posłyszeli i zwrócili się oba. Na nędznym koniu jechało bose chłopię w koszuli, bez czapki, poganiając szkapę prętem. Zoczywszy strażnika w bramie, przychyliło się nisko z pokłonem i minęło. Nie był to posłaniec, był to pastuszek biedny, co z pola powracał.

— Żadnej wieści! — powtarzał machinalnie strażnik.

Wtém nadszedł mnich krzyżak, z rękami założonemi pod szkaplerz, krokiem powolnym. Stał przed strażnikiem.

— Przybył kto?—spytał.

— Nikogo nie było!

— Żadnej od naszych wieści?

— Niéma nic: cicho.

— Czegóż niespokój ogarnia. Na ołtarzu dziś świece gasły same, napróżno je zapalano: zły znak.

— Widziałem ogromne stada kruków ciągnące tam!—wskazał ręką—za naszymi: i to znak nie dobry.

— Niech Pan Bóg złe odwróci — szepnął mnich—modlić się trzeba.

Pokiwali głowami, żebrak stał i milczał.

— Nie chciałem ja to mówić—odezwał się cicho—bo nie warto, ale sen miałem brzydki, gdym po burzy usnął... Śniło mi się, że widział w polu dwieście płaszców z krzyżami leżących, po których dzicz płasała.

— Sny się naodwrot tłómaczą—odezwał się strażnik.

Znowu tentent się dał słyszeć: obejrżeli się wszyscy. Na koniu pianą okrytym, z włosami rozpuszczonemi, bez okrycia na głowie, jechał

młody chłopak szalonym pędem. Jechał i patrzył w niebo na chmury, jak nieprzytomny, a konia smagał; koń go niósł sam nie kierowany, leciał do bramy i na wszystkie cztery nogi, chcąc się wstrzymać, padł przed nią. Chłopię młodziuchne co siedziało na nim, zsunęło się z siodła i omdlałe padło.

Mnich, strażnik i żebrak podbiegli ratować. Znużony znać poseł ów, leżał bez czucia na ziemi. Piękna twarz okryta była bladością śmiertelną.

Konia poznał zaraz po okryciu stróż, że należał do jednego z braci, co wyszli z wojskiem, chłopca nikt nie mógł poznać. Mnich długo się w niego wpatrywał, mruczał coś i zdziwiony i przestraszony stał pochylony nad nim.

— Gdyby nie strój mężki!—rzekł do siebie—powiedziałbym, że Noskowej córka: tak do niej podobny. Czysto kobieca twarz i włosy nie po mężku; ale cóżby robiła w tym stroju, na koniu, i...

Żebrak zaczerpnąwszy wody, przyszedł twarz omdlałego pokropić, któremu krew ze skroni ciekła.

Strażnik dzwonił w bramie, aby kogo ze służby od infirmaryi przywołać. Chłopak się ocucił,

obejrzał, westchnął, chciał porwać i upadł z je-  
kiem znużony.

Wszyscy z trwogą jakąś i przecuciem nań  
patrzyli, nikt się o nic nie śmiał zapytać. Do-  
myślili się, że od wojska przybywał. Wreszcie  
się zerwał i zawołał:

— Kto starszym został na zamku? kto do-  
wódzcą?

— A kimże tu kto ma dowodzić!—zapytał  
stary żołnierz—przecie ludzi niéma, bo wszyscy  
wyszli.

Wskazał ręką.

Przybyły ręce załamał.

— Zkąd jedziecie?—spytał strażnik.

— Zkąd? nie wiem! zkąd? ztamtąd gdzie  
pole trupami usłane, gdzie krew się leje potokiem,  
gdzie chorągwie krzyżackie leżą stosami, gdzie  
nieprzyjaciel się weseli, gdzie ostatnia dla nas  
wybiła godzina!

Krzyknęli wszyscy.

— Szalony! zmysły postradał.

Chłopiec jakby sam do siebie mówił ciągle:

— Cały dzień trwała walka zacięta, zabójcza,  
okropna; jak pioruny były młoty o zbroje, jak lwy  
bili się zakonni, jak stado wilków głodnych wpadli  
wrogowie, i jak burzą zmiotli wszystkich. Niéma



wojsk krzyżowych, niema! Wybiła ostatnia godzina, wybiła!

Załamał ręce i płakał, potem się zerwał chcąc iść, ale siły go opuściły i osunął się pod murem na ziemię.

Do kupki, która się wprzód była zebrała, przybywali coraz nowi słuchacze, ale nikt uszom wierzyć nie chciał: chłopca miano za obłąkanego strachem boju.

Wtém na koniu rycerskim, lecz pokrwawionym i odartym, ukazał się jakby drugi poseł.

Był to wieśniak bosa, odarty, w koszuli i spodniach, podpasany słomianym sznurem. Twarz jego opalona, jeno promieniała dzikim szaleń, niby tłumioną radością. Białe zęby śmiały mu się w ustach szeroko otwartych, ręką machał nad głową konia tak znużonego jak pierwszy.

Strażnik poznał rumaka brata Kuno ze Szlązka i ręce załamał.

Wieśniak dopadł pod mur, stanął i z konia się zsunął, niby z rozpaczą bijąc w ręce, ale udanej téj żałości urągały się oczy jego i usta.

— Sądny dzień! — zawołał — wszyscy polegli, pobite pany nasze wielmożne, pogruhotane zbroje złote. Krucy się pasą na ciałach dostojnych! Sądny dzień Boży!

Przytomni marszcząc brwi słuchali i stali przerażeni, słowa nie mówiąc.

Stróż, jakby ocknąwszy się nagle, zatrąbił w róg, zadzwonił w dzwon na trwogę. Co było na zamku pozostawionych ludzi, zbiegło się ku bramie patrzeć na leżące chłopię i na wieśniaka, który krzyczał, rękami rozkrzyżowanymi machając.

— Króla Jagiełły ino nie widać! kto mu zaprze drogę! Niéma wojsk, niéma ludzi; co życie zbawiło, to po lasach się tłucze. O, sroga klęsko! takie sławne pułki, tacy piękni rycerze, taki lud rosły i silny, taka krew pańska, tyle żelaza i złota... wszystko to przepadło, trupy leżą nagie, nieprzyjaciel łupami wozy ładuje.

W bramie skupiało się coraz więcej ludu, aż ukazał się zakonnik na kiju sparty. Był to dawny komtur Elbląski, mąż niegdy sławny i dzielny, z jedną nogą uschłą. Należał on do Rady, ale na wojnę nie chodził.

Namarszczony słuchał krzyku chłopca, wyciągnął pięść ściśniętą i zawrzał ponsowiejąc.

— Milczeć! Dajcie go tu!

Porwano natychmiast wieśniaka, który się mało co opierał.

Stary popatrzał na chłopię i kazał je téż na zamek prowadzić.

Za tymi dwoma szło wszystko co żyło, rozciekawione i przełękłe.

Stary komtur dał znak, aby rozeszli się ciekawi i zatrzymali się pośród dziedzińca, gdy on sam wieśniaka i chłopię do refektarza wielkiego wiódł z sobą.

Lecz nie doszli do drzwi, gdy znowu zatętniało w bramie i krzyk się dał słyszeć: starzee głowę podniósł i o kiju zawrócił nazad do bramy.

Tu widok był nowy.

Leżący, zwieszony, przypięty do konia, znać bezsilny jechał rycerz zakonnik; płaszcz miał we krwi cały pobroczony i podarty, krew ciekła mu po zbroi, krew uchodziła z obuwia: białe koń zbluzgany nią, niósł go, dobywając się ostatka. U bramy stanął, zachwiał się i padłby, gdyby go strażnik za cugle nie chwycił.

Rycerz się nie ruszył. Żebrak do niego przypadł: podniesiono mu przyłbicę, twarz była biała i martwa, krew się jeszcze sączyła z ran, poza zbroją zadanych, ale człowiek już nie żył. Żołnierz dojrzał dopiero, iż trup był do konia przywiązany.

Słowa już nikt rzec nie mógł, bo wszystko zwiastowało klęskę.

Zdjęto ciało z konia, który chwiejąc się sam szedł w podwórze; dwaj knechei ponieśli zwłoki i położyli je w krużganku. Staął nad niemi milczący komtur stary i wpatrzony jakby życie i uczucie postradał.

Chłopię co pierwsze przybiegło, o mur oparte stało drżące. Po chwili skinął na nie zakonnik. Weszli do wielkiego refektarza, który stał pusty, ogromny stół długi zajmował środek jego, przy nim ciężkie ławy dębowe ciągnęły się ze stron obu. Ze ścian patrzyły wizerunki świętych i napisy.

Kilka kroków od drzwi uszedłszy, zakonnik na krzesło padł; mimowolnie wychudłe ręce podniósł nad głowę i załamał je nad nią—milczał. Potém zwolna położył na piersiach znamię krzyża św. i odwróciwszy się do chłopca, spytał:

— Gdzie nasi? gdzie wojska? gdzie W. Mistrz?

— Na polu leżą pod Grūnwaldem.

— Kłamiesz!

— Bóg świadek!

— Ten lud, tyle ludu, rycerzy??

— Tyle drugie było go ze strony Jagiełłowój, ważyło się zwycięztwo i przechyliło na ich stronę. Sto tysięcy trupa leży na Grūnwaldskim polu.

Stosy białych ciał. Nie został nikt, oprócz nikezem-  
nych co uciekli.

— Wielki Mistrz, Ulryk?—pytał zakonnik.

— Padł na ostatku, gdy już nie było do  
czynienia, tylko umierać.

Okrzyk stłumiony wyrwał się z piersi za-  
konnika.

— Wielki komtur?—pytał osłabionym gło-  
sem.

— Leży przy nim.

— Wielki marszałek? Wallenrod...

— Jest z nimi.

— Schwarzburg nasz szatny?

— Zginął śmiercią rycerską.

Zakonnik nie śmiał pytać, głowa mu opadła  
na piersi, wstał z siedzenia i padł na nie.

— Podskarbi Merheim?

— Zabity.

— Komturowie? komturowie?—począł, jakby  
litości domagając się, wołać starzec. — Helfen-  
stein...

— I on i jego żołnierze wyginęli do osta-  
tniego.

— Zkąd-że ty wiiesz?

— A! obchodziłem pobojuwisko, patrzyłem,  
gdy odzierano trupy.

— Ippenburg?

— Zabity.

— Wobecke?

— Zabity.

— Hatzfeld?..

— Zabity.

— Milcz! milcz! — krzyknął starzec i z krzesła padł na kolana, a potem twarzą się na ziemi położył, ręce rozkrzyżował i szlochał wołając bezprzytomny:

— Boże! Boże! — cóżeśmy uczynili, czémeśmy zasłużyli, abyś nas dotknął tak srodze? Za co karzesz dzieci swoje, za co w proch i błoto cisnąłeś krzyż swój z nami.

Chłopię patrzyło na leżącego, gdy w dziedzińcach rozruch powstał i wrzawa. Tentent nie jednego, ale kilkudziesięciu koni rozległ się w podwórzach. Nie towarzyszyły mu ani krzyki, ani wołania, ale milczenie ponure.

Zakonnik podniósł głowę i dźwignął się z ziemi, poszedł ku oknu. W dziedzińcach postrzegł braci zakonnych i płaszcze białe, i jakby ratunek ujrawszy, Bogu dziękować zaczął.

Wtém na salę wszedł z bladą twarzą, ale mężką postawą, hrabia Henryk von Plauen, dawny komtur Świecia. Starzec poznawszy go, ze

złamanemi rękami jak do modlitwy pośpieszył ku niemu.

— Bracie—zawołał—prawdąż to jest co nam przynoszą wieści... prawdąż to jest?

— Wszystko jest prawdą co złe, a złe przechodzi, co ludzki język powiedzieć może. Z potęgi Zakonu została garść niedobitków... my, kilku... Tryumfują, że Zakon w Prusiech zabili: jutro mogą być pod bramami! Ale Zakon żyje i żyć będzie, póki choć jeden z nas dech w piersi zatrzyma. Zakon żyje... do ostatniej kropli krwi bronić się będziemy.

To mówiąc, obejrzał się na drzwi, któremi wchodzili przybyli z nim od granic zakonnicy.

Garść była szczupła, a nie wszyscy ożywieni tym duchem, co hr. Plauen.

Refektarz zapełniał się tłumem, płacząc cisnęło się co żyło.

— Kto płakać chce, do kościoła!—zawołał hrabia—módlcie się i płaczcie. Kto ratować pragnie, ze mną na radę. Zamknąć bramy, postawić strażę, obcych oddalić. Za mną, bracia!

Z powagą ruszył się Plauen, ciągnąc za sobą co pozostało braci, do sali radnej, przy mieszkaniu W. Mistrza.

Gdy w podwórzach jęki słychać było i płacze, bo co chwila nowa wieść, nowy zbieg, nowój kłęski przybywało potwierdzenie, w sali radnej ściągał już Plauen szczupłą garść pozostałej braci, co z nim przybyła. Objął sam władzę nie pytając, czuł się zdolnym ją utrzymać.

Z posępną energią wskazał miejsca, wstał i począł mówić żywo:

— Z tych co poszli nikt nie wróci: ratunku musimy szukać w sobie. Zapowiedziano zagładę Zakonu, jeśli ten zamek wezmą; niemiecki Zakon braci Szpitalnej w Prusach istnieć przestał. Malborga stolicy naszej bronić musimy.

— Z czém? z kim?—spytał jeden.

— Choćby z garścią, do ostatka!! Malborga nie zdobędą.

Zmarszczył brew.

— Obronimy go. Miasto należy spalić, niech płonie, lud zagnać na zamek, on bronić go będzie. Dopóki drogi wolne, dziś, zaraz po ludzi słać na zamki i po zapasy.

— Ale Jagiełło jutro tu będzie—zawołał jeden—to próżne.

— Ani jutro! ani za trzy, ani za cztery dni—gwałtownie wybuchnął Plauen—wstrzymać go trzeba, musimy i wstrzymamy.



— Jakim sposobem?

Plauen zamilkł.

Nie rada to już była, ale pośpieszne rozkazy; dwóch starszych pozostawił przy sobie Plauen, resztę rozesał.

W zamku, w mieście trwoga i popłoch były niewysłowione.

Nikt nie miał nadziei, aby ocalić się można, Plauen ją zachował jeden.

We trzech weszli do izby przyległej.

— Nie czas płakać i trwożyć się, a rozpaczać. Rozpacz źle radzi, mężkiem sercem ratować się trzeba. Losy Zakonu w rękach naszych.

— Lecz cóż postawim przeciwko téj zgrai spędzonej z całego świata, rozwścieczonej zwycięstwem, głodnej krwi naszej. Nie mamy wojska...

— Powinniśmy mieć rozum i przebiegłość— rzekł Plauen.— Jagiełłę znamy wszyscy: pchnąć go trudno, a powstrzymać łatwo. Zabobonny jest, lęka się, aby go poganinem nie zwano za to, że przeciw krzyżowi walczy. Poślemy do niego. Zwłokę trzeba wyjednać. Są przy nim ludzie, co nie bardzo wielkiemu zwycięstwu będą radzi. Witold tam jest. Księżna siostra nam sprzyja; mamy duchownych. Czasu tracić nie godzi się. Ojca Marcina przywołać... ojca Marcina...

Ksiądz Marcin z innymi kapelanami i duchowieństwem stał w radnej sali; przywiedziono go natychmiast. Był on rodem z Pomeranii, a niegdyś począł żywot zakonny w klasztorze Benedyktynów na Łysiej Górze. Ztąd później dał się nakłonić na zmianę reguły i przywdzianie habitu z krzyżem. Nie młody był, mniszej postaci, pokorny, cichy, ale wpatrzywszy się w twarz jego zamkniętą wyrazem pokory i spokoju, postrzegł przez siedm pieczęci, któremi była zawarta, życie co pod niemi krążyło. Oczy jego jasno, spokojnie, głęboko wciskały się w każdego, czytały nie dając się wyczytać.

Skłonił się w progę z pokorą.

— Jestem—rzekł.

Plauen się doń zbliżył.

— Ojczy! Zakon konający doprasza się u ciebie ratunku.

Nie na to nie odpowiedział O. Marcin, powiódł oczyma i nie wymówiwszy słowa, dał zrozumieć, że sam na sam radzić pragnął.

Plauen wsunął się z nim do izdebki, wydawszy ostatnie rozkazy.

Siedli sam na sam.

— Nie mówcie mi co mam czynić—odezwał się ks. Marcin—Duch Święty mnie natchnie.

Znam Mikołaja podkanclerzego co jest przy królu, trafię do Witolda, do duchownych. Wiem i czuję, co do czynienia mam.

— Jedźcie, idźcie, śpieszcie!—mówił Plauen.

— Zmienię suknie, wdzieję świeckie, będę zbiegiem, zostanę na chwilę Polakiem; Bóg przebaczy w dobrym celu użyty podstęp: niech zresztą spadnie to na sumienie moje.

— Na nas wszystkich — przerwał Plauen i zniżył głos. Wóz, weźcie wóz, weźcie złota ile chcecie; jeśli są sumienia sprzedajne, kupcie je; jeśli są trwożliwe, zastraszcicie; jeśli są zawistne podniećcie. Zasiejcie między nimi nieufność, obróćcie ich przeciwko sobie, zróǳcie niezgodę. Skazani jesteśmy, niestety, na użycie tych środków, gdy innych nie mamy.

Marcin słuchał.

— Mówić mi nie potrzebujecie, w ostateczności drogi ratunku są jasne; widzę je: są jedyne. Chytrzy być musimy jako węzowie, bo z chytrzejszymi od węzów do czynienia mamy.

— Zakon winien ci będzie wybawienie; wstrzymajcie pochód na Malborg: ocalicie nas. Dziś, natychmiast, uciekajcie ztąd. Osłońcie swą podróż ucieczką; mówcie z nimi przeciwko nam, abyście ich ufność zyskali, ale czyńcie za nami.

Ks. Marcin mówiącemu dłoń położył na rękę.

— Dość — rzekł — nie wszystko przez usta przechodzić powinno. Co czynić, natchnie mnie Duch Święty.

Wstał z siedzenia.

— Księżyc po północy schodzi, przewodnika Polaka wiernego mi dajcie, wóz, konie: jadę.

Zwrócił się od drzwi.

— Na zamku wiedzieć mają, żem do Torunia wysłany. Nikt, wy i ja w tajemnicy.

Plauen głową dał znak potwierdzający.

— Złota! — zawołał — weźcie złota, ile zabrać możecie. Niecni posłowie króla Zygmunta wzięli nam go wiele za te szmaty zdraдлиwe, które listy wypowiedniami nazwali. Nikczemni! Śmieli się z nich, dając je nam, śmiano się gdy je zanieśli Jagielle, a my wierzyliśmy w Zygmunta.

Ręce załamał. Ks. Marcin pokornie się skłonił i już wychodził krokiem śpieszniejszym nieco. W sali spotkał współbraci duchownych. Poczęto go pytać.

— Do Torunia jechać muszę — rzekł. — Bóg z wami: wrócę rychło.

Wyszedł. W godzinę potem, gdy się z celi swój wysunął w czarnej świeckiej sukni kapłań-

skiej, obwinięty płaszczem grubym, niktby go był nie poznał, tak potrafił się zmienić.

Wóz z ludźmi dwoma czekał w podwórzu. Księżyc z za chmur białych wysuwał się powoli, gdy na gościńcu sunął już zaprząg wiozący ks. Marcina, małemi drożynami w stronę, w której się wojska króla Jagiełły spotkać spodziewał.

Chłopak co pierwszy z wieścią o klęsce wpadł na zamek, za ledwie nieco spoczawszy w nim, wśród téj wrzawy i zamętu wyszedł niepostrzeżony za bramy. Tu stanął zamysłony, osłabły, zbierając myśli i niewiedząc co czynić z sobą. To powracał ku wrotom, to się kierował ku miastu, oglądał się, ażali mu kto z radą i pomocą nie przyjdzie; lecz nikt nań już nie zważał.

Trwoga miotała całą ludnością Malborga: jedni już z miasta unosić chcieli życie i mienie, drudzy w rozpaczę latali bezprzytomnie. Coraz to nowe przynoszono szczegóły z pola bitwy, a coraz gorsze i smutniejsze.

Wiedziano już, że W. Mistrz, marszałek, komtur, szatny, podskarbi poległ przy pułkach swoich; że obok nich komturowie: grudziądzki, starogrodzki, engelsburgski, nieszawski, brodnicki, głuchowski, gniewski i inni wszyscy, oprócz trzech tylko: W. szpitalnika Zakonu, komtura

gdańskiego i Balgi; dwóchset rycerzy, sześciuset braci i knechtów, czterdzieści tysięcy ludu leżało na polu pod Grünwaldem. Cały obóz dostał się do rąk nieprzyjaciela.

Mówiono, że Jagiełło poprzysiągł zupełną Zakonu zagładę, że pochwytyanych rycerzy ścinano, że na zamki posłano, by się poddawały na imię królewskie.

Najrozmaitsze uczucia dzieliły lud i mieszkańców w części sprzyjających Krzyżakom, lub nie-nawidzących ich panowania. Potajemnie cieszyli się nie jedni, lecz jawnie trwożyli wszyscy. W wojnie winny i niewinny pada ofiarą.

Owo chłopię stało jeszcze u wrót, gdy ulicą pod zamkiem idące ukazały się dwie niewiasty. Była to żona burmistrza i niezameżna jej siostra, obie dobrze znane Noskowój, a przebrane to chłopię nie kim innym było, tylko zbiegłą z placu i rozszalałą z bólu i trwogi Ofką.

Ciekawe niewiasty ostrożnie najprzód zbliżyły się ku chłopcu, którego strój podrózny zdradzał, że niedawno przybyć musiał zdaleka. Oprócz tego straż w bramie wskazała go im, aby się czegoś dowiedzieć mogły.

Burmistrzowa, sławetna pani Schütz, średnich lat niewiasta, pięknej tuszy, przedziwnie wykar-

miona na białych bułkach, strojną była jak na jej stan przystało. Innym paniom mieszczkom prawo zabraniało nosić wiele kosztownych ozdób i maneli, ale żona urzędnika pozwolić ich sobie mogła. Na szyi więc i piersiach, łańcuszków złotych było co niemiara i czółko szyte złotem na głowie. Skromniej nieco przybrana siostra Gizella, sutą miała suknię, pasem na biodra podciągniętą, aby się po ziemi nie wlekła.

Obie jejmoście trwożliwie się zbliżyły do chłopca, który zrazu się cofał przed niemi, gdy pani Schütz krzyknęła, wpatrzywszy się w niego.

— O Jezu miłosierny! gdybym nie wiedziała, że zaena Noskowa więcej nad jedną córkę dzieci nie ma, lub gdybym ją posądzać śmiała, powiedziałabym, że to Ofki brat, lub, co się nie godzi, ona sama w męskiej sukni. Czy mnie oczy mylą!

Gizella ręce załamała patrząc. Obie zdawały się tak strwożone, że przemówić nie śmiały, gdy nagle Ofka odzyskując mężstwo, przybliżyła się do Schützowej.

— Nie dziwcie się i nie przestraszajcie—rzekła—okropne rzeczy się dzieją, okropne też widoki muszą znosić oczy. Zgroza to, żem w męskim ubraniu, sama!

— To Ofka! Ofka!—zawołały obie.

— Cicho, najłaskawsza pani Schützowa, a jeśli pozwolicie, pod opiekę się waszą oddaję.

— A matka wasza? o dziecko moje!

— Matka daleko, daleko... Pozwólcie mi iść z sobą? Spocząć u was chwilę?

— Gdzież kto dziś potrafi spoczywać—przerwała burmistrzowa—chodź z nami, chodź. Wprawdzie, gdyby mnie mój Schütz, choć w tak niespokojny czas, pod wieczór spotkał z takim młokosem, mógłby się pogniewać. Na jakiego ty ślicznego wyglądasz chłopca!

— A! czemuż choć brzydkim nie jestem!—zawołała Ofka—tak mi cięży ta płeć moja!

Krzyknęła słysząc to bluźnierstwo pani burmistrzowa i pociągnęła z sobą Ofkę. W ulicy nikt na nie przechodzące nie zważał. Niewypowiedziane panowało zamieszanie. Stary Schütz, małżonek jejmości, znajdował się na zamku przy Plauenie; ludność jak zburzone morze falami płynęła i odpływała ku murom. Wozy ciężkie wlokły się ku miastu i z miasta, konni przebiegali co chwilę, małe kupki knechtów pospiesznie zewsząd już gromadziły się ciągnąc do twierdzy. Ubogi lud cały niemal wyległ na rynki i na gościńce, czując, że ciężar tych klęsk nań całym, jak zwykle spadnie ciężarem. Wszystko to two-



rzyło obraz ruchomy, smutny i przepowiadający coś straszniejszego jeszcze.

Burmistrzowa gorejąc ciekawością wiodła z sobą Ofkę. Niedaleko ratusza stał dom pana Schütza. Pokażniejszy od innych, zbudowany był wszakże na sposób miejscowy z cegły i drzewa. Na murach jego w rozmaite linie przecinające się z sobą zarysował się szkielet drewniany budynku, którego górne pięterko nieco wyskakiwało w ulicę, a pod niemi szerokie okna i drzwi zajęte były przez sklepy. Nad jednym z nich wisiały olbrzymie nożyce, oznaczające postrzygacza sukna, nad drugim dwie mosiężne miednice, wypolerowane jak złoto, służyły za szyld balwierzowi.

U niego już paliło się światło i tłum ludzi rozprawił gwarnie, a przez pół otwarte okno buchały głośne mowy i patetyczne narzekania.

Po schodach, których poręcze pięknie były rzeźbą i słupkami ozdobne, weszli do izb pani Schützowej. Ofka zaledwie się tu dostała, upadła na pierwszym krześle, twarz tuląc w dłoniach.

— Dziecko moje, napij się cokolwiek, to cię orzeźwi — zawołała burmistrzowa, niosąc trochę wina w kubku. — Jakżeś bo porwać się mogła i dać przebrać tak niegodziwie.

— Miłościwa pani— rzekła Ofka, jakby przebudzona — już o tém mówić zapóźno jak się to i dlaczego stało! Ogarnął mnie szal jakiś, zapomniałam, że kobiece miejsce u kądzieli, myślałam, że Zakonowi przydam się na co i służyć mu potrafię.

— A jakże ty mu służyć mogłaś? bijąc w dłonie — przerwała Schützowa — ani siły, ani głowy.

— Alem serce miała i mam, kochana pani— odezwiała się Ofka.— Znać miałam tych nieszczęść przeczucie.

-- I matka cię puściła?

— Nie pytałam się matki.

— Oszałało biedactwo! — z litością przemówiła Schützowa, a siostra powtórzyła to za nią — oszałało.— I gdzieżeś ty się plątała?

— A! pani moja — krzyknęła Ofka — tam byłam, gdzie żadna kobieta nie śmiałaby była wejść, na tém pobojuwisku okropném, wśród tej bitwy, od której serce martwiało: patrzałam, płakałam i wściekałam się z gniewu na słabe ręce moje.

Kobiety stały przy niej oniemiałe.

— Wzięto mnie jak w niewolę w obozie Jagiełły, stryj ksiądz szukał zbiegłej i pochwycił. Wśród bitwy wyrwałam się im, pacholek co był ze mną podał mi konia. Chciałam widząc tę kle-

skę straszną pierwsza tu o niej oznajmić, poleciałam sama nie wiedząc co czynię. Jeden sługa zdążył za mną, padł pod Malborgiem z koniem i nie wstał.

Mówiła i oczy się jej paliły.

— Słabe są niewiasty! tak, ręki do boju nie mamy, ale wytrwać możemy więcej niż oni... głód, skwar, znój, męczarnie, gdy serce rozkazuje. Zakon ratować trzeba! Zakon ratować!

— W imię Ojca i Syna! Ofko moja! — przerwała burmistrzowa — aleć to nie nasza sprawa. Modlić się, bardzo dobrze, ale cóż więcej? tu żelaza trzeba i dłoni.

— A! nie! — krzyknęła Ofka — żelazo się skruszyło, dłonie ścierpły na wieki: trzeba przebiegłości, rady, zdrady, chytrości...

— W głowie się biedaczce pomieszało — mruknęła pani Schützowa.

Ofka przestała mówić.

— Pani moja — ozwała się po długim milczeniu, którego kobiety przerwać nie śmiały — gdybyś widziała ten bój, tę rzeź, ten cmentarz, albo by ci serce pękło, lub-by wezbrało taką złością, nienawiścią, zemstą jak moje.

— Lecz możeż to być, jest-li podobna, aby W. Mistrz, jego wojsko tak potężne...

— Śladu po niém nie ma — zawołała Ofka — padli rycerze mężni. Ostatni Mistrz Ulryk wyjechał do boju ze swojemi pragnąc paść i szukając śmierci. Wszyscy dali się wybić do nogi, nie pozostał nikt, a rannych dokłuli nieprzyjaciele.

Ofka oczy sobie zakryła, kobiety szlochać zaczęły; posypały się zapytania jedne po drugich, a każdej niemal odpowiedzi płacz towarzyszył.

Noc nadchodziła, w mieście nikt nie myślał o spoczynku. Schützowa w trwodze zaczynała być o męża, który z zamku nie wracał: zapalono światło. Ofka przechadzała się po izbie zadumana.

— Cóż ty teraz myślisz z sobą? — spytała pani Schützowa.

— Nie wiem, dziś kątek mi dacie do spoczynku: pomyślę. Siedzieć u krosien nie mogę: któż wie co pocznę jutro.

Jeszcze rozprawiwały, a noc była już późna, gdy do izby, zrazu nie zdejmując czapki, wtoczył się poważny Schütz. Zobaczywszy młokosa w domu poufale obcującego z kobietami, widocznie się zgorzyszył nieco i na żonę spojrział zdziwiony. Ta mu ruszeniem ramion odpowiedziała.

— Niéma tu co się taić — rzekła — toć przecie córka pani Noskowój z Torunia.

— Syn chyba? — rzekł burmistrz. )

— Córka — potwierdziła żona.

Schütz się nieco skłonił zlekka, ale mu coś tak na sercu ciążyło, że nawet ta osobliwsza przygoda nie mogła go ani zdziwić, ani w nim obudzić ciekawości. Westchnąwszy siadł za stół, ręce obie złożył i twarz w nie zanurzył. Żona położyła mu dłoń na ramieniu łagodnie, usiłując go rozbudzić. Nic to nie pomogło, dumał... a gdy dłonie w końcu rozwarł, postrzegły kobiety po męskiej twarzy płynące cicho dwie strugi łez, których nie ukrywał.

— Niewiasty — zawołał — zbierajcie dopóki czas, co droższego macie, żegnajcie dom spokojny. Nieprzyjaciel idzie, zamku bronić potrzeba... miasto-by mu za przytułek służyło, a tego nie możemy ocalić. Sam jutro pod własny dom podłożę pochodnię, niech z dymem idzie Bogu na chwałę.

Burmistrzowa krzyknęła z boleścią wielką. Gizella poczęła płakać. Ofka stała i patrzyła na Schütza, który łyż już ocierał.

— Nie czas na lamenta! zbierać co można, na zamek musimy wszyscy. Żywa dusza nie pozostanie w mieście, gruz i popioły znajdą, niech się niemi karmią. Bogu na chwałę mienie nasze.

— Jakto? ratusz! kościół, miasto całe!

— Wszystko — powtórzył Schütz — czas

wam daję do jutra... Noc! przez noc wiele zrobić można. Wozy zaprządź i ładować!

— Nasz dom! nasz dom! — wołała burmistrzowa — ja go już nie zobaczę. Nasz dom!

— Cicho! — tupiąc nogą dodał Schütz — aby ludziom dodać serca, pierwszy węń ogień podłożę!

\* \* \*

Po nocnej burzy i ślocie, wypogodziło się niebo i obmyte zaświeciło słońce nad pobojowiskiem wczorajszym.

Szerokie pole między Grünwaldem i Tannenbergiem, gdzieniegdzie zaroślami, krzakami i pojedynczymi drzewami okryte, nosiło na sobie ślady walki zaciętej, która się na niem odbyła.

Nie było prawie stopy ziemi nie zoranęj kopytami końskimi, na którejby się złomek zbroi, skruszone i podruzgotane kopie, lub trupy nie wałały.

Drzewa nawet ucierpiały w tym boju, kule poobłamywały gałęzie, które leżały na ziemi; krzaki zmięte i poduszone wbite były w nią, a ślota nocna, która uniosła z sobą krwi ślady, mułem i piaskiem pookrywała ciała i szmaty odzieży.

Ciury od wojsk włoczyły się jeszcze, szukając łupu i zbierając na pobojowisku co się żywym na coś przydać mogło. Porozbijane hełmy, w których

stała woda deszczowa, służyły wróblom za naczynie do napoju. Na blizkim lesie krążyło stado kruków, które odlatywało za zbliżeniem się ludzi i powracało na żer obfity.

Tymczasem z rozkazu Jagiełły szukano ciał rycerzy poległych. Wybrani jeńcy, pod przewodnictwem chełmińskiego szlachcica Bolemińskiego, szli od jednej kupki ciał do drugiej, mistrza i komturów szukając.

Ciała ich nie były rozpierchłe po polach, lecz wałem jako stali, leżały w miejscach, gdzie walczyli.

Żołnierska czeladź już je była poodzieraa ze zbroi kosztownych i odzieży; bo płaszcz Mistrza królowi odniesiono w nocy, mógł więc tylko poznać z twarzy ten, kto znał za życia Krzyżaków.

Wkrótce też Bolemiński schyliwszy się, w gromadzie trupów, które go przykrywały sobą, poznał Ulryka, choć mu na znak i pamiątkę jak innym, czeladź już brodę obcięła.

Leżał z rozbitą piersią i z raną na czole, znać po spadnięciu szyszaka otrzymaną. Nieopodal znalazły się zwłoki marszałka Wallenroda, komtura Lichtensteina i wielu innych przedniejszych, które obwinęte w całuny, poniesiono i położono przed królewskim namiotem.

Dzień to był uroczysty i dla rycerstwa całego świetny, ale nie wesoły, bo w obec tych tysiąca poległych, żaden się nie mógł nawet zwycięstwem, co tyle żywotów ludzkich kosztowało radować, a kto pobojowisko widział, temu po niém wspomnienie na życie całe zostało.

Tyle tam było do czynienia naówczas, iż nie dziw że na pobojowisku zostać kilka dni postanowiono, choć Brochocki i wielu gorętszych domagało się na Malborg iść natychmiast, dopóki by Krzyżacy nie opamiętali się po klęsce.

Gdy słońce wyżej się podniosło, już z ciałami pobitych uczyniono porządek i złożono je przystojnie, czekając pogrzebu. Król sam wniósł, aby ciało Ulryka, wielkiego marszałka i komtura do Malborga odesłać, i wóz na to, oraz sukno purpurowe do nakrycia przeznaczyć.

Wiele do czynienia było z resztą trupów, które na pobojowisku grzebać musiano, z rannymi i jeńcami. Krzyżackich i polskich rycerzy wspólny pogrzeb zarządzono przy kościołku w Timbargu, gdzie ks. Jan zajął się obrzędem i nabożeństwem.

Z Polaków, choć wielka liczba padła, znaczniejszych rycerzy ledwie dwunastu zabrakło.

O świcie król kazał sobie podać konia, i z ks. Witoldem a Mazowieckimi, wspólny z Zyndramem



Maszkowskim, który rozповідаł o bitwie, objechali raz jeszcze pobożowisko.

Stawali na niém często, bo ilość ciał i ogrom trupa w wielu miejscach przejazd trudnym czyniła, a i po nieprzyjacielskich trupach, król depeąc je, jechać nie chciał. Kołować więc musiano.

Gdy słońce się podniosło, namiot wielki kościelny ustawiono na wzgórzu, zewsząd, oprócz poza ołtarzem, podpiąwszy ściany, aby otaczające wojsko Ofiarę świętą widzieć i w niej uczestniczyć mogło. U trzech ołtarzów razem odprawiały się msze, które czytali kapelani królewscy.

W około kaplicy pozatykane drzewca z mnóstwem zdobytych chorągwi nieprzyjacielskich dziwnie piękny widok czyniły, lekkim wiatrem poruszane. U głównego ołtarza podkanclerzy czytał mszę o Maryi Pannie, drugą ks. Bartosz o Duchu Św., trzecią wtóry kapelan króla o Trójcy Przenajświętszej.

Pod mniejszemi namiotami na ustawionych mensach czytano msze żałobne za dusze poległych.

Rycerstwo po wczorajszym dniu, choć na wielu zbrojach znaki kopij widać było świeże, choć wiele tarczy pokaleczonych miało na rękach, choć nie jednemu hełm się na głowie nie trzymał dobrze, wystąpiło jak na święto i do popisu, odczyściwszy że-

laztwo i dobywszy co kto miał najlepszego: pasy złocone, bindy farbiste, łańcuchy i miecze co naj-ozdobniejsze.

Zaraz po ukończoném nabożeństwie, którego całe wojsko słuchało, wiódł król przedniejszych panów za sobą pod wielki namiot, w którym zastawione były stoły do uczy. Ta choć królewską nazwać się mogła dla tych co w niej uczestniczyli, przepychem się wcale nie odznaczała, a prostą raczej była i niewykwintną, acz krzyżackie wozy dostarczyłyby do niej wyszukańszych zapasów. Pieczone mięsiwa, polewki, placki, piwo, miód i wino na stołach ustawiono. Brał kto chciał i jak mógł. U osobnego stołu na podniesieniu siedział Jagiełło, mając obok siebie Witolda, Mazowieckich książąt i bratanków.

Jako pan łaskawy i ludzki, kazał téż do stołu wezwać pobranych w niewolą Konrada ks. Oleśnickiego i Kazimierza Szczecińskiego, którzy się wcale do uczy być wezwanymi nie spodziéwali, a gdy ich przywiedziono, nie czynił im nawet wymówek żadnych, ani się okazał gniewnym, litując się nad ich upokorzeniem. Oba oni siedzieli wprawdzie u stołu, lecz się nie odezwali, ani jedli, bo oczy na nich zwrócone ich piekły.

Resztę tego dnia nie poświęcono też odpoczynkowi, wielką bowiem ilość jeńców należało spisać i rozporządzić nimi, aby wojsku ciężarem nie byli. Król zasiadł pod namiotem na krześle, gdzie mu każdy jeńców swych przedstawiał, a potem szedł z nimi do pisarzów, których kilkunastu za stołami siedziało i spisywało ich, wedle ziem, do której należeli, osobno Prusaków, Chełmnian, Infantczyków, Czechów, Morawców, Szlązaków, Bawarów, Misniaków, Austryaków, Nadreńczyków, Szwabów, Fryzów, Łużyczan, Turyngów, Pomorzan, Szczecinian, Kaszubów, Sasów, Frankończyków, Westfalów, bo z tak różnej drużyny składało się owe wojsko krzyżackie po całej werbowanej Europie. Najwięcej wszakże pospolitego ludu było ze Szlązka i Czech.

Trudno ich w pętach było trzymać, lub wieść za sobą, więc odebrawszy oręż, musiano ich zobowiązać przysięgą, że się na Św. Marcina w Krakowie stawiają przed sędziami i na rycerskie słowo ich puścić niemal wszystkich. Marszałek Zbigniew z Brzezia i podkomorzy krakowski Szafraniec, słowo od nich odbierali.

Gdy przyszło do tego stawienia jeńców, przywiódł też kupę swoich Andrzej Brochocki, a między innymi i tego hr. Dienheim, który w tarczy

godło jego nosił, młodego człeka, ale buty niezmierniej i dzikiego. Tego, że nawet w niewoli się z nim wadził i umysłu był niepokonanego, a pan Andrzej cierpieć nie mógł, iżby kto nosa przed nim zadzięrał, chciał sobie pan Brochocki zachować.

— N. Panie!—rzekł—wszystkimi niewolnikami niech W. Kr. Miłość rozporządza, jako wola i łaska, ale o tego jednego Niemczyka prosiłbym dla mojej pociechy.

— A cóż z nim poczniesz?

— Nie wiem, może mi zbroiczkę będzie czyścić, ale muszę pacholę nauczyć pokory. Przytém nosi tarczę taką jak moja, musi być jakieś między nami powinowactwo.

Popatrzył król na chłopaka i ręką skinął, zaczęł go sobie Brochocki prowadzić osobno. A miał z nim kłopot nie mały, bo Niemiec słowa rycerskiego mu dać nie chciał.

Rozmawiali z sobą językiem łamanym, bo Dienheim po polsku, długo u Krzyżaków siedząc, gdzie różny lud bywał, coś liznął, a pan Andrzej niby po niemiecku umiał. Tyle się więc rozumieli, że gdy jeden drugiego łajał, złościć się na siebie mogli.

— Jakes mnie wziął—mówił Dienheim—tak trzymaj; ażebym miał słowo dawać, tego nie doczekasz. Gdy będę mógł ucieknę.

— A ja gdy dogonię, zabiję.

— To się wie—mówił Dienheim.

— Spętać cię każe.

— Jeżeli u was, w waszém rycerstwie, pasowanego się wiążać godzi, rób co chcesz.

I tak po całych dniach się z sobą wodzili, ale Brochockiemu, gdy co do przełamywania miał, aż się czarne oczy świeciły.

Powiedział sobie, że go nie puści aż spokojnie.

Miał tedy w namiocie na załodze dwie gęby niepotrzebne, bo ks. Jana zatrzymał przy sobie i jeńca. Przed wieczorem tego dnia, gdy ks. Jan z pogrzebu w Timbargu powrócił, a Brochocki pod namiotem spoczywał, wszczęła się rozmowa o zbiegłym chłopcu, naprawdę o nieszczęśliwej Ofce, której Dienheim się zrazu nie bardzo przysłuchiwał. Dopiero gdy parę razy i nazwisko Noskowej i imię Ofki wspomniano, począł ucha nastawiać.

Nie zaczepiał wcale w rozmowie nikogo ów więzień i milczał jak pień, chyba mu Brochocki

gwałtem słowo z ust wyrwał, tym razem wszakże o Noskową sam się zapytał ks. Jana.

— Albo ją znacie?—odparł stary.

— Bardzo dobrze, bom w Toruniu przy Saynie długi czas wojował i przy jego poprzedniku, więc niema kamienicy i kąta, któryby mi był nieznanym.

Cóż mu ks. Jan na to rzekł krótko, gdy tuż o Ofkę począł pytać, coby się z nią stało, i coby to była za niezrozumiała jej przygoda, o której zasłyszał.

— Patrzcie-no—rzekł pan Andrzej—dziewczyna mu w oko wpadła, ani chybi.

Zrozumiawszy to Dienheim się zecerwienił i zamilkł. Po chwili jednak zagadnął znów ks. Jana, który mu pokrótce przygodę opętanej owój opowiedział i biedy jaką z nią miał.

Dienheim się zamyślił mocno.

— I nie wiecie co się z nią stało?—spytał.

— W czasie samej bitwy wysliznąć się musiała i przepadła.

Dienheim porwał się z pieńka, na którym u drzwi siedział, mocno poruszony.

— W tej zawierusze—rzekł po niemiecku do ks. Jana—łatwo się stać mogło, że ją gdzie jakie ciury ubiły.

Załamał ręce.

Brochocki nań patrzył, nie mówiąc nic.

— Znałem ja dobrze pannę Ofkę—mówił Dienheim—zawsze dziwnie była samowolną i śmiałą nad kobiecy obyczaj; nie było w Toruniu ani między mieszczkami, ani między szlacheciankami tak pięknego i roztropnego dziewczęcia... istny kwiatek. Jeżeli, uchowaj Boże, zabita, choć chrześcijański pogrzeb-by się jój należał.

— A gdzież i kto jój szukać będzie?—rzekł Brochocki.

— Poszedłbym ja—odezwał się jeniec.

— Tak—przerwał p. Andrzej—abyś mi więcej nie powrócił! Z tego nie będzie nic, słowa mi dać nie chcesz, to cię krokiem nie puszcę.

— Na ten raz słowo rycerskie daję, że powrócę.

— A to go zapiekło!—odezwał się Brochocki—a no lepijbył ja ci towarzyszył, pojedziemy razem; ksiądz będzie się tymczasem modlił.

Dienheim sam poszedł aby konie podano, pierwszy raz ofiarując się starszemu z posługą; przyprowadzono więc parę świeżych wierzchowców i siadłszy na nie, jechali na pobożowisko.

Król je właśnie powtórnie z ks. Witoldem objeżdżał, a Bolemiński go prowadził. Ale już

mało co było do widzenia, oprócz miejsca i kul kamiennych, co się gdzieniegdzie głęboko w ziemię zarywszy, leżały, bo z ciał znaczna część była zabrana, a drugie spędzeni ludzie składając na wielkie kupy, ziemią właśnie przysypywali, aby wystawione na skwar, nie zrodziły moru i chorób.

I ta płaszczyzna wprzód równa, pokrywała się kopcami mnogimi, wzdłuż jak stało wojsko wznoszonymi, na których, ledwie ludzie odeszli, krucy siadali, czując tam pastwę, którą im odebrano.

Nie wiele więc do czynienia miał Dienheim i Brochocki, bo do niektórych kup zajrzawszy i nigdzie nic podobnego nie widząc, a dalej już posypane kurhany, wprędce musieli do obozu powracać. Dienheim zamysłony jechał, ale już jakoś łagodniejszy. Począł go więc p. Andrzej powoli spowiadać, najprzód po coby do Krzyżaków przystał i za nich wojował?

Przyznał się, jakby od niechcienia młody, że mu w domu ze starszym bratem na Burgu w Dienheim ciasno było, bo i brat go ciemniżył z prawa pierworodztwa i bratową miał żłą sekutnicę, dla której tam żyć nie mógł; przeto zbroję wdziawszy, jak mówił, na pogany z krzyżem poszedł.



— Na jakież u licha pogany?—spytał p. Andrzej—gdzieś to ty ich widział, i gdzie oni tu są? My tu ich nigdzie nie znamy, krom prawowiernych chrześcian, jakiemi my i lud cały jest.

— Przecież głosił Zakon i powiada po dziś dzień, że na pogan potrzebuje oręża.

— A wyście tak nieświadomi rzeczy, że temu wierzycie?—dodał Brochocki.—Jeśli tu kto poga-ninem nazwać się mógł, to chyba ci sami, co nam to imię narzucali, bo pogańska to sprawa cudzą ziemię najeżdzać i cudze mienie łupić.

Na to hrabia nie odrzekł nic, głowę podniósłszy w górę, jakby rozprawiać o tém nie chciał. Brochocki téż mówić przestał ze swym jeńcem, którego nazad do namiotu poprowadziwszy, dobrym go sposobem namówił, że mu przecie słowo rycerskie dał, iż bez jego wiedzy i zezwolenia się nie oddali.

— Jeśli okupu odemnie wyglądacie—dodał—omylicie się srodze. Ani brat, ani bratowa gro-sza za mnie nie dadzą, raczej cieszyć się będą, zem się w pęta dostał.

Roześmiał się Brochocki.

— Tego u nas obyczaju niéma, abyśmy szlach-cie ze szlachcica okupy brali—rzekł—ale dogo-dzić swój fantazyi każdy rad, a ja téż mam moją.

Nosisz to samo godło na tarczy co i ja... musisz u mnie pogościć.

Z t $\acute{e}$ m go ju $\acute{z}$  w namiocie zostawił, sam do króla idąc, gdzie się znowu ceremonia piękna odbywała. Bo gdy Jagiełło powróciwszy z pola przed namiotem siadł spoczywać, poszli wszyscy z Witoldem i ks. mazowieckimi i z ośmiu panami Rady wojenn $\acute{e}$ j i przedniejsz $\acute{e}$ m rycerstwem dziękować mu za owo odniesione zwycięztwo.

Do tego powodem był ks. Janusz mazowiecki na Czersku i Warszawie, któremu się Krzyżacy dali we znaki, najezdami, gwałtami i więzieniem, jakie u nich cierpiał, zmuszony dźwigać kajdany. Pierwszy więc on na kolana padłszy, począł wielkim wołać głosem, dziękować Bogu i królowi za pomstę nad wiarołomnymi.

— Naddziad mój Konrad — mówił, — uwiedziony fałszywą ich pobożnością i udawaną pokorą, która w istocie była pogańską niecnotą, przyjął ich jak żebraków, przytulił, na to, aby te źmije odegrzane na nasz $\acute{e}$ m łonie, spuściznę jego grabiły, a w dumę i potęgę się wzbiwszy, własnych dobroczyńców prześladowały.

Pocz $\acute{e}$ m ofiarował się ks. Janusz z pomocą i służbą wierną królowi, a za nim i drudzy, nogi Jagiełłowe ściskając, dziękowali mu rozczuleni.

Brochocki téż poszedł się przypatrywać obrzędowi temu, a Dienheim gdy się sam na sam z księdzem Janem pozostał, otwarciej go począł rozpytywać o pokrewieństwo z Noskową.

Staruszek całą mu swą przygodę opowiedział, nie szczędząc wyrzutów przeciw samowolnemu dziecku, a dziwując się, iż mogło się na takie narażać niebezpieczeństwo.

Kto inny baczniejszy od ks. Jana, byłby to łącno wymiarkował, że jeniec więcej niż litość dla dziewczęcia okazywał, bo wzdychał mówiąc o niem i oczy mu się wilżyły.

Tak się ten dzień dokończył, a następny téż w tém samym jeszcze miejscu się rozpoczął. Jak dzień, król wstawszy, ogromną moc ludu rozbrojonego, nieopatrznie na słowo puścił, odartych obdarzywszy odzieżą i żywnością na drogę, i cały ten tłum z przewodnikami poszedł ku Osterode, który później Krzyżacy na słowo nie zważając, nazad do pułków pozaciągali.

Nazajutrz już wojsko ruszyło się, aby od pobojowiska i powietrza się oddalić ku zamkowi Wysoki Kamień, który nie broniąc się poddał. Nie było téż komu przeciw takiej liczbie go osłonić i spotkałby go los Gilgenburga. Otwarli więc

bramy, zastępca komtura i garść jaka tam była poddając się królowi.

Tu gdy już późnym wieczorem obóz zataczano, a Witold szedł do swojego namiotu na spoczynek, dano mu znać, iż ksiądz, który uchodził z niewoli od Krzyżaków, czy też z ich ziemi jechał, Polak rodem, mówić z nim pragnął.

Więc choć pora była spóźniona, do namiotu go przywieść kazał.

Człowiek był już nie młody, pokorniej twarzy i układu, który począł od tego, iż się opiece księżęcia oddawał i przypomniał mu, jakoby go w Wilnie miał, lub w Trokach widzieć.

Ks. Witold wprowadzie ani twarzy, ani człowieka nie pamiętał; lecz łaskawie go dosyć przyjął i pytać począł zkąd i za czém jechał?

Przyznał się ks. Marcin, że uchodził od Krzyżaków, skarżąc się, iż tam w ogóle świeckiemu i innemu zakonnemu duchowieństwu bardzo było ciężko żyć.

— Niestanie ich tu wkrótce — odparł ks. Witold, i inne rzędy muszą nastąpić. Król Jagiełło wygna ztąd Zakon i sam te ziemie obejmie.

— Dałby to Bóg — odparł ksiądz — chociaż nam, którzyśmy na ich potęgę patrzeć nawykli, wydaje się to trudnem wielce, nawet po zwy-

cieżtwie, jakiem Bóg królowi i W. Ks. Mości pobłogosławił.

— Mająż oni moc jaką jeszcze? Marienburg poddać się musi.

Ksiądz zamilkł.

— Nie wiem—odparł po chwili—lecz zamczysko jest mocne, a bez ludzi nie pozostało.

— Wszystko się nam poddać musi—dorzucił Witold tak jak dziś Hohenstein, tyłkośmy przyszli. A oto i biskup Warmiński posły dziś do obozu wyprawił, o pokój prosząc i o oszczędzenie ziemi jego.

— I zapewne łaskę tę otrzymał?—spytał ks. Marcin spokojnie.

— Nie—rzekł książę—bo i poseł podejrzany i słowa, które przyniósł; lecz jeśli biskup sam przybędzie do obozu i królowi się podda z ziemią swą...

Ksiądz podniósł ręce obie do góry, jakby Boga sławiąc.

— Nieodgadnione—rzekł—wyroki Pańskie. Potęga króla Jagiełły rośnie, a nic jej już teraz obalić nie będzie mogło. Wszystkie te kraje ułedz mu są zmuszone.

Tu począł się rozszerzać nad wielkością Jagiełły, i mówił tak długo, aż na czoło ks. Wi-

tolda zmarszczkę wywołał, bo o nim ani wspominał. Zręczniejsz jeszcze do niego się nie odnosząc, jako namiestnika królewskiego, prosił o wstawienie się.

Witoldowi twarz się zarumieniła.

— Ja namiestnikiem nie jestem, a nie zapominajcie, że bratem jego i nad moimi ziemiami taką mam moc, jak on nad krajem, w którym panuje.

Ks. Marcin posepnie zamilkł.

— Jeśli W. Ks. Mość nie jesteście namiestnikiem, przebaczenie mnichowi, który spraw świeckich nie zna i rozumu do nich nie ma: jeśli nie jesteście, to nim będziecie w przyszłości.

— Ja?—podchwycił Witold.

— A możeż to być, aby taka siła, jaką król Jagiełło uzyska, gdy Zakon obali i ziemie jego zabierze, dała się przy sobie ostać jakiejś innej? Wszyscy sąsiedzi namiestnikami zostaną, bo ich zawojuje, gdy Zakonu nie starczy.

Witold się doń żywo obrócił.

— Więcej jest rozumu w twych słowach, niż wy go sobie przyznajecie—rzekł—ale pewnie nie z miłości ku mnie je wyrzekliście?

— W. Ks. Mość zrozumiesz je jak zechcesz, jam biedny mnich, ubogi.

I skłonił się pokornie.

Ciągnęła się dalej rozmowa o Zakonie i o jego potędze, poczem ks. Witold zapewniwszy księdza Marcina o łasce swój i obdarzywszy go, odpuścił. Ponieważ pisarze królewscy jeszcze zajęci byli, bo król nowych gońców wyprawiał, po pierwszych z chorągwią Św. Jerzego i listami do królowej wysłanych, wskazano księdzu namiot dworski, aby tam z innymi duchownymi mógł spocząć. Uczynił to ks. Marcin, a że po polsku mówił dobrze i dawnym się Benedyktynem z Łysiej góry opowiadał, mile go tu przyjęto.

Starając się ze wszystkimi poprzyjaźnić, ująć kogo mógł, począwszy od podkancelerzego, ofiarując téż posługi swe do pióra, jeśliby ludzi brakło, wnet się tu znalazł jak w domu i rozgościł. Nazajutrz już mszę świętą odprawiał w kaplicy dworskiej i z księżmi, jakby oddawna znajomy, poufale obcował. Radzi mu zaś byli wszyscy, bo wiele umiał o Krzyżakach opowiadać, i zdawał się ich z duszy serca nienawidzić.

Nazajutrz, gdy ten i ów dalsze ciągnięcie na Malborg doradzał i do pośpiechu naglił, ks. Marcin wymownie bardzo umiał dowieść, iż bynajmniej śpieszyć się czego nie było, bo nieprzyjaciel spłoszony i wylękły i za miesiąc nowych sił zebrać

nie potrafi, a wojsku po zwycięstwie wczas i wypoczynek się należał.

A że to i innym dogadzało, słowa więc ks. Marcina rozeszły się po obozie i wielce się do tego przyczyniły, iż postanowiono wolnymi krokami, a małymi dniami iść zabierając zameczki po drodze, które król rycerstwu swojemu oddawał.

Popłoch w kraju był taki, iż się najwarowniejsze grody, nawet nie broniąc i nie próbując ostać, jedne po drugich zdawały, niektóre nawet najprzód wysyłały posłów swych, dobrowolnie klucze śląc i prosząc o załogi.

Nie wojna to już była, ale pochód zwycięzki, który serca radował i podnosił.

Dawszy więc wojsku spocząć pod Wysokim Kamieniem, pociągnął Jagiełło nad jeziorem Husteńskim, rozbiwszy obóz w niewielkiem oddaleniu od Morąga. Ks. Marcin też, znać do czynienia nie mając nic, z pisarzami króla i kapelanami dalej ciągnął, przenosząc, jak mówił, bezpieczną tę podróż za obozem, nad puszczenie się w drogę, po której rozproszonych jeńców, zbiegów i wszelkich ciurów, do napaści skłonnych, kupy się wszędzie włóczyły.

Tu pod Morągiem Witoldowy gniew się wywarł na jeńców krzyżackich.



Byli pomiędzy nimi dwaj starsi komturowie, Salzbach i Szumberg, którzy niegdyś na zjeździe pod Kownem, niepoczciwemi słowy matkę księcia zelżyli. Gdy ich na placu wzięto pod Grünwaldem, chciał książę zaraz ich dać pościnać: Jagiełło się oparł. Wraz z innymi znakomitszymi brańcami prowadzono ich za wojskiem. Tu pod Morągiem stojąc, Witold gdy obozy objeżdżał, natrafił na siedzących na ziemi dwóch nieprzyjaciół swych i konia zatrzymawszy, a podniósłszy rękę, zawołał na Salzbacha:

— Widzisz, dumny mnichu jakiś, dostało ci się na coś zasłużyć: idziesz w moich pętach.

— Myślisz, że mnie to trwoży, albo odmieni? — odparł Salzbach — prosić ci się dlatego i kłaniać nie będę! Co mnie dziś spotkało, jutro może spotkać ciebie. Jest na Marienburgu Witoldowa jama, może czeka na dawnego mieszkańca.

Ostremi temi słowy rozjątrzony Witold, pobiegł zaraz do króla, zaklinając się, iż precz odciągnie, jeśli dumy tych ludzi nie ukarze.

Jagiełło zmilczał.

Tegoż wieczora, wyprowadzonych za obóz, Witold zdala na koniu stojąc, obu ściąc kazał. Poszli na śmierć milczący i głowy ich padły.

Ks. Marcin zdala na to patrząc pobladł, ręce złożył, ale nie rzekł nic.

Następnego dnia zbliżył się obóz do miasteczka i zamku Morąga, który mógł się bronić, bo i mury miał bardzo mocne i dokoła przepaścistemi otoczony był błotami i bagnami.

Posłał Jagiełło na rozpatrzenie położenia Andrzeja Brochockiego, który z sobą wziął garść żołnierza; lecz zaledwie na groble wiodącą ku zamkowi wjechali, nad bramą ukazała się chorągiew biała i z wrót wyjechało kilku konnych, którzy zamek zdać ofiarowali. Tych zatrzymawszy, Brochocki zawrócił sam, aby wziąć u króla rozkazy. Król właśnie z konia miał zsiadać, gdy nadbiegł.

— Morąg się poddaje—zawołał pan Andrzej.  
Lice się rozjaśniło Jagielle.

— To go W Mość sobie weź i w nim siedź—  
rzekł—a trzymaj się, abys mi go nie puścił.  
Daję ci go w dzierzawę.

Skoczył pan Andrzej z konia tą niespodzianą łaską uszczęśliwiony, aby nogi królewskie ucałować.

Nie był to pierwszy zamek w dzierzawę dany, gdyż Wysoki Kamień dostał się Dołędze Kretkowskiemu, a później inne Mroczkowi z Łopu-

chowa i Wielkopolskiemu, który w tarczy miał Łaski.

Musiał podziękowawszy panu zawracać Brochocki zaraz, poczet swój cały z sobą zabrawszy, aby zamek objąć. A była rzecz nie małej wagi, nie zabrać co się dobrowolnie zdawało, lecz siedzieć wśród ziemi jeszcze niepodbitej i utrzymać się.

Ci co królewskie wyrazy słyszeli, jeśli panu Andrzejowi winszować; on choć się śmiał, a łaską nie gardził, niemal frasować się musiał: zamku bowiem nie znał, a z poddania się jego raczej źle niż dobrze o nim mógł wróżyć.

Inaczej się jednak okazało.

Gdy rozbroiwszy tych co naprzeciw wyszli i wysławszy ich, aby reszta złożyła broń, wjechał Brochocki po spuszczonej moście na zamek i jął się po nim i okolicy rozglądać, serce mu urosło. Zimową chyba porą, gdyby trzęsawiska mrozy strzymały, łatwiejszym mógł być do zdobycia; w lecie doń przystępu nie było dla bagien, a grobla łatwo rozerwaną i bronioną być mogła.

Załogi w Morągu szczupło się znalazło: dwóch zakonników, knechtów nie wielu i ochotnika z miasteczka.

Tych wszystkich, z wyjątkiem Krzyżaków, jako jeńców oddał p. Andrzej do obozu, sam ze swoimi do nowego zabierając się gospodarstwa.

Było na murach i dział kilka i spichrze, a komory zapasów różnych pełne. Przeżegnał się na most wstępując Brochocki, ale poza siebie spojrział smutnie, bo mu wojska i towarzyszków żal było.



Nie zastał pan Andrzej w Morażu, jak później Mroczek w Pruszmorgu klejnotów i kosztowności, ani takich zapasów jak w Dzierzgowie w kilka dni potem Jagiełło; miał przecież czém łzy otrzeć po towarzyszach swych płacząc, gdy nazajutrz wojsko dalej pociągnęło. Na zamku urządzone było wszystko po krzyżacku, z pozorów ubogo i mniszo, rzeczywiście wygodnie i dostatnio. Obejrząwszy się po kątach, wszystkiego było dosyć: żywności w spichrzach, choćby kilka miesięcy trzymać się przyszło, w składzie sukna dla żołnierzy podostatek, spiżarnia obficie uposażona, w lochu kilka beczek wina i miodu, sprzęt wszelki. Gdy nazajutrz po zamku jeszcze chodząc, a kąty opatrując, świeżo zamazaną ścianę spostrzegł, i z zamurowania czegoś się domyślając odbić ją kazał, znaleziono też

grosza niemało, srebra, złota i klejnotów, a łańcuchów pięknych, które się na podarki przydać mogły. Miasteczko też było niczego i tegoż wieczora przyszła się starszyzna pokłonić, coś niosąc na misach. Tym pan Andrzej przez tłómacza zapowiedział, iż jak dla posłusznych i dobrych potrafi być ojcem, tak, gdyby w konszachty jakie z Krzyżakami wdawać się, a do niepokoju jakiego mieszać się chcieli, ukarać surowo potrafi. Poczém ukazał im na murach działa i dodał, że nieprzyjaciela się nie spodziewa, lecz na miasteczko je obrócić każe, gdyby mu nieposłuszném być chciało.

Nikt tam o tém nie myślał naówczas, gdyż zamki z kolei ogołocoone z żołnierza, jedne po drugich się poddawały. Szło więc wszystko jak z płatka. Ludzie, których z sobą pan Andrzej wziął, choć ich garść była nie tak znaczna, dobrani byli, doświadczeni i mężni, a starczyli na obsadzenie zamku, który raz zająwszy i strażę ustawiwszy, spać było można spokojnie.

Wziął też z sobą Dienheima Brochocki, a ks. Jan znużony drogą i nie wiedząc co czynić z sobą, zgodził się na to, by w Morągu odpocząć, pókiiby o Ofce jakiej nie powziął wiadomości. Dienheim się pewnie nie mniej o nią i jej los nad staruszka kłopotał, lecz zdawało się niepodobieństwem dostać

języka, chyba w Toruniu, do którego sam ks. Jan nie wiedział spełna, jak teraz mógł się przebrać.

Byłato właśnie niedziela, gdy odciągające wojsko pożegnawszy, na zamek swój wrócił p. Brochocki. Poszedł więc do kaplicy, która przy zamku stała i pięknie była urządzoną, choć szczupłą, aby mszy świętej wysłuchać, bo z nią ks. Jan na niego czekał. Ludzie z załogi i Dienheim zebrali się też w kaplicy na nabożeństwo, a do odprawienia go nic nie brakło, bo nie mieli czasu ruszyć zakrystyi Krzyżacy i wszystko było w pogotowiu.

Dienheim smutno przy drzwiach stanął i nie modląc się prawie, przypatrywał się téj dziwnej losu zmianie, której pojąć nie mógł. Lat kilka wojując z zakonnikami, jako pół-brat, napatrzył się ich zamożności i nadziwił potędze: nagły upadek zdawał mu się jakby snem i niepodobieństwem.

Po nabożeństwie poszli znowu zamek oglądać, w którym, starym obyczajem, komórek, schówek, dziur, cel i różnych zatajonych izdebek było pełno. Wszędzie się jeszcze jakiś ślad życia znajdował i zamożności, a wiele rzeczy tajemniczych i niezrozumiałych, chociaż prawdopodobnie wywieziono i rozchwytno wiele, znalazło się i tak dosyć sprzętu, naczynia i broni.

Gdy obszedłszy mury dokoła, mieli powracać na górę, gdzie były komnaty dawniej komtura i starszyny, a dziś nowego dzierżawcy; Dienheim dostrzegł stojącego u dołu przy schodach człowieka, który się Brochockiemu do ziemi prawie kłaniał.

Gdy głowę podniósł, ujrzeni taką poczwarę, że rycerz co się nie zwykł był niczego w świecie lękać, o mało się przed nią nie cofnął.

Była to jedyna żywa pozostałość po Krzyżakach, człek mały bardzo, karłowaty, gruby, na krótkich nogach z ogromnymi stopami, z rękami długimi, nadzwyczajnych rozmiarów dłoni i palców, z głową nad zwykłą wielkość rozrosłą, okrytą szczecinowatym krótkim włosem.

Twarz jego żółta, z nosem dużym i szeroko roztwartą gębą, w części okryta była takim samym zarostem twardym jak głowa, uciętym też krótko i sterczącym ostro na brodzie, wusach i policzkach. Odziany w kubrak szary, pasem skórzanym obciągnięty i chodaki mając sznurami poprzywiązywane, znać wydobył się z popiołów i pieca, bo cały był jeszcze osmolony.

Zobaczywszy go pan Brochocki, zapytał coby za jeden był.

Chociaż bardzo popsutym językiem, obżałowany powiedział, że był glockmeistrem przy zamku, że tu od dzieciństwa się wychował i że się zaczął, aby w nim pozostać, i prosił, by mu wolno było nowym panom służyć, zwłaszcza, że nie z niemieckiego pochodził rodu.

— A może-bym się na co i przydał — dodał — bo ja tu wszystkie kąty znam i nieraz różne pełniłem obowiązki.

To mówiąc śmiał się.

— Byłem backmeistrem, i kornmeistrem i fischmeistrem, choć nigdy do Zakonu nie należałem i ani pół, ani ćwierć bratem nie byłem.

Ruszał ramionami, kłaniał się ciągle i z ogromnej swęj stopy jednej na drugą przechylał się, jakby na miejscu wytrwać nie mógł.

Brochocki namyśliwszy się, zostać mu przy kuchni dozwolił, zlecając rąbanie drew i noszenie wody.

Pokłonił mu się aż do stóp stary dzwonnik i dodał:

— Kiedy już W. Miłość tak miłosierną jest, to się chcę odwdzięczyć. Czy W. Miłość zna wycieczkę zamkową?

Wszystkie naówczas zamki, na wypadek ostatecznego niebezpieczeństwa, miały urządzone,



dobrze ukryte wycieczki, a właśnie tój na zamku Brochocki odkryć nie mógł: kazał ją sobie pokazać.

Ogromnemi krokami przodem poszedł dzwonnik do narożnej wieży, w której był skład broni. W izbie tej na pierwszy rzut oka nie widać nie było.

W podłodze pod ławą ciężką uchylała się posadzka i wąskie schodki wiodły ztąd ciasnym przejściem, aż do miasteczka, gdzie w ratuszowej izdebce schodami się ono kończyło.

Wkupiwszy się tém odkryciem dzwonnik, powlókł się jeszcze za Brochockim, różne rzeczy opowiadając, aż do schodów znowu. Tu mu się poleciał, oznajmując, że go dawniej Krzyżacy zwali Pilzem, bo jak grzyb wyrósł na murze zamku i rodziców swych nie znał, a imię mu było Abel. Ukłoniwszy się do nóg, pozostał na dole.

Dienheimowi téż nie chciało się w izbie zamykać i zatrzymał się dla rozmowy z tą dziwną figurą, w której się domyślał skrytego przyjaciela, a może szpiega Krzyżaków.

Zawiązał więc z nim, albo raczjć usiłował zacząć rozmowę, oznajmując najprzód, że był jeńcem wojennym.

Nieufny Abel nie miał ochoty wdawać się w żadne stosunki zrazu, udawał, że mu śpieszno drzewo do kuchni przysposabiać.

Tymczasem jednak pilnie się przypatrywał Dienheimowi i słuchał co mu rozповідаł, na większą część pytań jednakową zawsze dając odpowiedź, iż mało co, albo nic nie wie; znudziło to w końcu Dienheima, który na mury wszedł dla przechadzki i ztamtąd miasteczku się przyglądał smutnie. Ocalone od pożaru i grabieży, którymby nieochybnie uległo, gdyby zamek się był nie poddał, wydawało się ztąd dosyć zamożném i porządném. Życia w niém jednak mało znać było, bo się mieszkańcy z obawy załogi nowęj pochowali i siedzieli nie ukazując nawet w ulicach. Do studni w rynku, kiedy niekiedy wybiegłszy z domu, oglądając się dokoła, śpieszyła dziewczyna, zaczerpywała wody i uchodziła śpiesznie drzwi zatrzaskując za sobą. Gdy się tak po murach przechadzając dumał Dienheim, z miasta wyszły dwie zakwefione kobiety i drogą, która szła pod wałami zamku widać wyniść chciały za groblę, a może dalej w świat; ale żołnierz stojący na straży wstrzymał je i zawrócił, bo dnia tego jeszcze nikomu z miasta, ani kobiecie, ani mężczyźnie oddalać się nie pozwalano, aby do innych

zamków krzyżackich nie dano znać o nadciąganiu wojsk królewskich.

Kobiety, jak z ubioru wnosić było można, mieszczańki z Morąga, chciały śpiesznie powrócić nazad, gdy żołnierz im stać kazał, grożąc że strzeli, i czekać, ażby się z niemi wysłany kto nie rozmówił. Obawiano się, aby jakich listów nie niosły.

Chociaż kobiety miały zakwefione twarze, postać jednej z nich, młodziej jak się zdało, uderzyła mocno Dienheima. Głowę mając nabitą wspomnieniem Ofki, zdawał się w ruchach i postawie znajdować do niej jakieś podobieństwo. Właśnie dano znać o tém panu Brochockiemu, gdy i Dienheim nadszedł, ofiarując się sam kobiety wybadać i przynieść o nich wiadomość.

Niewielką przywiązując wagę do tego wypadku, pan Andrzej zgodził się posłać swojego jeńca.

— Najlepsza będzie rzecz—rzekł—przyprowadzić je tutaj, a ja się już sam z nich prawdy dowiem.

Kobiety niezmiernie przełękłe stały u murów, straż mając nad sobą z wymierzonym samopałem dla postrachu, gdy Dienheim nadbiegł.

Młodsza z nich odwróciła się nagle zoczywszy go i nie chcąc mieszać się do rozmowy, a starsza sama podeszła lamentując.

— Miłościwy panie — rzekła — cóż słabe kobiety złego wam uczynić mogą? Szłyśmy niedaleko do cudownej figury się pomodlić za stawem.

Wskazała ręką. — Oto tam, gdzie te drzewa stoją.

— Iść dziś nikomu nie pozwolono — zawołał Dienheim, usiłując się ukrywającej przypatrzeć. Ale ta zwróciła się twarzą osłoniętą ku stawowi, a była tak w chusty obwinięta, iż oprócz oczu nic z pod nich widać nie było.

Jeszcze to więcej rozbudziło ciekawość Dienheima.

— Należałoby — zawołał — abyście poszły się tłómaczyć do dzierzawcy na zamek.

Kobiety się pomieszały: spojrzały na siebie.

— Ja tam mówić z nim nie potrafię — rzekła starsza — a co ja mu mam powiedzieć?

— Takie jest przykazanie jego — odparł Dienheim — alem ja sam jeńcem, żal mi was, a tych czyja siła, słuchać i szanować trzeba.

— No, to ja pójdę sama do niego; po cóżbym to dziewczę, córkę moją, między żołnierzy prowadzić miała? Ona sobie do miasta powróci.

Zrazu chciał się Dienheim upierać przy swoim, ale go starsza kobieta tak prosić zaczęła, że uległ i młodszéj odejść dozwolił. Przypatrując się jak żwawo nazad do miasta uchodziła, przypomniał sobie biegającą po Toruniu Ofkę i podejście jego nie tylko się nie zmniejszyło, ale nawet urosło.

W czasie, gdy pod murem szli, a żołnierza wyminęli, Dienheim miał zrećność przybliżyć się do starszój kobiety i szepnąć jéj:

— Jeżeli ta dziewczyna co wam towarzyszyła, z Torunia jest, co mi się zdaje, a nazywa się Ofka Noskówna, powiedzcie jéj, że wuj, czy stryj jéj ksiądz, który za nią goni, na zamku się znajduje; że w zamku dowodzi Brochocki; i że w niewoli jest ten, komu rok temu dała pierścionek, a w miesiąc go potém odebrała.

— Ale co się wam śni, miły panie—oparła się mieszczka—to córka moja Tekla, która nigdy w Toruniu nie bywała i nikomu pierścionków nie dawała.

Nie miał już czasu odpowiedzieć Dienheim, bo we wrota wchodzili, gdzie straż polska stała, a w dziedzińcu na schodkach Brochocki.

Mieszczanka weszła kłaniając się i tłómacząc.

Ostrożny pan Andrzej kazał jej przysięgać, że papieru nie miała i do Krzyżaków nie szła; zapowiedział groźno, że do trzech dni z miasta nikt się oddalać nie ma prawa i wylękłą odpuścił.

Dienheim ją wywiódł za bramę i dopiero gdy żołnierzy minęła, powrócił na zamek. Ofka mu w głowie i sercu tkwiła.

Brochocki, który dosyć młodego chłopaka polubił i widział go coraz łagodniejącym, bo się Dienheim z nim obywszy, nie tak mu ostro stawiał się jak wprzód, posługiwał się nim potrosze.

Wieczorem opatrzywszy mury i strażę, kazał podnieść most i spuścić brony, zabrawszy klucze, gdy ognie były powygaszane, poszedł spać dowódzca i Dienheima do jego celi zapędził. Zdala na ciemnym niebie świeciły łuny, nie dało to spać jeńcowi; paliło się gdzieś na siołach, które wojska ciągnęły.

Nazajutrz rano z nałogu, dzwonnik na jutrznią wydzwonił, choć do chóru nie było komu iść. Wdzięchen za to tylko był może ks. Jan, który zaraz do kaplicy na modlitwy pospieszył.

Nikt nie sprzeciwiał się staremu Ablowi, aby wedle zwyczaju godziny nabożeństwa wydzwaniał,

śmiano się tylko z jego głupoty, iż tego rozumieć nie chciał, że to już wcale nie było potrzebném, gdy na prymę, tercyą, sekstę, nonę, nieszpór i komplete nikt nie chodził.

Tak był znać nawykł do starego porządku, iż co chwila do niego powracał machinalnie, wzdychając tylko, gdy przypomniął sobie, iż nie było nikogo z braci, coby regułę zachował.

Abel sam się ofiarował za służbę dla Dienheima i z rana do celi jego zapukał, misę niosąc z wodą i dzban cynowy. Ustawiwszy to, sam w progu się wstrzymał, oglądając dokoła, i chrząkał.

Spojrzał nań jeniec i zobaczył, że mrugał nań tajemniczo, śmiejąc się w sposób odrażający. Dał mu znak, ażeby przystąpił.

— Macie mi co powiedzieć?

— Nie—mruknął Abel—tylko tak, ot tak... od siebie. Jeżeli wam z zamku wychodzić wolno, czemubyście nie poszli na miasteczko, kiedy... hm... naprzykład dziś po południu.

To mówiąc, ręce w tył założył.

— Ot tak, ręce w tył założywszy, aby chodzić. Miasteczko czyste, ładne. Mogłaby was wczorajsza matrona zobaczyć, toby was zaprosiła: miód mają dobry.

Zniżył głos, pokłonił się śpiesznie i odpowiedzi nie czekając, oddalił się.

Dienheim zamyślił się; ciekawość go niezmierna paliła i już tylko czekał, prędko-li się popołudniowej godziny dobije. Ledwie słońce wschodziło! Dzień wydać mu się musiał długim do nieskończoności.

Ks. Jan domagał się u Brochockiego, aby go odpuścił, chciał iść pieszo; ale dowódzca go wstrzymywał, raz, że duchownego mieć pragnął, powtóre, iż mu starca samego puszczać żal było. Ściągał więc, namawiając by czekał, aliści wiadomości jakiej i języka nie dostaną.

Brochocki dowodził z pewnym do prawdy podobieństwem, iż dziewczę szalone wmieszawszy się nieostroźnie w tłum walczący, poledz w nim musiało.

Dzień upłynął dosyć nudnie, bo na zamku nie było co robić. Opatrywano broń w arsenale, która była cała dla knechtów przeznaczoną, bo nie paradniejszego w zbrojowni nie zostało. Tę więc rozdawał pan Andrzej między swych ludzi, którzy lżej byli zbrojni.

Dienheim zażądał pozwolenia, aby mógł choć miasteczko obejrzyć, a że słowo był dał, Brochocki nie bronił.



— Proszę tylko waszmości—dodał—ani z mni-  
chami, którzy tam może gdzie się jeszcze kryją,  
ani z babami mi się nie wdawaj: jedno i drugie  
niebezpieczne.

— A cóż Waszój Miłości baby szkodzić  
moga?

— Mnie one nic już, dzięki Bogu, nie zrobią,  
ale wam—odparł p. Andrzej.

— Ja się ich nie lękam—śmiejąc się rzekł  
Dienheim.

— Dowiedziona to rzecz, że czary mają, a,  
jak słyszę, czarownic gorszych niema i nie było  
nad pruskie.

Dienheim ramionami ruszył.

Z południa tedy, wyszedł z zamku i tąż samą  
drogą, którą wczoraj kobiety przechodziły, rozglą-  
dając się powoli, niby dla rozrywki i przechadzki  
tylko, powlókł się ku środkowi miasteczka.

Porządne ono dosyć było i zamożne, a pod  
ten czas i ludniejsze niż zwykle, gdyż w niem  
z okolicznych wsi dużo się zbiegło wieśniaków,  
którzy się tu schronili. W ulicach jednak mało  
kogo spotkać było można. Mały ratusz wznosił  
się przy rynku; przypatrywał mu się właśnie  
Dienheim, gdy okno otworzyło się w domu nieo-  
podal i wczorajsza znajoma powitała go. Była to

niewiasta lat statecznych, znać dostatnia, ubrana czysto, we wdowim czepcu. Jeszcze się jój nie miał czasu odkłonić, gdy skinęła, aby do niój zaszedł, uprzejmie ręką zapraszając.

Wstąpił tedy ku drzwiom i na schody, a tu już na górze czekała go jójmość i obiema rękami witała, wskazując izbę.

Wszedł tedy pokłoniwszy się jeniec.

Nie było to mieszkanie bogato przystrojone, ale téż nie biédne. Izba malowana, ławy i stołki do siedzenia, stół na toczonych nogach, stołków kilka z poduszkami, a na oknie trochę zieloności.

Prosiła go zaraz siedzieć, wzdychając i poczynając od uzaleń nad ciężkimi czasy.

— Przeszliśmy — rzekła — z pod panowania zakonników pod żołnierskie. Nie wiem czy lepiej nam będzie. Z tamtymi się już człowiek obył i miał środki ulżenia sobie, a ci nowi, głodni, dadzą się we znaki; ale Bóg litościw, to nie długo potrwa.

Dienheim nie odpowiadał. Ciekawość go największa brała o wczorajszą tę mniemaną córkę jójmości, lecz o nią pytać nie śmiał. Oczyma więc rzucał tu i owdzie: wdowa śledziła jego wejrzenia.

— I was wzięto w niewolę—odezwała się—  
Pan Bóg wie, kiedy się z niej wydobędziecie.  
Słyszę, naszych panów, nawet komturów, dużo  
pościnali. Nie może być, aby Pan Bóg za to nie  
wziął zemsty.

Westchnęła.

Już Dienheimowi na niecierpliwość się zbie-  
rało, gdy mieszcza uśmiechając się, poczęła:

— Zkąd-że to Waszój Miłości przyszło wczoraj o jakąś Toruniankę mnie pytać? Czyście to pamięć tak wierną dla niej zachowali?

— Gdyby ona choć w dziesiątej części tak o mnie pamiętała, jak ja o niej—zawołał Dienheim—ale to trzpiot dziewczyna. A gdzież córka wasza, Tekla?—dodał po chwili.

— Chcielibyście ją widzieć? a po co?—zapytała mieszcza.—Wy panowie, grafowie, żaden z was mieszczańskiej córki nie weźmie, tyłkobyście je bałamucili. Wszakże grafem jesteście?

— Tak, moja jójmość—rzekł Dienheim—tylko grafstwo moje ani chleba mi nie da, ani mięsa: muszę go zarabiać mieczem i kopiją w służbie.

Począł więc, widząc, że się tu więcej niczego nie doczeka, zbierać się do wyjścia, gdy drzwi boczne się otworzyły powoli... jakieś jedno oko

przez szparę zaczęło badać izbę i po chwili, w progu się ukazała Ofka.

Poznały ją wszędzie Dienheim, bo był głowę dla niej postradał, ale stanął osłupiały, tak zmieniłone znalazł to śliczne i świeże dziewczę.

Świeciły się jeszcze oczy, blaskiem większym może niż za dawnych swobodnych czasów, ale różowa twarzączka pobladła, wpadły policzki, usta zsiniały. Patrzała nań smutnie. Weszła powoli z izdebki drugiej, kłaniając mu się zdala.

— Poznaliście mnie, panie grafie—rzekła— a no nie wiem jak i po czém, bo i z odsłoniętą twarzą jam do siebie nie podobna. Patrzcież-no, patrzcie co się stało ze mną! Ot, jakem zbiédzona i nędzna.

— Jeśli prawda co mi opowiadano—odezwał się Dienheim—to tylko dziw żeście życiem nie przyplęcili, bo w obozie was za zabitą miano i my z ks. Janem, wujem waszym, ciała waszego szukać jeździliśmy.

Uśmiechnęła się Ofka.

— Prawda—rzekła—puściłam się na szalone sprawy, ale jakże patrzeć było na to co się działo i nie rozpalić się gniewem, a gniewem pałając, z założonemi siedzieć rękami.

— A na cóż się to zdało, żeście siebie święcili, gdy daleko większe siły Zakonu ratować nie mogły? Padł on pod Grünwaldem.

— Zakonnicy, nie Zakon! — odezwała się Ofka — Zakon nie może paść! nie może i nie padnie! Wszystko się odmieni, Zakon ma złoto i opiekunów. Węgrowie pojechali do Gdańska po to złoto, które Zygmunta kupi. Najedzie ziemie Jagiełły, który na ratunek swojego kraju śpieszyć będzie musiał, a wówczas z całej Europy zbierzemy żołnierza, najedziemy jego ziemię i pomścimy się za naszych braci!

Dienheim słuchał jak z coraz większym zapalem mówiła Ofka.

— Daj Boże, by tak było—rzekł—ale ja nie wiem, czy tak będzie: lada godzina Marienburg zabiorą.

— Nigdy!—odparła dziewczyna—Plauen już tam jest ze swymi ludźmi z nad granicy. Są tam ci, co zbiegli tego dnia nieszczęśliwego. Jagiełło się spóźni, i nie będzie go miał: nie będzie.

Nagle zwróciła się ku niemu.

— Mój wuj jest tu?—zapytała.

— Wstrzymuje go Brochocki.

— On na zamku panem?

— Król mu go dał dzierżawą.

Dziewczyna się zadumała.

— Musicie mi pomódcz, abym się ztąd wydo-  
była—rzekła.—Zakon potrzebuje usługi od sióstr  
równie jak od braci: ja tu pozostać nie chcę,  
nie mogę.

— O!—zawołał Dienheim składając ręce—  
gdybym słowa rycerskiego nie dał, uciekłbym sam  
z wami.

— A komużecie je dali?—zapytała Ofka.

— Temu, co mnie wziął w niewolę.

— Oni słowa nie trzymają—przerwała go-  
rąco Ofka—im go téż niéma potrzeby dotrzy-  
mywać.

— Tak, ale słowo rycerskie sobie samemu  
zachować trzeba, kto się zniesławić nie chce.

Ofka popatrzała nań i siadła wskazując mu  
siedzenie. Mieszczka słuchała rozmowy z podzi-  
wem nad dziewczęciem i ustami otwartemi.

— Pomożecie mi do uciezki?—spytała.

— Uczyniłbym to z serca, gdybym was jak  
dawniej nie miłował—odezwał się Dienheim—nie  
mogę was wystawiać na daremne niebezpieczeń-  
stwo. Co myślicie? powiedzcie mi. Nie lepiejże  
byłoby oddać się wujowi i powrócić do matki?

Z siedzenia się porwawszy, dziewczę dłonie  
białe załamało, spuściwszy je.

— A! tak! tak... wrócić do matki, kąpiel prząść i śpiewać piosenki, i zaplatać włosy, i uśmiechać się do mazowieckich niedźwiadków. A tak! tak!—wołała—toby było najlepiej. Ale ja siostra, ja do Zakonu należę, ja za niego krew dać powinnam.

— I cóż ta krew pomoże? — spytał Dienheim.

— Tam gdzie sto tysięcy ludzi nie nie uczyni, tam mały robak coś może, gdy wola Boża z nim.

Dienheim się rozśmiał, a Ofka oburzyła.

— Mnie teraz nie do matki, do Torunia potrzeba; oni na nasze miasto najdą i gotowi je zabrać także: Toruń nie ma téj co Marienburg obrony.

— Na miłego Boga—przerwała dotąd w milczeniu słuchająca mieszcza—co wam téż w głowie? cóż wy potraficie, tam gdzie tyle i takich mężów, i taka mądrość i siła.

Ofka nie zdawała się ani słuchać, ani zważać na słowa mieszczyki: przechadzała się po izbie.

— Złapałam się tu jak mysz w pułapkę—rzekła zamyślona. — Jechałam z Malborga do... nie wiem sama dokąd... ale miałam rozkazy, trzeba było uwolnić Salzbacha; byłabym go wyrwała

z ich rąk... a tu mnie ta nawalała na tym Morągu zachwycała.

— Toć znak, że wam się wyrzec należy wszelkich myśli próżnych—odezwał się Dienheim—a wracać.

Ofka tupnęła nóżką, by zamilkł.

Twarz jej posępna rozjaśniła się, uśmiechnęła, głos złagodniał.

— Grafie mój — zawołała — dam ci znowu pierścionek; daj mi wolność.

— A z pierścionkiem serce?—spytał Dienheim.

— U mnie z sercem i ręka chodzi!—rzekła wpół cicho — tyś graf.

— Będziesz żoną moją?—zawołał w zapale młody chłopak.—Nie mam z rodziny, tylko jednego brata. Wygnał mnie prawie z domu: ani posłuszeństwa, ani miłości mu nie winienem! Zbierzemy ludzi, zdobędziemy Dienheim; ja tam znam ścieżkę każdą: będziesz na Dienheimie królową.

— Z kądzialką w ręku, na pustym zamku!—rozśmiała się Ofka.—Nie, ja tego nie chcę. Widzicie, wy koło pieprzu i szafranu nie wytrzymacie w Toruniu, zbroi się wam zachce i harców,



a ja na Dienheimie nie wytrzymam ze stadem gołębi i gromadą kruków na wieży.

Stał Dienheim milezący.

— Pół roku ty dla mnie, pół ja się będę męczył dla ciebie. Bóg świadek, ożenię się z tobą.

Mieszczanka słuchając, to sobie oczy zakrywała, to klaskała w dłonie, to się odwracała do ściany, to znowu zwracała ku dziewczynie i rycerzowi.

— Grafie mój!—zawołała Ofka—czy myślicie, że ja tak chcę być wielką panią? żeby mi kłóto w oczy, żem prosta mieszczanka; żeby mi pan brat okazywał wzgardę, a pani bratowa nienawiść?

— Ależ ja was za wszystkich miłować będę —rzekł Dienheim.

Rozśmiało się dziewczę, lecz bez czucia i radości.

— A! dobrze! ślubu dziś nie weźmiemy—poczęła żywo—a potem zobaczymy! Najprzód mnie ztąd uwolnić potrzeba.

— Dokąd?

— Do Torunia! do Torunia!—wołało dziewczę—ja tam być muszę.

— Lecz czy się tam dostaniemy? w tamtą stronę poszły wojska Jagiełłowe.

— Przekraść się trzeba, by je wyprzedzić.

Dienheim przestał mówić, widząc, że szalejącego nie przemoże dziewczęcia.

Mieszczka stała osłupiała. Nagle Ofka obróciła się do jeńca i pochwyciła go za ręce obie.

— Tyś mnie gotów zdradzić i wydać wujowi!—zawołała—tobie chodzi o żonę bogatą.

Dienheim się oburzył.

— Tak—rzekł—o żonę, ale nie o bogactwa twoje, i tych wyrzec się jestem gotów.

Znowu dziewczę w oczy mu popatrzało długo, i jakby wywarłszy swą potęgę nad nim, rzekło śmiało:

— Jak ztąd uciekać? Droga jedyna prowadzi pod zamkiem, tamtędy nie można: schwytać nas mogą.

— Tak jest, tamtędy chodzić nie wolno.

— Przez błota i moczary? czółnem? wszak muszą być rybacy? wszak czółna się znajdują?

— A za moczarami i stawy?—zapytał Dienheim—tam kraj cały już Jagielle poddany; zamki w jego rękach: mogą nas pochwycić.

— Niech pochwycą—rzekła zamyślona—i toby nie było źle. Jagiełłoby mi przebaczył. wziąłby mnie znowu do dworu, bo mu pewno nie powiedzieli kto jestem... Trzeciego dnia wpuści-

łabym mu kroplę do puhara i Malborg byłby wolny.

Dienheim i mieszcanka milczeli z przerażenia, słysząc te wyrazy, które za szął brali. Ofka istotnie była jak nieprzytomną. Łamała ręce i chodziła po izbie.

— A! a!—rzekła—nie rychło wrócą nasze dobre czasy, gdy Zakon rósł i panował i sławił się; gdyśmy pod jego opieką siedzieli spokojnie, a nogą jedną stali na piersi Jagielle, drugą na brata jego głowie. Witold nas słuchał, Mazowieccy się nam kłaniali: Ulryk wszystko zgubił!

— I sam zginął—rzekł Dienheim—lecz, miłościwa pani, rozkazuj prędko, bo mnie na zamek wracać trzeba.

— Musisz mi do ucieczki dopomódz: do Torunia potrzeba.

Zgadzając się, skłonił głowę Dienheim.

— Ani dziś, ani jutro tego nie dokażę: trzeba szukać sposobów.

Mieszczka zbliżyła mu się nieznacznie do ucha.

— Abła się radźcie, wszak na zamku został: Abel poradzi.

Wielce zdziwiony Dienheim odwrócił się z uśmiechem niedowierzania; zdawało mu się szyderstwem,

by człowieka, który na stworzenie bez mózgu wyglądał, miał się radzić.

— Ale to prosty i nie mądry człek!—zawołał.

— On? niemądry?—głową w lewo i prawo rzucając, poczęła mieszcza — ależ to najmądrszy był z nich wszystkich na zamku, choć na najgłupszego wyglądał. On! nie mądry? O, miłosierny Jezu! a któż nim będzie?..

— Tam go na zamku za Boże nie mają stworzenie — rzekł Dienheim.

— Tak potrzeba! — szepnęła mieszcza.

Chciał wychodzić, nawet dobrego nie dostawszy słowa, gdy Ofka pobiegła za nim ku drzwiom.

— Prędzej — rzekła — potrzeba przyspieszyć ucieczkę; wy ze mną, ale nie myślcie byście sami byli; mam sługę. Wy będziecie mi obrońcą, broń dostaniecie na zamku.

Zadumany, nic nie odpowiadając, wysunął się z domu Dienheim i znowu wolno się przechadzając, począł ku zamkowi zmierzać.

Zaledwie ostatnie domy zostawiwszy za sobą, na murach zobaczył Brochockiego, który znać upatrywał go czy nie uszedł, że tak długo nie wracał.

Razem z ks. Janem przechadzali się wzdłuż

kortyn, a gdy Dienheima zobaczyli, zdala mu p. Andrzej zaczął.

Chłopak jednak szedł powoli, bo mu się w głowie kręciło, od szumu tych wyrazów Ofki, które słyszał, i wierzyć mu się im nie chciało. Znał on dziewczę dawniej, ale nigdy je tak zapaloną siostrą Zakonu nie widział. Ważył więc w sobie, czy ma jej pomagać do nierozsądnej ucieczki, czy ks. Janowi o niej donieść, aby ją wiozł do matki.

Ostatnie zdawało mu się rozumniejszém, gdyż żał mu było dziewczęcia, które za pół-obłąkane niemal uważał.

— W głowie się jej pomieszało — mówił do siebie—i nie dziw, kto patrzył na ten bój, kto widział ten dzień, kto słyszał łoskot padających tysięcy i jęk konających rycerzy tyłu, ten oszaleć może. Cóż dopiero słabe serce kobiece i niewieścia myśl, co jutra nie widzi?

Tak dumając zbliżył się do wrót. Abel siedział wśród żołnierzy, w najlepszej z nimi zgodzie, ze świeżej słomy plotąc misternie kapelusz, a robocie téj z wielką ciekawością przypatrywali się odpoczywający ludzie, podziwiając jej mistrzostwo.

\*

✧

\*

Wróciwszy do zamku, Dienheim się skrył, że-

by go Brochocki nie wziął zaraz na spowiedź, której się obawiał i unikał, bo i kłamać nie lubił i prawdy powiedzieć sobie nie życzył. Chciał się namyśleć, co ma uczynić z sobą i z Ofką. Widok jej całą dawną miłość jego, trochę ostygłą, rozżarzył na nowo; gotów był dla niej na wszystko, a wając to, na co oszalałe dziewczę rzucić się chciało, obawiał się o nią. Myślał też, że oddając ją matce, łaski jej sobie zaskarbi. Z drugiej znowu strony wiedział, że Ofka, która z niego jak z innych dworowała i szydziła, gotowa jest doń powziąć nienawiść, którejby już ani matka, ani w świecie nikt przemódz nie zdołał.

Siadłszy tak w oknie dumał aż do wieczora, a że p. Andrzej miał wiele do czynienia na zamku, rozpatrując się w swęj zdobyczy, bo mu król darował wszystko, nie nie przeszkadzało samotnemu rozmyślaniu.

Dopiero późnym wieczorem wszedł do izby Abel, niosąc mu coś do jedzenia na misie. Milcząc postawił na stole i nie zaraz się oddalił. Sprzątał po izbie, choć nie było co porządkować. Przypomniał sobie Kuno Dienheim, że mu się z Ablem porozumieć radzono.

— Byłem w miasteczku — rzekł.

— He? — rozśmiał się, patrząc nań bystro sta-

ry potwór i otwierając usta szeroko — piękne miasteczko, nieprawdaż? ale co to przeciw Malborga, Torunia i Elbląga! Wiem, żeście byli—dodał przechylając się po swojemu z nogi na nogę, — i siedzieliście długo, bom widział gdyście wyszli i wracali. Musiało się wam podobać? Stary miód najlepszy ma Paweł, a stare wino frankońskie u Möncha, a młoda piękna panna, co rycerzy chętnie przyjmuje... w rynku pod wieżą na górcie...

— Nie byłem ani na miodzie, ani na winie, ani mi w głowie takie dziewczęta — rzekł Kuno.

— Przepraszam, bo to po młodych chodzi, — rozśmiał się Abel, — ale gdzieżeście byli, boć kościół i tu macie, a tam zamknięty we dnie.

Kuno spojrział mu w oczy.

— Wiecie—rzekł — że jeńcem jestem i że biłem się dla Zakonu, któremu od lat kilku służę.

— A jakże! poznałem zaraz żeście nie z Polski. Oni inaczej mówią i na koniach siedzą—rzekł Abel zbliżając się i podparł się na stole poufale.

— Mówiono mi, że z wami można się w złym razie poradzić, bo rozum macie.

Abel Grzyb aż poskoczył i okręcając się dzielwacznie, aż ku drzwiom uszedł.

— He! he! — krzyknął—z téj beczki! Ja mam

rozum! ja jestem proste chłopisko co w piecu lega: zkąd u mnie rozum się ma znaleźć?

Położył rękę na klamce.

— Kto wam mówił, że u mnie rozumu szukać, to zbójca co chce aby mnie umęczono! Gdzież wy byliście?

— Widzę, że ufności nie macie we mnie—odparł Kuno—na to radzić trudno.

— Młodzi jesteście—mruknął Abel,—u młodych serce i gęba otworem stoi.

Uderzył się szeroką dłonią po ustach, a oczyma wskazał na drzwi.

Dienheim widząc, że z nim nie łatwo do czego dojdzie, zamilkł.

Abel jednak zamiast wyjść, namyśliwszy się wrócił do niego i pochylając do ucha, spytał:

— Kto wam mówił o mnie?

— Wdowa Matiaszowa w rynku.

— A coście wy robili u niej?

— Jest z nią moja dawna znajoma z Torunia.

— Wiem — mruknął Abel — Noskówna. To waryatka, ledwie ją w drodze nie pochwycili Polacy. Schroniła się tu z dęszczu pod rynnę, i teraz ani naprzód, ani w tył. Niechże siedzi na pokucie.

— Właśnie, że siedzieć nie chce i nie może i wyrwać się pragnie.



Abel przystąpił bliżej.

— To nie sztuka wyrwać się, a cóż z tego? dokąd? Do Torunia? Toruń już się poddać musiał, zamki się wszystkie poddają, bo Malborga jednego bronić trzeba.

Mówiąc to, Abel nie zdawał się ani smucić, ani rozpaczać.

— Cóżto, koniec Zakonu! zguba ostatnia..

Grzyb kiwał głową, oczy wlepił w stół i zbierając po nim kruszynki, które machinalnie niósł do ust, mówił jakby sam do siebie, nie podnosząc wzroku:

— Nie bójcie się, Zakon mocny jeszcze; ludzi zbierzemy, czasu potrzeba: zamki się wrócą. Stracimy dużo, ale Bóg łaskaw, Bóg łaskaw; ja jeszcze na godziny dzwonić im będę. Polacy, ja ich znam: tak, naród bitny, ale stać w miejscu nie lubi.

Rozśmiał się dziwnie.

— Wina i chleba będą mieli do syta, najedzą się, napiją, do żonek zatęsknią i pójdą precz!! Uchowaj Boże głodu a biedy, tobyśmy byli w niebezpieczeństwie, bo oni źli są gdy głodni i biją się jak lwy, kiedy boso i w utrapieniu na wojnę idą. A no my..—uderzył się w czoło—damy im jadła i napoju po uszy, rozmiękną i nic z tego nie będzie.

Patrząc ciągle w stół i zbierając kruszynki, Abel śmiał się szydersko.

— W pierwszej godzinie straszni, a potem!! potem i dziecko im da radę. Niemiec ma naturę inną: jego powalić można, da się wziąć, a powoli siłę odzyska i zwycięzcę za kark weźmie.

Zaczął Abel rękami wywijać na wsze strony.

— Z pomocą Bożą wyzwolimy się.

Kuno wstawszy, zbliżył się doń powoli.

— Pomożecie nam do ucieczki? — szepnął.

Odkoczył Grzyb, schwycił się, strzepnął.

— Ja? ja? niech Bóg uchowa! Komu trzeba pomagać, a sam sobie pomódz nie umie, tego ratować nie warto. Ja jestem prosty chłop, mówiłem wam, legam w piecu, z psami na podwórzu kości ogryzam, nic nie wiem; nic nie umiem.

Skłonił się i wyszedł szybko.

Nie wiele się z tego było można spodziewać. Kuno siadł znowu, ale go zawołano do pana Andrzeja. Poszedł jako jeniec rozkazom posłuszny.

Siedzieli oba z ks. Janem w komturskiej izbie na rozmowie, a w progu zoczywszy Dienheima, p. Andrzej zawołał zaraz, czemu nie przyszedł doń opowiedzieć się wróciwszy.

— Nie miałem z czém! — odparł kwaśno Kuno.

— A siedzieliście, do kata, długo! gdzie? z kim?  
— począł Brochocki.

— Włóczyłem się baki strzelając—rzekł hrabia Kuno.

Rozmowa zaczęta w tym tonie dla obu nie dobrze wróżyła. Brochocki tęsknił za wojskiem i towarzyszymi i zły był, Kuno Dienheim nie lepszy; przypomnieli sobie łącznie jak się zrazu kłócili i koty darli. Poczęła się zwada z niczego. Od słowa do słowa, Dienheim słowo rycerskie odebrał i oświadczył, że chce być strzeżonym i jak jeniec traktowanym, a o łaski nie prosi.

Brochocki zagroził mu, że go do lochu posadzi, albo nawet w żelaza zakuć każe, bo do tego miał prawo. Harde hrabiątko drzwiami rzuciwszy poszło. Na tém się tego dnia skończyło.

Nazajutrz posłał p. Andrzej do niego po słowo ks. Jana, Dienheim odmówił: kazano go do lochu wsadzić. Abel dostał polecenie wyszukać carceres i z kluczem w ręku przyszedł po jeńca, który nie mówiąc nic udał się za nim. Grzyb był zafrasowany wielce, ale w podwórzu wyszedłszy, udawał stworzenie, które nic nie czuje, nie rozumie i czyni co mu kazano. Brochocki na schodkach stał. Żał mu się zrobiło znać drapieżnego młokosa, krzyknął więc na Abła:—Dać mu pokój! a straży tyl-

ko zlecił, aby go krokiem z zamku nie puszczała, i choć Dienheim ani mu dziękował, ani go słuchał, odezwał się po ojcowsku doń:

— Dobrze ci życzę, bo na tarczy wspólne go-dło nosimy, a może tam jaka kropla krwi u nas jest wspólna; ale musisz i ty ze mną być dobrze, lub biędy przycierpisz. Jam nie łatwy téż, gdy mi kto za skórę łać zechce.

Skończyło się na tém, że Dienheimowi z zamku się ruszyć nie było wolno, a on już i z celi swój na złość nie wychodził i twarzy nie pokazywał.

Ks. Jan tylko do niego przez litość zachodził, skłaniając go do łagodności względem tego, co los jego miał w rękach.

Ale zacięli się oba, starszy i młody. Dienheimowi tylko na miasteczko się gwałtem chciało, a wypraszać się nie mógł i dać poznać, że go tam coś ciągnęło. Utrapienie było wielkie. Ofka mogła mu się wymknąć sama i z oczów stracić ją mógł na zawsze. Młoda myśl i serce w samotności rozgorzały. Trzeciego dnia wysunął się w podwórze. Brochocki żołnierzy swych męczył i mordował, nie mając kogo innego. Zoczywszy Dienheima począł mu prawić morały. Chłopak już milczał; to rozbroiło starego: złagodniał.

— Chodź do mnie na kubek wina — rzekł —

mamy go dosyć, a pić nie ma z kim. Chodź, to ci powiem coś, z czego będziesz rad.

Nie dla wina, bo mu go Abel dostarczał co dnia, ale dla ciekawości Dienheim poszedł.

Stary pan Andrzej był lepszym niż kiedykolwiek.

— Słuchaj Wmość — rzekł, kubek mu podsuwając—za zdrowie wasze! Bądź ty sobie zły jak chcesz, a między nami jest coś we krwi, bo czuję, że mam do ciebie słabość. Biłeś się dobrze, nie winieneś żem ja silniejszy. Harda dusza w rycerzu powinna być, nie mam ci jój za złe. Wiesz co, daj mi ino słowo, że do Brochocie się przystawisz, choćby za pół roku i że Krzyżakom służyć przez ten czas nie będziesz, puszczę cię wolno, czyn co chcesz... Za pół roku wojna musi być skończona. Mnie podobno król chce oddać Sztum jeszcze. Gdzie ja cię będę za sobą włóczył? Daj słowo, oddam ci miecz, zbroję, tarczę, wszystko, gotowem ci nawet coś na drogę dać, abyś bez grosza nie był.

Popatrzał mu w oczy mówiąc. Kuno się uczuł ujętym jego dobrocią.

Podał mu rękę.

— Jeśli będę żyw — rzekł — słowo rycerskie daję: stawię się.

— Kto to jeszcze wie—dodał śmiejąc się Brochocki — jak nie będę miał co robić, nazbieramy starych wyjadaczy i pójdziemy ci Dienheim zdobyć na bracie.

W ten sposób waśń się skończyła. Kuno był upokorzony i stał się łagodnym jak baranek.

Wypili po dwa kubki, rozprawiając jak to pod Grünwaldem było, bo o téj bitwie nigdy się dosyć nagadać nie było można.

— Wojować nie będę—dodał Kuno,—ale nie zaręczam, żebym się nie włóczył, żeby się dziełu rycerskiemu przypatrywać.

— Byle cię gdzie za tę ciekawość kula nie spotkała.

Uczuwszy się wolnym, tegoż dnia pobiegł Kuno do miasteczka. Ledwie się w rynku pokazał, Matiaszowa do niego ze schodów się spuściwszy, do drzwi wyszła, nawołując do siebie.

— Jest Noskówna? — spytał.

— Jest, ale mi szaleje—odparła mieszczka,—boję się z nią jakiejś biędzy; po nocach się zrywa i chodzi senna a bredzi. Utrzymać jój nie mogę.

Pędem wpadł na górę Dienheim. Znalazł Ofkę po izbie przechadzającą się z rozpuszczonemi włosami. Zaledwie się w progu ukazał, skoczyła doń pytając, czy wszystko do drogi gotowe.

— Najważniejsza rzecz gotowa, to, żem ja wolny—rzekł Dienheim, — pożegnam dowódcę, który jest człowiek zacny.

Ofka mu przerwała.

— Tak? już ich zacnemi zowiecie?

Chciała się odwrócić od niego, lecz namyśliwszy się słuchała dalej.

— Konia dla siebie mam, jutro o szarym mroku jechać trzeba—dodał Kuno,—aby was nie poznano. Powiem, żem sobie dwóch ludzi zwerbowałam na służbę.

Ofka nie odpowiadając nic, do drugiej izby wybiegła, natychmiast się do drogi sposobieć. W chwili była nazad wołając, aby jechać zaraz, dziś po nocy.

— Dokąd?—spytał Kuno.

— Do Torunia—odparła żywo.

— Toruń się już bodaj poddał — rzekł Dienheim.

— To nie może być!—krzyknęła Ofka.

— Przekonacie się: pojedziemy.

Nie było rozmowy, dziewczę śpiewało, śmiało się, przeklinało i groziło, a nadewszystko spieszyć chciało.

Napróżno o czulsze słowo i spojrzenie błagając, Kuno wreszcie przekonał się, iż tego dnia nie o-

trzyma nic, i przyrzekłszy przybyć o świcie, ruszył nazad do zamku. Tu musiał u wieczerzy siedzieć długo, i zapowiedziawszy, że z miasta dwoje czeladzi sobie zamówił, a nazajutrz do dnia wyruszy, późno w noc pożegnał Brochockiego. Na wyjeździe przypominając mu dane słowo, obdarzył go jeszcze pan Andrzej, zalecając ostrożność i dawszy kartę od siebie, aby go po drodze kto nie pochwylił.

Siadł potem Kuno w celi swój jak stał ubrany, tylko bez zbroi, aby drzemiąc czekać dnia, bo się zaspąć lękał.

Już było późno w noc i bramy stały zamknięte, gdy drzwi skrzypnęły i stary Abel wszedł. Nie widział go prawie od pierwszej rozmowy Dienheim. Ostrożnie zbliżył się do stołu, na którym lampka gorzała, dymiąc.

— A co!—spytał—jedziecie z Bogiem? Dokąd? do domu? Sami? nie?

Kuno wahał się z odpowiedzią, samo milczenie już było dostateczne dla Grzyba; po chwili dodał:

— Nie mówcie nic, już wiem. Z babami sprawa zła: dzięki Bogu, ja się nie potrzebowałem nigdy z niemi wdawać i brzydzę się niemi. Bądźcie ostrożni.



Namyślał się potem długo.

— Gdybyście gdzie naszych panów spotkali...  
— mruknął.

Dienheim w oczy mu spojrział: świeciły się jak u kota.

— Cóż chcecie? — zapytał.

— A! nic! nic! tak, gdyby o Morągu mowa była, to cóż? powiecie, że Abel w piecu lega jak legał i popiołu w nim dosyć, jak było.

— Nic więcej?

Ruszył ramionami stary.

— Gdybyście tylko to mojemi słowy powtórzyli, będzie dosyć.

— Wojowaliście pod chorągwią Krzyża naszego—dodał — i dla Krzyża Ś. należy się wam cześć i wdzięczność, ale my teraz żebraki ubogie.

To mówiąc, począł czegoś szukać za szarym kubrakiem i z dłonią ściśniętą, którą ciągle pod suknią trzymał, przybliżył się do Dienheima.

— W podróży i wilcy mogą zjeść—rzekł— i lada kto napaść; gdyby czasem od naszych było niebezpieczeństwo jakie, a słowem się nie można wykupić, pokażcie im to.

I prędko ściśniętą dłoń ogromną wyciągnął ku jeńcowi, oglądając się dokoła tchórzliwie. Z ręki

na stół wypadł krzyżyk czarny prosty, na którym w środku była mała tarcza z jakimiś znakami.

— Pokażcie: dosyć będzie tego.

I śmiejąc się, a nie czekając podziękowania, pośpieszył do drzwi, gdzie zabrawszy próżną misę i dzbanek, wysunął się coperędzój.

O brzasku, zbroję przywdziawszy, Dienheim na koń siadł i do miasteczka pobiegł. Przed kamienicą już stały też konie posiadłane, które w mroku dojrzał zdała, a nim się przybliżył, już na obu siedzieli jeźdźcy, którzy podbiegli ku niemu. Starszy, siwy już człek, stanął wraz za hrabią, a drugi jechał jako pacholę z tyłu. Twarzy mu widać prawie nie było, bo płaszcz miał nasunięty, niby od rannego chłodu. Samotrzeci więc jechali w milczeniu drogą pod zamkiem, około samych bram, gdzie się hrabia dał poznać i swobodnie dalej gościńcem pokłusowali. W końcu grobli stary dotąd milczący, wskazał na prawo, młody wyprzedził Dienheima, spiął konia i puścili się żywo nie bardzo utartą drogą. Ofka nie mówiła słowa, nie odwróciła twarzy i dopiero po godzinie, koniowi dając folgę, zagadnęła, nie hrabiego, ale starego sługę, czy sądził, że drogi bezpieczne?..

Korzystając z tego, zbliżył się Kuno; popatrzała nań dziewczyna chłodno, roztargniona i ko-

nia pędziła dalej. Postrzegł się dopiero jak nie wiele zyskał, i że go dziewczę za narzędzie tylko użyło; lecz więcej się spodziewając w przyszłości i nie chcąc jej opuścić, pociągnął dalej.

Stary przewodnik obyty był z wszystkimi drogami, znał kraju każdy kątek, wiedział gdzie bezpieczniej jechać nocą, gdzie dniem; do kogo wstąpić, z kim poszeptać cicho, w jakiej chacie się spytać.

Kilka razy w ciągu podróży pospieszniej przyłączali się do nich ludzie różni; stary dostawał języka, mówił pocichu z nimi: zdawał się znać wszystkich. Dienheim mógł się przekonać, że choć zamki się popoddawały, choć polskie oddziały krążyły po kraju, tajemne panowanie zachowali nad nim Krzyżacy. Głośno mówili wszyscy inaczej, inaczej pocichu.

Z niewiadomych dla Dienheima powodów, część dnia w lesie przestać kazano. Ofka legła pod dębem, jak stała do spoczynku, na lichym płaszczu, który jej sługa podesłał, zamknęła oczy, i czy spała, czy udawała że śpi, rozmowy z nią prowadzić nie było sposobu. Stary sługa na straży pozostał, także dosyć milczący. Ile razy Dienheim chciał się zbliżyć do dziewczęcia, znajdował go zagrażającego mu drogę.

Drugiego dnia przybyli do jakiejś zagrody. Był to folwark krzyżacki, skryty niedaleko od brzegów Wisły w takie gąszcza i zarośla, że tam się jeszcze obca nie dostała noga. Gospodarzyła w folwarku, nie zrzuciwszy płaszcza białego, siostra zakonna, Niemka, kobieta w sile wieku, ogromnego wzrostu, jasnych włosów, twarzy świeżej, ale nie miłej. Ta natychmiast wzięła Ofkę pod swoją opiekę, a gdy po kilku godzinach wypoczynku, dziewczę wyszło z jej mieszkania, zdziwił się Dienheim, widząc ją w skromnej sukni kobiecej, z kapturkiem i zasłoną na głowie. Lecz jak gdyby strój ten śmiałości jej dodawał, poczęła mówić swobodniej.

Pierwszą rzeczą, o której się od niej dowiedział Kuno, było, że konie musieli na folwarku porzucić.

— Znajdą się one w Toruniu—rzekła uspakajając go. — Ztąd popłyniemy czółnem, zbroję trzeba też zdjąć, a rybaczą odzież włożyć.

Spojrzała ku słońcu; miało się ku zachodowi. Wyszła też siostra Marta za nią i stary co im towarzyszył. Dróżyną między wierzbami błotnistą, wijącą się wśród łąz i trzcin, poczęli iść ku rzece. Wprędce błysnęły szerokie wody i łąwy piasku nad niemi.

U białego pala kolysało się dōsyć szerokie czółno, w którēm siedziało małe chłopię w nędznym przyodziewku. Jak zajrzeć, nadbrzeże puste stało... Z przeciwnęj strony pojono stada, rybaków kilku zwijało się po wodzie w maleńkich jak liście czółenkach, szybując pośpiesznie, a na plecach trzymając wiecierze.

Wyszedł naprzód stary rozpatrzyć się dokoła, a gdy dał znak, postąpiła za nim Ofka i Kuno. Chłopak ich wpuścił do czółna nie mówiąc słowa, odwiązał sznur, oparł się wiosłem o brzeg i odbił. Stary towarzysz leżał już na spodzie czółna i dawał znak Dienheimowi, aby się także na dnie umieścił. Jedna Ofka na ławie siedząca została. Wieczór był cichy i piękny, wiosła niepotrzebne; chłopak zręcznie sterował, siadłszy bokiem i wcale się nie ciekawiąc na obcych.

Łódź pędem strzały leciała dalej. Słońce zaśzło, mrok padać zaczął, na brzegach zdala widać było porozpalane ognie; w oknach chat świeciły łuczywa, na zamkach gdzieniegdzie błyszczały szyby czerwonymi ogniami z wnętrzów: czółno leciało a leciało samym rzeki środkiem, stroniąc od brzegów, jakby nie chciało być widzianem. Po nocy trzeba było wprawnego oka, aby je dostrzedz mogło.

Ofka wsparta na łokciu, zadumana, oczyma tylko niekiedy badała brzegi i światła na nich. Mały chłopak, mimo ciemności, machinalnie, prawie niepatrząc, umiał znaleźć drogę.

Gwiazdzista noc zapadła, bez-księżycowa, czarna, milcząca, straszna wśród téj wód przestrzemi. Dopiero gdy oko ludzkie od brzegów dojrzyć już ich nie mogło, podniósł się z głębi łodzi stary i Dienheimowi dał znak, że usiąść może.

— Nim dzień, dopłyniemy do Torunia—rzekł. Ofka odwróciła się żywo.

— Niema ich tam jeszcze—rzekła bijąc w dłonie—oni nie mogą być.

Chłopak, który całą drogę milczał, westchnął. Trącił go stary.

— Co ci to?

— Nic—rzekło chłopię—o kim mówicie, że go tam niema?

— Wszak Krzyżacy jeszcze panami w Toruniu?—spytała Ofka.

— Nie — zawołał chłopak — naszych panów niema, zamek się poddał, miasto obcy król wziął.

— Kiedy?—przerwało dziewczę—na folwarku nic o tém nie wiedzieli.

Chłopak zmilczał trochę.

— Może!—bąknął pędząc łódź dalej.

Stary kazał mu się wstrzymać. Ofka łamała ręce w rozpaczy. Łódź, którą szybko woda niosła, nie łatwo było w miejscu osadzić. Chłopak się obejrzał, popędził na mieliznę i wiosłem sparłszy mocno, stanął.

Zaczęto go rozpytywać pospiesznie, ale z opowiadania jego, o jedném się tylko przekonać było można, iż rybacy tę wieść przynieśli. Ofka była w rozpaczy, stary dumał.

— Ha!—rzekł—zamek zajęty, to cóż? noc, trudno by cały brzeg był osadzony, znajdziemy miejsce do wylądowania. Winnica Henrykowa schodzi ku Wiśle, dostaniemy się przez nią do jego domu, a ztamtąd i do siebie.

Kuno nie mówił nic, lecz musiał téż myśleć co pocznie i gdzie się ukryje. Był na łasce Ofki, która jak najmniej zdawała się troszczyć o niego.

Po długich szeptach, kazano czółnu odbijać znowu. Na rzece ukazała się łódka ze światłem. Byli to rybacy, co większe ryby na ogień brali.— Z ostrożnością zbliżono się do nich, stary stanął i zamarmotał niezrozumiałe jakieś wyrazy. Z łodzi mu odpowiedziano. Obie zbliżyły się do siebie. Przy świetle płonącego łuczywa, ujrzeli dwóch ludzi ogorzałych i odartych, zdziwionych nocném spotkaniem. Poczęła się rozmowa urywana, któ-

rój Ofka przechylona słuchała. Z obojętnością ludzi, którzy się o los kraju wcale nie troszczą, rybacy opowiadali o zajętych zamkach.

— W Toruniu obcy król — rzekł jeden — a jakże! nowych panów mamy.

— Nam to wszystko jedno — śmiejąc się dodał drugi — kto będzie rybę jadł, byle woda była niewielka, a ryby dużo!

W milczeniu czółno znów skierowało się ku głębinie i pędziło z rzeki prądem. Wśród tej ciemności i ciszy, noc się zdała wiekiem. Kuno czuł przy sobie Ofkę, która nań okiem nie rzucawszy, siedziała w ponurym milczeniu. Twarz jej na przód zwrócona zdawała się szukać i wyglądać tych murów, do których się przedrzeć chciała.

Jeszcze się na brzask nie brało, gdy w dali ukazały się mury ciemne i wieże na niebie zarysowujące się czarno. Gdzieniegdzie jak gwiazdka błyszczało na nich okno i paskiem jasnym odbijało się na wodzie. Wysoki brzeg zielenią i drzewy osłoniony, powoli oczom się odkrywał. Łodzi zwolniono biegu. Ofka i stary jej towarzysz stanęli w czółnie, chcąc rozpoznać miejscowość. Zwracano cicho ku brzegowi, nareszcie na znak



dany chłopcu, który sterował, przybito do brzegu i stary z łodzi wyskoczył.

W téjże chwili czółno odbiło i zatrzymało się zakryte wierzwą nad brzegiem zwieszoną.

Ofka stojąc ciągle, patrzała niespokojnie w ciemności. Czekali chwilę w krzakach, nieco opodał dał się słyszeć szelest rozginanych gałęzi i syknięcie. Na znak ten przybiła łódka. Ofka wyskoczyła z niéj, Kuno za nią. Stary dał pieniądż chłopcu, który pod wierzwą zawinąwszy, do snu się zaraz na dno położył. Postrzegł Kuno, że się znajdowali w ogrodzie drzewy owocowemi zarosłym. Stary wiódł ostrożnie, pocichu wskazując drogę i tak wspinając się ku górze, doszli do płotu i furtki. O kilkanaście kroków stał dom, w którego podwórzu psy gwałtownie ujadać zaczęły. Znowu więc Ofka musiała zostać, a przewodnik iść przodem. Korzystając z téj chwili bez świadka, Kuno chciał się zbliżyć do niéj; lecz ledwie wymówił słowo, uczuł na ustach cisnącą jéj rękę, zmuszającą do milczenia.

Starego długo nazad nie było. Psy podwoiły szczekanie i ucichły. Słabe światółko przemknęło się poza oknami domu, skrzypnęły drzwi. Ofka biegła już. Stara kobieta otulając lampkę dłonią, czekała we drzwiach, a zaledwie przez nie weszli,

zamknęła je za niemi. W sieni, w której się znaleźli, czekał stary przewodnik.

— Panów naszych na zamku niéma!—odezwiała się stara głosem niższym—ale w mieście spokojnie, krzywdy nikomu nie czynią. Król, słysząc, zabronił surowo! Kasztelana posadził na zamku i załogę. Oni tam siedzą, piją i jedzą, a na miasto tylko we dnie się ważą. Mieszczanie im dostarczają co dusza zapragnie, aby cicho było lichy.

Machnęła ręką matrona, otwierając drzwi drugie sieni od ulicy.

— Traficie łatwo na rynek.

Ofka drżąc, słuchała obojętnych wyrazów matrony z brwią namarszczoną. W ulicy już nie potrzebowała przewodnika, nie oglądała się téż na nikogo i biegła. Pusto i cicho było na mieście, a im się bardziej ku rynkowi zbliżali, tém Ofka biegła prędzej. Niekiedy oczyma zdawała się szukać zamku, to znowu wyglądać własnej kamienicy. Stary kroczył za nią zwolna; Kuno zapomniany, śpieszył, aby go nie rzucono samego w obcym miejscu i pod bokiem nieprzyjaciela.

W rynku, do którego małą weszli uliczką, taka była pustka jak wszędzie. W dwóch do-

mach tylko świeciło z otwartych okien, słychać było muzykę, hałas, wrzawę i śpiewy.

Cienie dziwne przemykały się na oświeconém tle komnaty. Ofka stanęła łamiąc ręce; patrzała gniewna i rzuciła się ku wnijściu zapartemu kamienicy pod Jeleniem.

Stuknięcie we drzwi, którego obawiano się powtarzać głośniej, aby straży jakiej nie zbudzić, nie pomogło nic. Z obawy nocnej napaści nie otworzonoby im, choćby stokroć mocniej tłukli. Stary przewodnik namyśliwszy się, z wielką zręcznością i siłą na mur od podwórza się wdrapał i zniknął. Przyparta do drzwi Ofka czekała ze spuszczoną głową i ręką na klamce. Kroki we wnętrzu słyszeć się dały pośpieszne. Klucz okręcił się w zamku, drzwi uchyliły i dziewczę jak pijane wtoczyło się do znanego domu, o kilka kroków zaraz opierając się o ścianę, bo sił jej zabrakło. Stary Wolff w kożuszk i czarnej czapeczce, dwie sługi, przewodnik wreszcie, wszystko to stało patrząc na nią zdumione. Kuno opodal pozostał w cieniu.

Wprędcie Ofka przyszła do siebie, odwróciła się do Dienheima.

— Wolff wam da przy sobie mieszkanie—rzekła—dobranoc!

Oczy jej przeleciały po nim wejrzeniem zimnym i wspiąwszy się na schody pobiegła.

Nie był znać rad gościowi, milczący Wolff, który go do izby na tyłach zaprowadził i tłómacząc się nocą, a potrzebą ostrożności, zostawił samego z lampką i twardym tapczanem.

Mimo znużenia, noc tę spędził marząc i drzemiąc Kuno i nie zasnął aż nad ranem, gdy już w kościele Ś. Jana na pierwszą mszę dzwoniło.

Zbudziła go służąca, która mu gorącą polewkę winną przyniosła, ale w rozmowę żadną wciągnąć się nie dała. Spytana o panią, ruszyła ramionami i wyszła co prędzej.

Dienheim więc został w kryjówce swój, której okno wychodziło na czerwony mur nagie i wysoki. Nie widać było nic więcej, oprócz odrapanych boków jego i ciasnego przejścia zarzuconego śmieciem.

W izbie stało kilka pak rozbitych i spora kupa sznurów leżała.

Po dzwonach kościelnych mierząc czas, doczekał się tu Kuno południa, zakłopotany wielce, co z sobą uczyni, gdy mruczący Wolff zajrzał do izby i nie mówiąc, ręką schody mu na górę pokazał.

Przez nie wszedł Dienheim do znanego sobie mieszkania, niegdyś tak wspaniale przybranego. Było ono teraz zmienioném wielce, gdyż nie zostawiono w niem tylko to, co się zabrać i sprzątnąć nie dało. Srebra, kosztowności, ozdoby znikły. Stoły i ławy nie pokryte, wyglądały nago i smutnie.

Ofka chodziła po tój izbie, ubrana bardzo starannie i tak pięknie jak za dawnych czasów.

Oczy jój świeciły, twarz się zdawała uśmiechać; lecz coś ponurego, dzikiego, kaziło tę wesołość przybraną.

— Nie jestem gościnną, ani wdzięczną!—zawołała do Dienheima—ale ja tu teraz matunię zastępować muszę i dużo mam na głowie. Jest co robić, Jagiełłowi panowie na zamku, musimy tańcować przed niemi, służyć im i bawić.

To pierwsza rzecz, niewolnicy jesteśmy. Gdym się tu znalazła znowu, zdaje mi się, żem straszny sen prześniła.

Kuno czule ku niój spoglądał.

— Żal mi was—rzekła—ja dla was będę złą gospodynią; trzeba sobie innój szukać gospody, ale ją wam Wolff znajdzie. Ja tu myślę...

— Wiecie co myślę?—dodała, zbliżając się

doń, coraz cichszym głosem—będę panów polskich przyjmować, gościć, poić, bałamucić.

Kuno się zarumienił.

— Szczególniej starszysznę—dodała—a któż winien, że czasem, przypadkiem, który z nich zachoruje.

Oczy jej błysnęły.

— Trzeba się pozbyć téj szarańczy!—zawołała z wyrazem mściwym.

— Życzyłbym najprzód matce dać znać o sobie—rzekł Kuno cicho.

— To się już stało—odpowiedziała Ofka spokojnie. Matka ma glejt i powróci, a pomoże mi pewnie.

To mówiąc, przejrzała się w małym zwierciadku, które na stole leżało.

— Prawda, miłościwy grafie—dodała z uśmiechem—zbrzydła mocno ta Ofka, zapadły policzki; wyglądam staro, ino oczy się trochę świecą jeszcze.

Westchnęła: Kuno żywo zaprzeczył.

— Piękna, najpiękniejsza Ofka nie przestała być czém była.

— Gdzie moja wesołość? mój śpiew? piosnki moje? ale gdzie dawne czasy spokojne. Obecny ludzie i strach a groza. Ale widziałeś wczoraj w oknach!

są panie mieszczeni co się bawią z gośćmi, i nam tak uczynić potrzeba. Plauen powiada, żeby ich dobrze przyjmować i niczego nie szczędzić, i poić i karmić na śmierć. Plauen ma rozum! On Zakon wyratuje. Oni Toruń opuszczą: tu dla nich powietrze nie zdrowe!

Wolff stary wszedł, kłaniając się i oznajmując, że misy były na stole. Nie było srebra, cynowe naczynia i glina, wszystko pochowano po lochach, ale kuchnia jak dawniej dostatnia.

Przy obiedzie toczyła się rozmowa o zamku, choć Wolff na słowa jak na pieniądze był wielce oszczędnym. Przytomność jego przeszkadzała tylko hrabiemu do rozmowy, której on pragnął, a dziewczę zdawało się jej unikać. Postanowił, gdy od stołu wstana, zmusić ją do szerszego pomówienia z sobą, ale Wolff siedział, nie ruszając się.

Dienheim wreszcie musiał o niém zapomnieć.

— Cóż mi pani więcej każe? — zapytał. — Przybyliśmy szczęśliwie do Torunia: nie wiem co tu będę robił!

— Wiesz pan co? — rzekła Ofka — poznaj się z tymi co są na zamku, staraj się dowiedzieć ilu ich jest, jak zbrojui, co robią, co zamysłają;

baw się wesoło: zdaje mi się, że więcej tu do roboty nie niéma.

— Smutneby to było—odparł Kuno—gdybym się miał tylko bawić.

— Niech to się nazywa zabawą—ciszej odezwała się Ofka—a może być z pożytkiem. Służyłeś Zakonowi, orężem ci nie wolno mu teraz pomagać, ale któż zabroni inaczéj? do zrobienia jest wiele.

To mówiąc spojrzała w oczy Dienheimowi, który milczał i znak jakiś Wolffowi dała. Ten przeżegnał się, od stołu wstał i wyszedł.

— Hrabio—odezwała się Ofka—chcesz mi być miłym? nie będziesz inaczéj, jak słuchając mnie i czyniąc to co ja robię. Służmy Zakonowi, on i ja wdzięczni ci będziemy. Ja tu pozostać muszę... wy moglibyście dostać się do zamku w Malborgu i zanieść im potrzebne wieści. Chcecie to uczynić?

Zawahał się Kuno, Ofka rzuciła nań oczyma i z uśmiechem podała mu rękę białą.

— Musisz iść ze mną, inaczéj się rozsta niemy—zawołała—będziesz mi miłym!! dam ci pierścień, gdy zasłużysz.

Dienheim wahał się jeszcze, ale ona już się



mu do ucha pochyliła i szeptała; twarz jego okryła się rumieńcem.

— Zgoda—zawołał—szyję stawię dla ciebie, uczynię co każecie.

— Za dwie godziny—odparła Ofka żywo—przyjdźcie do mnie: znajdzie się ktoś co wam da do zanieśienia słowo. Musicie się dostać do zamku. Wieczorem w drogę.

To mówiąc podała mu rękę i ukloniła się nisko, przybierając postać zalotną; potem podniosła się żywo, uleciała i znikła.

\* \* \*

Niema niebezpieczniejszej rzeczy dla człowieka, dla ludzi, nad pomyślność.

W przeciwnościach potęgują się siły, uchodzą w szczęściu. Zawraca się głowa, przychodzi upojenie, mięknie serce, niknie energia, bacność się traci.

Wojsko, które zwyciężyło pod Grünwaldem, już inném przybyło pod mury Malborga. Do zwycięstwa szło w surowej karności, przymierając głodem i cierpiąc w pochodzie; obciążone łupem, nakarmione obfitą żywnością, zdobytą po zamkach, które się z kolei poddawały, nie straciło męztwa, lecz zaufało szczęściu.

Jagiello, który szedł z pewną obawą przeciwko Zakonowi, niemal przerażony był zwycięstwem, mającém się odbić w całej Europie skargami nań, aż przed tron papieża i cesarza. Wahać się zdawał, czy ma obalić tych dumnych mnichów, którzy odwoływali się do swych zasług, położonych w szczepieniu wiary i nawracaniu pogan.

W samém otoczeniu królewskiém zdania były wielce podzielone. Przy Witoldzie bawił ks. Marcin i codzień szeptał, że Zakon gotów ustąpić mu Żmudzi, byle nie pomagał Jagielle.

Codzień odważniejszy mnich powtarzał, że zwiększać potęgę, która ma go zgnieść, byłoby nierozumem. Na książąt mazowieckich wpływała księżna Aleksandra, obawiająca się późniejszej zemsty Zakonu, a nie mogąca przypuścić, ażeby ta potęga runąć miała. Straszono już napadem Węgrów znowu. Tymczasem Jagiello, niejako zmuszony znalazł się pod murami Malborge, który już miał czas jako tako się obwarować.

Nim nadszedł tu, Plauenowi nadciągnęły posiłki. Wszystko co uszło z placu bitwy, tu się schroniło.

Zaciężne kupki Niemców zbierały się rozpierzchle. Gdańsk przysłał czterechset ludzi od statków wpół zbrojnych, z toporami. Prawie cu-

dem, cztery do pięciu tysięcy głów, mniej więcej zdolnych do boju, ściągnęło się w dni nie wiele. Do napaści było to niczem, na obronę starczyło prawie.

Wyższy zamek główny dostał sam dwa tysiące załogi; na średnim drugie tyle umieszczono, a z tysiącem poszedł stryjeczny Plauena obraniać przedmieście pod murami, do których się mieszkańcy malborgscy i siła ludzi z folwarków na nizinach schroniła.

Piętnastego Lipca rozstrzygnął los walkę Grünwaldską, a dwudziestego szóstego dopiero część wojsk Jagiellowych ukazała się pod Malborgiem. W jedenaście dni wiele się rzeczy uczynić może. Zdawało się, że ciągniono naumyślnie tak opieszale, aby dać czas wzmocnić się nieprzyjacielowi.

Plauen, który pochwycił w ręce wodze wypuszczone, więcej niż jego poprzednik Ulryk stworzonym był do ciężkiej sprawy, w której i energii, i przebiegłości i wytrwania cierpliwego było potrzeba. Wszystkie środki dłań były dobre: duma i pokora, męstwo i chytrość: z kolei umiał być tém, czém wypadki kazały. Wszystko poddawało się zwyciężkiemu Jagielle: ziemie, zamki, biskupi, niemal sam Malborg został jeden. Plauen jednak serca nie stracił. Poza sobą miał całe Niemcy,

Cesarstwo i papieża i Europę, co jeszcze dla Krzyżowców czuła poszanowanie, choć warci go być przestali.

Gorącego sierpniowego wieczora, podróżny odziany jak człowiek nierycerski, z sakwami przytroczonemi do konia, z jednym mieczykiem u pasa, zbliżał się wolnym krokiem ku Malborgowi i przystanął na pagórku, z którego wszystkie trzy zamki i okolice widać było. Niedaleko już polski obóz i chorągwie stały rozłożone szeroko.

Miasteczko, które niegdyś otaczało zamek i przytykało do niego, smutny wystawiało widok murów i kominów okopconych, zgliszczów pożarem zniszczonych. Stał tylko miejski kościół Św. Jana i ratusz nadpalony. Do szczątków tych przypierały szalasy licho naprędce przez wojsko poklecone, namioty napięte na kijach i budy z desek a gałęzi. Na wieży kościelnej zamiast dzwo-  
nu, odzywało się działo na zamek wymierzone; inne na wysypanych jako tako pagórkach ustawione, kiedy niekiedy buchały więcej dla wzniesienia przestרחu, niż uczynienia skutku. Leciwały kule tam i sam, jak los nadarzył.

Trzema znaczniejszemi obozami leżały oblegające wojska pod murami, na których lud dosyć mnogi widać było. Na bramach też stali ludzie

z toporami i spisami do obrony i czujność zdawała się wielka. Od południo-zachodu leżał król z rycerstwem swém całym, od południo-wschodu Witoldowe wojsko z Tatarzy kręciło się po nad wyschłym Nogatem, gdyż spieki letnie wszędzie go w bród przejść dawały.

W obozach zdawało się życie i ruch objawiać wielki; rycerze harcowali dokoła murów; gromadki objeżdżały je dokoła; w niektórych namiotach poodslanianych, aby wiatr je przechodził, widać było siedzących i ucztujących wesoło.

Wozy ze zwierzyną, rybami, beczkami, zajężdżały pod dworskie namioty i wyładowywały zapasy obfite. Tam, gdzie na średnim zamku przystępniejsze były mury, polscy rycerze stali, słowy wyzywając krzyżackich, wzajem się łając i walcząc homerycznemi wykrzyki.

Czas to był rycerskich zapasów, gdy słowo ważyło i danego dotrzymywano nieprzyjacielowi, tak, że nie rzadkiem było widzieć wyjeżdżającego na harc pojedynczo Krzyżaka i patrzących nań sędziów rozprawy, gdy się z wyzwany potykał.

Podróżny długo patrzył na ten obraz, ozłocony promieniami słońca i zadumał się tak nad nim, iż się nie spostrzegł, jak go za ramię zcicha nadjeż-

dżający żołnierz pochwyił, krzyząc nań by stał, a nie ruszał się, chce-li być żywy.

— Coś za jeden? zkąd? po co? — począł wołać, jakby w pomoc sobie innych chciał ściągnąć.

Podróżny wcale nie zmieszany, dobył kawałek papieru i pokazał go żołnierzowi, który weń dłonią uderzył z pogardą.

— Co mi tam po téj szmacie! — zawołał. — Coś za jeden? mów!

Z trudnością łamanym językiem począł się tłumaczyć młody człowiek, że jeńcem był na słowo puszczoneym i że jako człek rycerskiego rzemiosła rad się przypatrzeć tak wielkiéj wojnie.

Żołnierz ledwie go znać rozumiał.

— Czyimże byłeś jeńcem?

Podróżny wymienił Andrzeja z Brochocic, dzierżawcę na Morągu.

— Tém mi się nie wyłżesz — rozśmiał się żołnierz; — Brochocki już siedzi na Sztumie, bo mu go król pan nasz miłościwy puścił i jest w obozie. Niechże poświadczy, żeś nie szpieg krzyżacki.

Zrazu zdawał się tém zmieszany podróżny, lecz wkrótce namyśliwszy się, uspokoił.

— Dobrze, — rzekł — niech mnie prowadzą do niego.

Żołnierz, który stał znać na straży, obejrzał

się, złożył rękę w trąbę i huknął ku szaląsom nieopodal stojącym. Na to hasło wybiegło kilku w pół-zbrojach i popatrzawszy z kąd głos szedł, jeden na głowę włożył miskowaty hełm lichey, do ręki wziął toporek i pobiegł. Podróżny stał nieporuszony.

— Wojtek! — zawołał żołnierz — patrz mi na tego oto przybłądę, Niemiec jest, cuchnie mi Krzyżakiem; powiada i wyświadcza się papierem jakimś, że jeńcem jest p. Andrzeja z Brochoć. Owóż Brochoćki tu jest, prowadź go i oddaj mu, niech z nim robi co chce, abyś mi go tylko nie opuścił. Jeśli uciekać zechce, siekierą w łeb najbezpieczniejsza rzecz; żadnej z tém już biędzy nie ma, tylko szaty zdjąć i kieszenie pomacać.

Poczęli się śmiać, a Wojtek konia podróżnego za uzdę wzięwszy, wiódł go do obozu, toporek na ramię założywszy, aby go pod ręką miał na potrzebę. A tu się już i namioty nade drogą poczynały i rycerstwa snuło mnóstwo.

Jedni jeszcze byli w zbrojach, tylko co wróciwszy z harców, drudzy w koszulach i pół-żupanikach, boso niektórzy co konie pławili, inni w rynsztunku pełnym jadący na swą kolój. Gwar, wrzawa i dobra myśl panowały w obozie. Psów zgraje uwijały się za kośćmi, beczki z piwem stały

otwarte i czerpał w nich kto chciał. Gdzieniegdzie u ogniska warzył sobie ciur mięso, piekł słoninę, lub grzyby smażył, bo dostatkiem było wszystkiego. Po drodze zaczepił kto chciał prowadzonego, to konia klepiąc, to czleka jątrząc, to pięściami mu grożąc, ale Wojtek odpędzał ciągle, powtarzając, że jeńca do Brochockiego prowadzi. Imię p. Andrzeja starczyło, bo był w całym wojsku znany jako rycerz zawołany, król go też lubił i drugą mu już dzierzawą dał Sztum. Puszczano jezdne-go, choć nie bez naigrawania, a on się to czerwieniąc, to błędąc, wpatrywał i słuchał.

Gdy się tak przeciskali wśród namiotów, szukając najbliższej drogi, dzwonek dał się słyszeć, wszyscy czapki pozzrucali i hełmy, niektórzy poklękali; Wojtek ustąpił w bok: postrzegli księdza w białej komży, który szedł śpiesznie niosąc w ręku puszkę, pokrytą tuwalnią.

Był to ks. Jan, który do chorego spieszył, bo chwilowo z Brochockim tu przybywszy, wyręczał innych duchownych. Z głową spuszczoną, zamodlony biegł spiesząc i byłby nie widział stojącego na uboczu jeźdźca, gdyby ten go po chrześcijańsku nie pozdrowił łacińskiem:

— *Laudetur Jesus Christus!*



Stanął ksiądz zdumiony, przeżegnał się i głosem cichym spytał:

— Co tu robił?

— Przypadek mnie przywiódł, a oto straż prowadzi do p. Andrzeja.

— Szukajcie go w namiocie ks. Jana biskupa kujawskiego—szybko rzekł ksiądz i dalej do szalaśców podążył.

Żołnierze wskazali Wojtkowi ów namiot biskupa kujawskiego, nieopodal od królewskich stojący.

Poznać też było można, że nielada kto w nim gościł, bo namiot jeden był przednią materią wzozystą czerwoną cały okryty, a tuż przy nim kilka ostatnich stało, w których służba się liczna krzątała.

Biskupi namiot tak był wspaniały, jak królewski, i tak koło niego ludno wyglądało, jakby się tam do majestatu cisnęli wszyscy. Rycerzy pięknie poubieranych stało przed nim kilkunastu, a w środku też ich było pełno.

Stoły z desek pozbijane we dwa rzędy i ławy wspaniale okryte, dokoła obsiadali panowie. Na nich dzbanów srebrnych i pozłocistych widać było co niemiara.

Mężczyzna w fioletowej czapeczce, do żołnierza więcej, niż do duchownego podobny, w butach

z ostrogami i przykróconej pasem sukni, z twarzą wesołą i rumianą, z małą bródką i wąsem do góry podkręconym, rozmawiał u wnijscia do namiotu z kilku panami.

Tu już podróżny z konia zsiąść musiał, bo między nimi i pana Andrzeja dojrzał, który mu się przypatrywał zdaleka. Dopiero, gdy na kilka kroków zbliżył się, poznał go Brochocki i podszedł ku niemu.

— A ciebie tu, hrabiątko nieszczęśliwe, co znowu przyniosło? — zawołał Dienheima zobaczywszy.

— Ciekawość — odparł Kuno, — ale mnie strażę przed obozem za kołnierz ujęły, a papier z pieczęcią waszą despektu doznał.

— Co żołnierzowi do karty! — rozśmiał się rubasznie p. Andrzej — mieli słuszność wielką, fałszywych i zdradliwych papierów na świecie więcej niż ludzi. Ale cóż ty robić myślisz? Wszak ci nie wojować z nami?

Dienheim się zarumienił.

— To choć patrzeć na wojnę.

— I tego ci bodaj nie dadzą—odparł Sztumski dzierzawca,—chybabym cię tu komu w opiekę dał, bo cię smutny los spotkać może. Rycerstwo butne, a Niemca widoku niecierpi.

— Jeśli łaska wasza, dajcież mi opiekę—rzekł Kuno.

— Na dzisiejszą noc obaj u kujawskiego biskupa zostaniemy. Człek to jakich mało, bo Krzyżaków cierpieć nie może, a nam pomaga czém i jak umié. Karmi, poi, płaci i obdarza. Patrz-że nań, czy nie rzekłbyś, że żołnierz sam i do kopii stworzony?

To mówiąc, wskazał na stojącego przed namiotem, który palcem na zamki ukazując, coś rozprawił i głośno dowodził.

Wziąwszy na swą rękę znowu jeńca, odpuścił Brochocki żołnierza co go przywiódł. Tuż namiot stał gościnny, który biskup dla pospolitego rycerstwa wystawić kazał; więc go za stół z innymi posadził Brochocki, a konia do swoich wziąć polecił. Znalazł się Dienheim w pośród wesołego towarzystwa, które go po rycersku przyjęło. Ten i ów boczył się na Niemca, lecz złego nie czyniono.

Rozprawy szły głośno o zamku, rychło się li on podda, i z której go strony lepiej brać i jak wyłom uczynić.

Stary Gniewosz ze Trzciny podniósł się markotny.

— Teraz wyłom trzeba robić, a gdyśmy przyszli, wszakci był gotowy; przez noc go musieli za-

walić. Trochę wcześniej i wyłomu nie potrzebowaliśmy, zamek był bezbronny i poddałby się jak drugie.

— Cóż o tém mówić co było?—przerwał drugi.

— Dla tego się to mówi — dokończył Gniewosz—że teraz wszystko po niewczasie, kto krzyżactwo zna. Teraz oni wodzić nas będą, o pokój prosić, ściągać; nas tu choroba przetrzebi, długie leżenie znęka, żołnierz się roześni, i pójdziemy do domu z obiecankami.

Zakrzyczano starego.

— Ino co nie widać jak się poddadzą.

Gniewosz jakiéś pospolitém ich zbył przysłowiem. Śmiechu było pełno.

Tymczasem o zachodzie, ostatnie kule jeszcze z wieży od świętego Jana leciały na zamki, a za każdym strzałem, ci co wyżej stali, szukali ich śladu i opowiadali gdzie padły. Inne działa poustawiane między Witoldowym obozem, przed murami i u tego miejsca gdzie na Wiśle most był, co go Krzyżacy spalili, rzadko się téż odzywały.

Począł już zapadać mrok, gdy do namiotu, w którym siedział Dienheim, przypatrując się zamkom, nadszedł szukający go ks. Jan, ciekaw się dowiedzieć gdzie był i jak się tu dostał. Wracał od żołnierza, który jak wielu innych naówczas,

z upałów i trudu, a zanedbanéj rany, bo jéj komu opatrywać nie było, pożegnawszy świat, na wiązce słomy skończył.

Rad był temu znajomemu hrabia i wnet się doń przybliżył.

Zdało mu się téż, iż teraz obowiązku dopełni, a nikomu krzywdy nie uczyni, gdy oznajmi wujowi o losie siostrzenicy. Nie chciał i nie potrzebował się przyznawać, iż ją przeprowadzał z Morąga, ale pobytu w Toruniu taić nie miał potrzeby.

— Gdzieżeście bywali? — pytał ksiądz.

— Włóczyłem się różnie — odparł Kuno — dobrą wolą i przypadkiem dobiłem się aż do Torunia, zkąd wam może nie złą wieść przynoszę.

— Że go nasi zajęli, toć wiem — odparł ks. Jan.

— Wiedzą to wszyscy, ale, że panna Ofka już tam jest bezpieczną we własnym domu, po tylu przygodach, tegoście pewno ani wiedzieli, ani się domyślali.

— Bogu Najwyższemu niech będą dzięki! — odezwał się ks. Jan — to istotnie nowina niespodziana i przyjemna, za którą dziękuję wam. Ale jakże się tam dostała?

— Jak się dostała? — Wiecie — mówił Dien-

heim—że od niej nie łatwo się co dopytać. Dosyć, że żywa i zdrowa, na matkę tam oczekuje.

— Spodziewam się, że w domu zamknięta, spokojnie wojenny czas przesiedzi — rzekł ksiądz. — Teraz siostrze tylko Noskowej radbym dał wiedzieć, aby łyz osuszyła. Lecz, że o posły trudno, choć królewscy gońcy chodzą i kursorowie, pono samemu o kiju z pacierzem przyjdzie się do Czerska wybierać.

Tak dobrą tą nowiną, która uradowała staruszka, dzień się skończył. Nazajutrz z nią poszedł do Brochockiego ks. Jan, aby go pożegnać, zamysłając istotnie pieszo ruszyć w drogę. P. Andrzej też do Sztumu wracać musiał, który mu król dał, aby się na zamku obwarować.

Dienheima dla języka nie mógł komu innemu zlecić p. Andrzej jak Szlązakom. Było ich dosyć razem z Czechami, pod chorągwią Jaśka Sokoła, Czecha, ulubieńca królewskiego, rycerza prawego i człeka wybornego, do którego też Dienheima zaprowadził opiekun.

Jaśko Sokół rycerz i wojak był z rzemiosła, stary, porąbany, zbity, bo mało miał kości całych w ciele, przez tyle przygód przechodził. W polu i harcu zimném męztwem celował, a wielką i sławną zręcznością; gdy zbroje zrzucił, łagodny był,

dobry, miękki i z kielicha żywota na wszelki sposób czerpać lubił.

Jaśko nie miał dawno żony, synaczków dwóch gdzieś daleko, rodziny żadnej: namiot, trochę zbroi, wóz, nieco rycerskiego sprzętu i łupu, grosza trochę, składały całe mienie. Wałęsał się po świecie, służąc to cesarzowi, to królowi, to różnym książątkom, a wiodąc życie ciężkie a pracowite, nie dziw, że je sobie ośladzał. Gdy przyszło się bić, spełniał obowiązek poczciwie, ale odpoczywając nie żałował téż sobie uciechy. I, jak to za owych czasów trafiało się często, Jaśko nie rozmiłowywał się na prawdę w niczyjój sprawie; wszystko mu to niemal jedno było, kto weźmie górę, nie obrzydzał się Krzyżakami, nie kochał do zbytku Polaków, samego króla miłował za to, że był pan szczodrobliwy i dobry. Zresztą jedno mu było komu służy, byle żołd był sowity, strawy i napitku dla niego i ludzi dostatkiem, a wojna by szła szczęśliwie, bo to łup dawało i nagrody.

Jaśkowi Sokołowi wszystko było jedno, z Niemcem, czy z jakim innym obcować człowiekiem. Brochockiemu zawdzięczał nieraz dobre słowo u króla, Dienheima więc poufale po ramieniu poklepawszy, do namiotu i pod opiekę wziął.

U niego Kuno pozostał.

Pilno mu było spełnić to, z czém przybywał, a nie łatwo.

Chodził pod murami, bo tego nie broniono, szukając zręczności dostania się do zamku, a znaleźć jęj zrazu nie mógł. Widział wprawdzie niemal każdego dnia, jak oblegający, aż do zbytku rycersko się obchodząc z obleżonymi, wypuszczali starych, niewiasty, wpuszczali pod różnemi pozory przybywających, lecz się do nikogo jakoś przyplątać nie umiał.

Jaśko wieczorami wróciwszy od murów, gdy do namiotu przyszedł, a wyciągnął się, ręce pod głowę założywszy i kufel sobie narządziwszy przy barłogu, chętnie z Dienheimem gadał i poufalęj daleko, niż z innymi. Poznawszy go lepiej nieco, począł się nawet przed nim wywnętrzać.

— Oni tego zamku nie wezmą, — rzekł jednego wieczora cicho, — Bóg wię, czy i to co pobrali utrzymają. Król jest wielkiego i dobrego serca, ale słaby: czynią z nim co chcą. Krzyżacy mędrsi od węzów, w obozie już gadają różnie. Większęj częścii się chce do żon i domów powracać. Króla straszą i modlą się, król stęka, wojsko choruje.

Westchnął. Było takich skarg dosyć, których Kuno cheiwie słuchał.



Któregoś wieczora, Jaśko wróciwszy oznajmił, że komtur Plauen, który na Malborgu dowodził, króla o posłuchanie prosił nazajutrz. Dwaj heroldowie nad wieczór przybyli, i dano im odpowiedź, iż nazajutrz król go na rozmowę oczekiwać będzie.

Śmiała myśl przyszła Dienheimowi z wypadku tego skorzystać. Pomyślał sobie, iż łatwo do orszaku komtura przyłączyć się może, ukazawszy znak jaki miał i z nim dostanie się na zamek. Z niecierpliwością więc następnego dnia oczekiwał.

Jakoż z rana z dział ognia nie dawano i jakby rozejm był umówiony, wojsko zbrojno stojąc ku murom nie ruszało. Jagiełło nie chcąc daleko wpuszczać do obozu nieprzyjaciela, w towarzystwie księcia Witolda, Mazowieckich i innych książąt i panów rady, gdy na bramie zatrąbiono, stanął naprzeciw w świetnym orszaku.

Otworzyła się też wprędce furta od wrót boczna i wyszedł nią Henryk Plauen w komtura płaszczu, wraz ze stryjecznym swym, kilku Czechami i Szlązakami i z kilku szlachty świeckiej, co do zamku się schroniła.

Z wielką uniżonością zbliżył się do Jagiełły on i inni.

W téj chwili Kuno, który był z boku daleko

zabiegł, uczynił zręczny zwrot, ażeby się mógł dostać za orszak krzyżacki, a że nikt nań bardzo nie zważał, bo wszyscy na komtura mieli oczy zwrócone, udało mu się szczęśliwie zająć i znak dać owemu orszakowi, iż potrzebuje wniknąć do nich. Domyślając się jakiegoś poselstwa tajemnego, rozstąpili się szeroko ci, co z tyłu szli, a Kuno wsunął się pomiędzy nich zręcznie, oczekując już tylko szczęśliwego do zamku powrotu.

Tymczasem sprawiał Plauen swe poselstwo, jak mówiono, uniżając się i prosząc króla, ażeby Pomorską, Chełmińską i Michałowską ziemię wziął i jako należące do Polski zatrzymał, pruskie tylko kraje na poganach krwią i pracą Zakonu zdobyte, jemu zostawując.

Wysłuchał téj mowy Jagiełło spokojnie, inni téż ani przerywali mu, aż pierwszy Zbigniew z Brzezia, znać z rozkazu króla, zażądał, aby się nad tém naradzić mogli.

Stał już naumyślnie przyniesiony nieopodal namiot, do którego weszli Krzyżacy, nimby rada się zebrała i coś postanowiła. Kilku ze starszych zostało przy Plauenie, reszta wszyscy zgromadzili się pod innym namiotem, który do Jana z Tarnowa należał, dla obradowania nad tą Krzyżaków ofiarą.

Jagiello dosyć był chętnym i skłonnym do przyjęcia warunków, lecz zaraz inni występować zaczęli, odzywając się, iż w tém było więcej zdrady i podstępu i chęci zyskania na czasie, niż szczerości.

— Przyjdzie do zawarcia umów—odezwał się Mikołaj z Michałowa, wojewoda sandomierski, — ciągnąć będą, a gdy porę upatrzą, zerwą je. Idzie im o to, by z Niemiec posiłki czas mieli ściągnąć.

Sędziwój Ostroróg twierdził, że gdy tak uciążliwe dla siebie podają warunki, znać jeszcze gorszych się lękają, które sam zwycięzca będzie dyktował, gdy Malborg siłą opanuje, co rychło nastąpić musi.

Potwierdzili to inni, że twierdza podda się lada dzień, i że widząc to Krzyżacy tak pokornie się proszą.

Krystyn z Ostrowa i marszałek Zbigniew byli tegoż zdania, a choć król milczący inne miał przekonanie, ustąpił. Witold, nie rad się narażać rycerstwu polskiemu, zmilczał. Spytano go o zdanie, rzekł, że z królem trzyma i woli gliniany pokój, niż złotą wojnę, ale się przy swoim upierać nie będzie.

Żywe rozprawy skończyły się tém, iż marszałek Zbigniew z Brzezia poniósł imieniem króla od-

powieź Plauenowi, iż ofiara tego co jest własnością Królestwa za żadną nie może się liczyć ofiarę, iż należało najprzód Malborg zdać, jak się poddały inne zamki, warunków nie dyktować, a na królewską wspaniałość się spuszczać, spodziewać, iż Zakon, jak inne państwa niemieckie uczyniły, szczerze opatrzy.

Plauen słuchał cierpliwie bardzo odpowiedzi, nie okazując ani zdumienia, ni gniewu, ni wzruszenia.

— Jest-że to ostatnie królewskie słowo?—zapytał cicho.

— Tak jest—odparł Zbigniew—jeśli żądacie szczerze pokoju, dajcie takie warunki, jakie się zwycięzcy należą.

Plauen pomilczał chwilę, skłonił nieco głowę.

— Miałem nadzieję—rzekł—iż król nad losem srodze dotkniętego ulituje się Zakonu. Pokorą przebłagałem gniew niebios, a waszego nie mogłem. Bóg więc uczyni co wola Jego, a mnie nie pozostaje nic nad to, bym się do ostatniej krwi kropli broniał. Malborga nie zdam po dobrej woli, a ufam Bogu i Opiekunce Jego Matce Najświętszej, że mnie z niego nie wygnacie.

Dumniejszym niż przyszedł, zawrócił Plauen

nazad do wrót, a król dosyć smutny i przybity, do swojego namiotu.

W orszaku komtura szedł już osłonięty jego towarzyszami Kuno, tak, iż nikt tego nie spostrzegł. Serce mu wprawdzie biło, dopóki do furty nie doszli. Tu go popchnięto przodem i znalazł się w ciemnym przejściu bezpiecznym o siebie. Znać o nim nie wiedziano i nie strzeżono się, gdyż usłyszał rozmowę, która pewnie dlań nie była przeznaczoną.

Plauena zatrzymał stary komtur idący za nim.

— Bracie Henryku—rzekł głosem poruszonym—Bóg się zaopiekował nad nami, ale wy, wy, jakżeście mogli na sumienie wasze brzemie takie brać i ustępstwo chcieć takie czynić, na które gdybyście już dostojność Wielkiego Mistrza piastowali, gdybyście z kapitułą radzili, a jeden głos padł przeciwny, jużby ich czynić się nie godziło!

Plauen odwrócił się do starego z wielkim spokojem.

— Bracie mój—rzekł—wiedziecie, zem to uczynił dlatego, iż ich znam i wiem, że im większą czyniłem ofiarę, tém pewniejszy być mogłem, że jej nie przyjmą. Dzisiaj mamy za sobą to, że oni ją odrzucili. Nie śmiałybym im takiego nieść

pokoju, gdybym nie wiedział, że w pychę się wbiwszy, odepchną go.

Plauenowi dano znać, gdy wychodzili w podwórze, o pośle z Torunia.

Zabrał go więc natychmiast z sobą na poufną rozmowę.

Na zamku teraz porządek wojenny panował surowy, a ludu było mnóstwo. Znaczniejsza część mieszczan malborskich schroniła się i koczowała tu pod ścianami, lub po wielkich budynkach na składy przeznaczonych. Na mury wtaczano ciągle kamienie, które z posadzek, ze ścian, z rozebranych budowli ściągano. Ludzie z kolei mieniali się na blankowaniu i pilne mieli oko na wsze strony.

Daleko smutniejszym sobie stan wewnętrzny tego ostatniego niemal schronienia Zakonu wystawiał Kuno, niżeli znalazł w istocie. Plauen był spokojnym i mężnym. Dienheim odniósł mu co powiedzieć miał poleczone.

— Nawzajem, jeśli Bóg dozwoli byście się dostali do Torunia, lub do którego z tych zamków, co się jeszcze trzymają, powiedzcie naszym, iż wcale odwagi ani nadziei nie straciliśmy. Mistrz Inflantski ciągnie ku granicy, chcąc się przedrzeć do nas; próżne to usiłowanie: oddacie mu listy,

a jeśliby one przepadły, powiecie, by Witolda wyzwał na rozmowę. Oddamy mu Żmudź, niech króla opuści. Sprzedamy dobra w Czechach. Węgrzy napadną na granice polskie, bo Ścibora ujeśliśmy osobno. Nie zabraknie więc ani grosza, ani posiłków, ani nadziei. Wytrwać tylko należy, a my na zamku, choćby głodem mrąc, do ostatniego chleba bochenka dotrzemy.

Wydobycie się napowrót z murów daleko było łatwiejszem niż dostanie się do nich. Nocą straż blisko nie podchodziły ku zamkowi, otwartą więc na przekop furta tajemną wypuszczono Dienheim, a że go nikt wchodzącego nie widział, gdy z przekopu dobywszy się ukazał późno w obozie i do namiotu Jaśka przyszedł, ledwie się go spytano kędy bywał. Wojsko wczasu wielkiego zażywało i do późna, zwłaszcza u przedniejszych; nieraz się zabawiano przy kubkach, nie trudno więc było i jemu o powieść jakąś, której Jaśko uwierzył.

— Gdybym był królem—rzekł—przyjąłbym oddawane ziemie; bodaj dzisiejszego dnia, kiedy nie pożałowali.

Już choć nazajutrz rad się był dobyć ztąd Kuno, pod pozorem, że o dwie mile do Sztumu do Brochockiego chce się dostać, nie było sposobu

dnia tego ruszyć, gdyż zamęt był wielki. Szturmowano gwałtownie, a niezbyt szczęśliwie. Krzyżacy uzuchwaleni uczynili wycieczkę w biały dzień ku działom, przy których z kolei straż pełnili Wielunianie. Ci się jej wcale nie spodziewając, w koszulach prawie chodzili i oręże poodpasywali. Jak piorun wypadła kupka zbrojnych, która w mgnieniu oka zabrała dowódcę od dział, kilka ich zagwoździła i nasiekłszy tych, co zbroi wdziać nie mieli czasu, uciekli. Choć im zaraz na kark wsiedli drudzy, niewielka z tego była pociecha, bo ogon tylko wycieczki schwycili, a jeńca odbić nie mogli.

Drugiego dnia, gdy już Kuno z obozu się ruszał, kula z zamku wypadłszy, trafiła w stojący niedogorzały mur kamienicy na miejskich zgłiszczach. Właśnie od słońca szukając osłony, siedzieli tam w cieniu żołnierze z chorągwi Janusza księcia mazowieckiego, których mur ów padając, stłukł wielu na miazgę. Wszczywały się też w obozie choroby, nie z niedostatku, ale ze zbytku pochodzące. Było żywności nadto, a miary u żołnierza niema, padali więc jak muchy z feber i chorób wszelakich.

Kuno tego wszystkiego się napatrzywszy, sprawiwszy poselstwo, rad był się z obozu wydo-



być, a że drogę miał ukazaną i ludzi, u których bezpieczny mógł znaleźć przytułek, miał więc nadzieję, że choć uśmiech od pięknej Torunianki otrzyma w nagrodę.

Jaśko Sokoł przeprowadził go za obozowisko wzdychając.

— Jedźcie z Bogiem—rzekł—żebyśmy i my mogli się przedźwignąć z pod tych murów wydobyć a w pole pójść nieprzyjaciela gnać, lub stawić mu czoło; dzień-byśmy ten błogosławili i godzinę, kiedyby hasło dano. Cięższa to pono sprawa stać a patrzeć, niż ruszając się a coraz nowego próbując, świat przechodzić.

Ks. Jana już też nie było w obozie, gdy go Kuno opuszczał. Z dobrą myślą, na odpasionym koniu, bo na żywności nie zbywało, ruszył tedy dalej, wzdychając ku tej, dla której życie, a po trosze i sumienie ważył. Nie miał pono wielkich zgryzot, ani wstydu z tego rzemiosła, które pełnił naówczas nie on jeden, ale mnodzy świeccy i duchowni; jednak rycerskie słowo czasem się przypominało z wątpliwością, czy mu się nie sprzeniewierzył. Broni byłby do rąk nie wziął pewnie, a służyć tym orężem daleko potężniejszym, wcale się nie wahał. Sprawa krzyżacka wydawała się wielu naówczas jak jemu, sprawą cywilizowanego

świata, dla której wszystko czynić było wolno, co bezkarnie było możliwém.

\* \* \*

Wincenty z Granowa, kasztelan Nakielski, siedział z ramienia królewskiego na zamku toruńskim, a miasto i mieszczanie silili się na zjednanie go sobie, ugoszczenie i przyjęcie. Słynęły naówczas toruńskie panie i z wdzięków i ze śmiałości swój w obejściu, którą może panowaniu krzyżackiemu winne były.

Rycerstwo, które pan kasztelan przywiódł z sobą, równie jak on sam wczasu zażyć i dobrej myśli żądne było.

Na zamku, który Polacy zastali zaopatrzonym tak obficie jak wszystkie inne krzyżackie, życie się wiodło wesole. Od nieprzyjaciela nie było się czego obawiać, bo zwyciężkie wojska urok jeszcze miały za sobą siły, z którą tu przyszły, przed którą wszystko padało na twarz w pokorze. Lada chwilę oczekiwano poddania się Malborga, a Gdańsk przyrzekł uroczyście, że tegoż dnia, gdy zamek główny będzie wzięty, i on swe bramy otworzy. Mało co pozostawało przy Zakonie. Można więc było spocząć po znoju rycerskim i popuścić pasa. Zdawało się jakby umyślnie te wszystkie zamki

zdobyte, tak były zaopatrzone obficie, aby z nich każdy stał się dla Jagiełłowych Kapuą. Łupami ładowano wozy, dzielono je między czeladź obozową, obrazy, rzeźby, naczynia srebrne i złote wysyłano do Polski, a spiżarnie karmiły żołnierza aż do zbytku, aż do rozpieszczenia.

Witold już skarżyć się począł na to, że lud jego nienawykły do takich rozkoszy, chorował ze zbytków i marł z dostatku; wypraszał się téż dlatego, aby znowu Tatarów swych i Litwę a Ruś na chleb i wodę odprowadzić do domów.

Pan Wincenty z Granowa, zawołany rycerz, który i poza granicami bywał i nie w jednym kraju kopie kruszył, bił się jeszcze dobrze, choć mu już na koń czasem sięć bywało przytrudno. Siadłszy jednak (we zbroi go podsadzano), trzymał się mocno i siekł zajadle. Dla swoich był dobrym bratem, kochali go téż, od króla począwszy aż do ciura wszyscy, za to nadto pozwalał pono i drugim i sobie. Pobożny, kajał się i spowiadał często, kościoły darzył, jałmużny sypał, ale broił na ten rachunek również nie skąpo. W polu, o suchym chleba kawałku wytrwać, popiwszy wodę, nie było dlań nowiną; za to gdy do misy i dzbana się przysiadł, rzadko mu kto podołał. Z bratem swym panem Mikołajem we dwóch zja-

dali o południu cielę całe, nie licząc tego, co się drobniejszego przytém znalazło. Nieckę gruszek między obiadem a wieczerzą przy szklanicach zmieść—było mu łatwo. Choć mówił sam, że siły nieco stracił, podkowy łamał lekko, co naówczas nie było dziwném, bo siostrzenica Jagiełły, panna w kwiecie wieku, także się w ten sposób zabawiała.

Homeryczne więc uczty sprawiano na kuchniach krzyżackich w Toruniu, a że tu na zagranicznój przyprawie nie zbywało, smakowano wielce za stołem obfitym i wymyślnym. Młodzież podpiwszy nie wytrzymała bez skrzypka, kobzy i lada-jakiéj muzyki; przy téj téż bez płci białéj taniec nie wesoły, musiano panie mieszcзки zapraszać. Było tego w Toruniu dosyć, powdowiałych po żołnierzu, który padł pod Grünwaldem. Opłakawszy sieroctwo, młodsze myślały o życiu. Inne przez wielką politykę pragnęły ująć serca zwycięzców, nie było więc dnia bez uczty, a wieczora bez tanów. Nie było téż dnia bez waśni i sporu hałaśliwego, ale ten się przy kuflu załatwiał. W najgorszym razie pan z Granowa pozywał przed się poróżnionych i godził skutecznie.

Życie więc tu upływało tak mile jak w raju, i mało kto do powrotu wzdychał, chyba młodą żo-

nę zostawił i dzieciaki drobne. Z toruńskich mieszkańców wszyscy niemal pozostali przy domach i godzili się z przeznaczeniem. Ci, którym panowanie krzyżackie nie było do smaku, nowym bogom kłaniali się, jak biskup kujawski; inni godzili się z przeznaczeniem. Pana kasztelana Nakielskiego i jego rycerstwa łaski sobie zaskarbić szczególniejsz starala się starszyzna. Pomimo, że dla swoich dobry był jak baranek i łagodny, to łamanie podków odzywało się w jego charakterze; sprzeciwieństwa nie lubił i łamał je też bez litości. On, co żołnierza swojego, gdy go kamień z murów padający przytłukł, jak dziecko pielegnował, jeńców krnąbrnych ścinać kazał i patrzył na egzekucyą gruszki jedząc z niecki, jak gdyby na igraszkę. Przytém uctowanie szło swoją drogą, a karność i czujność się nie zaniedbywała. Na zamku szło wszystko aż do zbytku porządnie i pilne oko miano na ludzkie obroty.

Dwóch podejrzanych, przy których pisma jakieś znaleziono, pan kasztelan *brevi manu* powiesić kazał. Wydał potém ciała ich krzyżakowi wikaryuszowi przy kościele Ś. Jana i pochować je polecił przystojnie.

Obawiano się więc pana z Granowa, i może dlatego mu wspaniałe uczty sprawiano. Szczególniej na nie silił się burmistrz Werder, któremu i o miasto szło i o siebie, aby obojga mógł oszczędzić. Werderowska kamienica nie ustępowała domowi pani Noskowej. Wprawdzie i tu z razu przychowano kosztowności po lochach, gdy Toruń zajmowała załoga nowa, powoli jednak gdy się przekonano, iż rabunek żaden nie groził, wychodziło to nazad na stoły i do szaf, bo się chciano przed szlachtą z zamożnością mieszczańską pochłubić.

Werder był zarazem kupcem, znaczny handel prowadzącym z Flandryą i Anglią suknam i wyroby tkanemi, których Zakonowi dostarczał. Poważny to był mąż na oko, szczery i otwarty z pozorami, lecz niezmiernie przebiegły. Oszukać go nie mógł nigdy nikt, a mało kogo on w pole nie wywiódł.

Twarz miał tak otwartą, śmiejącą się, jasną, słowo tak obfite, iż zdało się każdemu, że wszystko co w sobie ma, wypatrzy i wygada. Nigdy wszakże nie powiedział więcej niż chciał i był powinien. Werderowi z Zakonem dogodnie było, szczerze też doń przywiązany w duszy, dla nowych panów zdawał się mimo to najszczerzym sługą.

Kasztelan nakielski lubił go i ufał mu wielce, bo rozkazy jego spełniał w mgnieniu oka, a oprócz tego grzecznosciami obsypywał.

Każdego dnia Werder był na zamku, czasem i po dwa razy, a niekiedy się z rycerstwem zabawiał, *cum debita reverentia*. W domu sama jejmość, matrona poważna i trzy córki w kwiecie wieku, świeże, silne i hoże, tak śpiewały jak ojciec zagrał. Umiały być smutne i nieprzystępne gdy skinął, lub miłe i wdzięczące się, gdy tego była potrzeba. Były to piękności, których całym wdziękiem zdrowie i młodość; lecz rycerskiej młodości, poprzybierawszy się bogato, stały za trzy gracye, zwłaszcza że humoru były wesołego i żarty lubić się zdawały.

Nie chował ich wcale Werder, chodziły i do kościoła i po ulicach, a pono nawet z ojcem i matką na zamku gościły. Uznał wreszcie burmistrz właściwem, kasztelana mieć u siebie i ucztę mu sprawić, co przedniejszych jego towarzyszków zapraszając.

Z mieszczaństwa nie było nikogo, a z kobiet tylko domowe, które się gospodarstwem zajmując do stołu nie siadały. Wybrano dzień niepostny, aby mięsiwem nakarmić razem i rybami.

Naprzeciw kasztelana i jego rycerzy wyszedł do pół rynku Werder, czapkę trzymając pod pachą i wprowadził do wielkiej izby na dole, umyślnie przybranęj, obwieszonęj suknamy, wysłanęj od progu szkarłatem. Wedle obyczaju, dwóch błaznów, choć niemieckich, stało w progu, by, jeśli nie mową, to ruchami szanownych gości rozśmieszać.

Stół był zastawiony choć na dwa razy tyle osób, misami jedna przy drugiey, a po tém pierwszém daniu, jeszcze dwoje nastąpić miało. Konwi na stole z winami, miodami, więcej było niż potrzeba. Zasiadło więc gwarno rycerstwo, a pan kasztelan na pierwszém miejscu. Dopiero nadeszła jémość z córkami powitać go i zaprosić, aby jadł smaczno co Bóg dał. Werder téż nie siadając, nad stołem czuwał.

Gdy chłopcy wodę i ręczniki obnieśli dokoła, a ręce umyto, wszczął się szturm do mis okrutny, tak, że wkrótce gołe stały, a kości pod stołem (taki był obyczaj wówczas) leżało podostatkiem przy każdym.

Nalewano kubki, ohocho zabawiali się wszyscy, ale gospodarz z tego mało co zrozumiał. Błaznowie wyprawiali trefne żarty na migi i miny stroili, aby gości rozśmieszać.



Przyszło drugie danie, potem i trzecie ze słodkimi potrawy, i owoce domowe i obce, a wina też nie skąpiono. Kiedy niekiedy z miską jaką w ręku, coś osobliwego zawierającą, albo Werderowa lub jedna z córek się zjawiała, a te oczyma przy stole siedzący jedli cmokając.

Panny były, prawda, rąk potężnych, kształtów dużych, rozrosłe silnie, ale świeże jak krew z mlékem, a śmiejąc się, pokazywały rzędy zębów białych, jak perły w malinowej ust oprawie. Przytomność ich rozweselała dziwnie rycerstwo.

Trwała biesiada do mroku niemal, lecz w ostatku już przy dzbanach tylko; trzy obrusy zdjęto z trzema daniami, ostatni, który został, szyty był misternie i najpiękniejszy. Na nim misy z migdałami, figami, rodzenkami i orzechy, z cukrem w kawałkach małych, imbirem i innemi łakociami, stały już tylko obok dzbanów i flasz. Rozweselone umysły odzywały się śmiechy i śpiewami.

Kasztelan zjadł i napił się tak obficie, iż trochę czuł potrzebę drzémki, ale ta go nigdy na długo nie napadała. Kilka razy oczy zmrużyć, dosyć mu było.

W drugiej izbie siedziały panie, a była obszerna też i do niej wnijść nikt nie bronił. Więc młodsi radzi tam byli zajrzeć, do trzech panien

burmistrzówien. Kasztelanowi téż myśl ta po drzémce przyszła i ruszył się z za stoła, a za nim kilku ochoczych, by pani Werderowej podziękować.

Już na próg wchodzili, gdy, jakby ich co olśniło, stanęli wszyscy nie śmiejąc go przestąpić.

Pani Werderowa gospodarzyła jeszcze około dzbanków, wydając je służbie, trzy panny stały z boku, ale wydawały się teraz patrzącym na nie, jakby nagle pobrzydły i zgasły. W pośród nich stało strojne dziewczę, w sukni jedwabnej z grubej tkaniny, podpasanej złocistym paskiem sadzonym, u którego wisiała złotem téż szyta torebka.

Suknia u góry wycięta, a bramowana bogato, obwiedziona była białym rąbków puchem. Na ślicznej szyjce wspaniały łańcuch dwa razy się zwijał i spadał na piersi, ze zwieszoną przy nim balsamką rubinami sadzoną. Rozpuszczone włoski kręcone, świeciły jak jedwab, a mocniej stokroć oczki figlarne i usta maluczkie, ściągnięte, z wyrazem dumy i szyderstwa. Z pod rękawów rozciętych i zwieszonych sukni, białe, przezroczyste, drugie, pospinane sznurkami złotymi, wystawały, obejmując maluczką rączkę, całą w pierścienie okutą.

Strojne to dziewczę nie miało, a przynajmniej nie zdawało się mieć lat więcej nad kilkanaście,

lecz śmiało patrzyło, nie złęknione, na wchodzących rycerzy, choć oni widokiem jego zdawali się rażeni. Pan z Granowa patrzył i patrzył, a nie miał odwagi iść dalej.

— Wygląda jak królowna!—rzekł do Dobka z Włoszowój; który przy nim stał — ale któż to jest? Czy czwarta dziewczka tego Werdera?

Skłonił się w tej chwili, wysuwający się z drugiej izby burmistrz i tym językiem, jakim się był zwykł tłómaczyć, przedstawił *Illustrissimo et Excellentissimo Domino...* córkę kupcowej, sąsiadki swój, znakomitój pani Barbary Noskowej, szczególniej sławiąc ją z tego, że językiem polskim mówić umiała.

Zaleciła się ona już, nim otworzyła usta, samą swą powierzchownością rycerzom, którzy uwielbienia nie tając, jedni drugich do drzwi ciągnęli, aby to cudo wszyscy mogli oglądać.

Ofka stała tak, wystawiona na oczy ciekawe mężczyzn, wcale nie pomieszana, uśmiechając się z pewną dumą.

— Prawdziwy ogród różany! to wasze miasto Toruń—odezwał się kasztelan—takie u was kwitną kwiaty...

— A wy ten ogród nielitościwie depczecie—

przemówiła Ofka, zbliżając się z pokłonem do kasztelana.

— Uchowaj Boże! — rozśmiał się kasztelan — grzechby był i wina okrutna; przyszliśmy owszem oczy i serca nim nacieszyć. Z niewiastami wojować nie myślimy.

Urywana rozmowa, do której ten i ów rad się był słówkiem wmieszać, poczęła się w małym kółku.

Ofka strzelała oczyma, a gdzie ten strzał padł, to do serca trafił. Werderówny podobały się tém, że wedle polskiej pogadanki, wyglądały „jak łanie,” ta znowu, że do królowej była podobną i pańską miała postać, a gdy usta otwarła, zdumiewała słowem swobodném i rozumném.

Oczarowani nią wszyscy, byliby stali, patrząc do jutra, gdyby piękny ten gość, ledwie się pożegnawszy, nie uciekł i nie schronił się gdzieś, w głąb' domu. Posypały się pytania gradem, kto była i co za jedna. Werder rozповідаł szeroko o zamożności, bogobojności, dostojności pani Noskowej, stokroć więcej niż sam o nich trzymał. A gdy po owój uczcie rozeszli się goście i pan kasztelan na zamek powrócił, unieśli z niej wspomnienie najżywsze owego niespodziewanego zjawiska.

Wielu się nadaremnie pozawracały głowy.

Było to w przeddzień powrotu pani Barbary Noskowej, która na drodze się z ks. Janem spotkawszy, dowiedziała się o córce, i brata też wzięwszy z sobą, szczęśliwie znowu pod Jelenia zawinęła.

Matka i córka długo się w objęciach trzymały, pierwsza nie miała siły wyrzutów czynić, druga czuła, że nigdy jój do macierzy tak, jak teraz serce nie biło. Popłakały się obie. Poczciwy ksiądz wyprosił się zaraz i uszedł dla modlitwy i spoczynku. Z nim też obu jójmościom nie na rękę było. Żadne mniéj nie rozumiało się i nie godziło rodzeństwo. Ks. Jan Krzyżaków nie lubił, surowego był obyczaju mąż i cały w Bogu; Noskowa i córka jój kochały Zakon jak siostry i na wszystko dlań były gotowe.

Matka nie ustępowała w tém córce, mniéj tylko miała odwagi.

Przy ks. Janie szczerze się nawet rozmówić nie śmiały, lecz gdy odszedł, nie mogły sobie nawzajem dość naopowiadać o wszystkim. Noskowa płakała nad losem Zakonu, mając go za zgubiony; Ofka żyła nadzieją. Trwały szepty i narażdy do północy, aż się rozeszły w zgodzie, a córka, jak zawsze, nawróciła matkę i wpoila jój co chcia-

ła, nade wszystko to, że Polaków zdradą tylko i chytrością podejść można.

Doniosła też o Dienheimie, za którym matka była zawsze. Uśmiechało się jej owe grafstwo, choć się do tego przyznać nie chciała, choć niby niemi pogardzała.

— Tyle dobrego—szepnęła Ofka—że teraz mi służyć musi, a jeśli głowę całą wyniesie, a wojna się skończy, znajdzie się czem go odprawić, lub... zobaczymy. Śpieszyć się niema czego.

Kilka dni upłynęło; jednego wieczora zapukano do drzwi, Kuno na górze się zjawił, ale zastał matkę samą. Pani Barbara chłopca dosyć lubiła, a nawet oczyma doń strzelała, choć on tego nie zdawał się rozumieć.

Kazała mu przy sobie siąść i wina przynieść. Ofka też dowiedziawszy się o nim, zeszła z góry, nie zadawszy sobie pracy, przybrać się dla niego.

Porwał się Dienheim, zobaczywszy ją: przyjęła go zimno.

— Byliście w Malborgu?

— Tak jest—odezwał się Kuno—i w obozie królewskim i na zamku w Sztumie.

— Cóżście przynieśli?

— Zlecono mi wiele, nie darmom głowę niósł, to dosyć.

Ofka się zarumieniła.

— Myślicie tu siedzieć?

— Gdy powrócę od Mistrza inflantskiego, do którego jutro ruszę.

— Malborg się nie podda?

— Ani się podda, ani go zdobędą... w obozie choroby. Rycerstwo powracać radę, król znużony.

Słuchały kobiety, a Kuno szeroko opowiadał po swojemu. Dorabiał się w ten sposób łask dziewczęcia, które o czém inném myślało. Noskowa wychwalała Dienheima, Ofka milczała. Próżno się o dobre słowo przymawiał.

— Śpieszcież do Mistrza, jeśli doń poselstwo macie—dodała w końcu—wypoczywać długo nie potrzebujecie. Teraz i godzina znaczy.

Chciał Kuno odwiedzić ks. Jana. Ofka za wychodzącym wybiegła, palce trzymając na ustach.

— Lepiejbyś go nie widział—rzekła—lepiejby nie widział was. Jego serce w polskim obozie. To święty człowiek, ale nie nasz.

Odprawiono więc hrabiego na dół, pod opiekę Wolffa, a nazajutrz dostarczono mu przewodnika, tego samego starego człeka, który Ofce towarzyszył, i z rana Kuno puścił się w drogę.

W kilka dni potém, w domu pani Noskowej, takie same czyniono do uczyty przygotowania, jak u Werderów. Trochę kobiécéj próżności było w tém, aby gorzej się nie pokazać od burmistrza; więc między strachem wydawania się z bogactwy, któreby łakomstwo obudzały, a dumą kupcowej, aby domowi honor uczynić, środek wybrano. Kasztelan nakielski przyjął zaproszenie z ochotą.

Przybrano dom, w co tylko było można, choć Wolff się obawiał i mruczając przeciwił. Noskowa sama przywdziała strój najbogatszy i wszystkie swe najcięższe łańcuchy, najdroższe manele, tak, że z trudnością pod ciężarem tych klejnotów poruszać się mogła. Chciała być piękną, i istotnie byłaby zgasła inne mieszczki, gdyby nie córka. Ofka na ten dzień przybrała się skromniej, lecz z przemyśłem wielkim. Stała u zwierciadeł, probując co jój najlepiej było do twarzy, zmieniała przybory, dodawała, darła: wreszcie gdy wyszła, z wianuszkim różanym na skroni, matka się sama z radości i zazdrości razem zapłonila.

— Ja będę dzisiaj podczaszyną—zawołała—ja kasztelanowi naléwam! Wzrok jój zaiskrzył się, oczy błysnęły i padły na balsamkę zawieszoną u szyi. Matka tych słów nie zrozumiała i pocałowała ją w czoło.



Uczty się zwykle owych czasów o południu poczynaly, więc nim wydzwoniono u Ś. Janą godzinę, kasztelan już z zamku jechał z drużyną, wszyscy strojni w co kto miał najlepszego.

Noskowa w jedwabiach i łańcuchach, z czółkiem perłami szytém na głowie, czekała we drzwiach z córką i prowadziła gości na schody.

Pierwszego dnia dziwiono się Ofce, teraz poszaleli wszyscy, pierwszy pan z Granowa, który oczów od niej oderwać nie mógł, a ona mu się téż sama wzięła służyć, kąski podawać i kubek nalewać. Inni szczęśliwi byli z wejrzenia Noskowej, której wdzięki téż niepoślednie czyniły wrażenie na młodzieży.

Gdy u Werderów lekkie wino zrazu naléwano i głowy długo były swobodne, tu starym sektem uraczono tak gości, że przy pierwszym daniu sobie podchmielić musieli. Ochoczo téż niezmiernie biesiadowano, dziwiąc się tylko wielkiej zamożności panów kupców toruńskich i wyszukany przyprawom zamorskim, których drudzy domatorowie i z imienia nie znali.

Ofka służyła z pilnością wielką kasztelanowi, który sarninę i ryby tak żarłocznie zajadał, iż, gdyby nie wino, na najlepsze kąski pod koniec, jużby mu sił niestało. A przy każdej misie na-

glono do picia, i wino było tak przednie, iż się samo do ust prosiło.

Pod koniec rycerskie pieśni chórem śpiewać zaczęto.

Kasztelan zmordowany, czerwony, pot z czoła uznojonego ocięrał i rad był, gdy ostatnie danie z obrusem zdjęto, a pod spodem na podziw gości ukazał się jedwabny, którego brzeg perlami był oszyty.

Rycerstwo patrząc nań szemrało, że chyba do kościoła się godził.

Kubek po kubku wychylał z rąk Ofki kasztelan, bo go po korzennych przyprawach pragnienie okrutne paliło.... Już pod wieczór uczuł się z niepomiernego uctowania jakoś koło serca nie dobrze, pożegnał więc gospodynie i całe z nim rycerstwo na zamek pociągnęło.

Aż do drzwi i za wrota nawet sama Noskowa odprowadzała, dziękując za cześć domowi jej wyrażoną.

Tak wszystko szczęśliwie się skończyło, z niemalą zazdrością Werderów, którzy w wystąpieniu Noskowej chęć zaćmienia siebie upatrywali, a wkradnięcia się w łaski pana kasztelana.

Nazajutrz rano Ofka niespokojna, oka nie zmrużywszy w nocy, po tych hałasach i zmęczeniu,

wstała wprzódy niż matka i chodziła po domu wyglądając jedném to drugiém oknem w ulicę, ku zamkowej stronie.

Kilku konnych przebiegło rynek, kilku pieszych z zamku i na zamek śpieszyło, z jakimś pomieszaniam.

Gromadki mieszczan poczęły się tu i owdzie zbierać, a ktoby był pilno na nie uważał, dostrzegłby łatwo, że ku oknom kamienicy Noskowej ostrożnie wskazywali palcami. Lecz jak skoro kto z załogi ukazał się zdala, pierzchało wszystko. Cisza jakaś złowroga panowała w mieście.

Ofka widziała jak Werder pobiegł do zamku.

Rynek się wreszcie przywożącemi na targ zboże ludźmi i stającemi około wagi i miary miejskiej wypełniać zaczynał. Ks. Jan wyszedł ze mszą do kościoła. Ofka została w domu, udając spokój, ale widocznie pomieszana i wzruszona.

Około dziesiątej Werder się ukazał w rynku, idący od zamku ze spuszczoną głową. Spojrzał na kamienicę, zawahał się, oglądał i wpadł do niej. Ofka chwyciła chustkę, której już od kilku miesięcy nie szyła i siadła jak do roboty.

Drzwi się otworzyły; wszedł Werder, ale z głową spuszczoną i posepny.

Stanął w pośrodku, jakby nie wiedział co pocznie: włosy gładził i wzdychał. Ofka rzuciwszy chustkę podstąpiła ku niemu.

— Niestety się stało—rzekł zcicha.

Dziewczę pobladło.

— Kasztelan obzartuch... kto go wie, nadto jadł pewnie: coście mu wczoraj dawali? Zachorował; nicby nie było, ale księdza już sprowadzał; czuje, że nie wyżyje, tak go we wnętrzościach pali.

Spojrzał na Ofkę, której blade lice pokrył rumieniec.

— Jadł dużo, pił wiele—rzekła obojętnie—przecież drudzy to co i on jedli i pili, a zdrowi chodzą? Któż winien?

— Kto mu wino naléwał?—cicho odezwał się Werder—ciągle woła w chorobie, że go w winie otruto!

Ofka uderzyła w dłonie i brwi zmarszczyła strasznie.

— Ja samam wino mu naléwała! nie zapieram—rzekła.

Na te słowa nadbiegła Noskowa z rękami załamane.

— Niepoczeiwi ludzie głośzą, żeśmy wczoraj

struli kasztelana!—krzyknęła z lamentem wielkim—niepoczcwi ludzie!

— Z nimi ani się kłócić, ani się całować—szepnął Werder—i tak źle i tak nie dobrze. Rady niema. Kasztelan niezły był człowiek; kto wie, kogo po nim dadzą.

Jeszcze wyrazów tych nie dokończył, gdy we dzwony uderzono u Ś. Jana i wszyscy zamilkli osłupieni. Poznać było łatwo, iż dzwoniono po umarłym.

Ofce zrobiło się słabo; ujęła poręcz krzesła, zatoczyła się i siadła.

Werder podstąpił do okna.

W rynku stała kupa ludzi z głowami ponachylanemi; opowiadali jedni, słuchali drudzy. Środkiem konnych kilku we zbrojach jechało zwolna do zamku z podniesionemi przyłbicami, z pod których twarze widać było posępne i groźne.

— Kasztelan musiał umrzeć—szepnął Werder.

— Czy wy płakać po nim będziecie?—ozwała się Ofka. Miły Panie! a toż cieszyć się chyba, że ich ubywa.

Przestraszona Noskowa łamiąc ręce chodziła po izbie. Wtém z kościoła wracający, w progu ukazał się ksiądz Jan blady i zmieszany wielce.

— Nieszczęście wielkie! — zawołał — i pocóż to na nasz dom spada!?! Pan kasztelan umarł nagle, wołając ciągle, że został otruty. Wczoraj tu był na biesiadzie, o Boże mój! taka plama na nas! na dom ten!

— Szczęściem—odezwała się Ofka—nie on przecież sam u nas biesiadował, byli z nim drudzy a żyją.

Książdz załamał ręce w milczeniu. Werder stał osłupiały, Noskowa drżała, jedna Ofka odzykawszy już przytomność, z twarzą zaognioną zdawała się raczej rada temu, co się stało, niż strapiona.

— Wysłano już do króla—zawołał ks. Jan—na zamku popłoch niewypowiedziany. Jedni się odgrażają, trwożą drudzy: cóż my pocniemy?

— Nikt nie będzie śmiał na nas rzec słowa!—odezwała się Ofka—byleśmy my sami, trwając się do zbytku, nie dali im powodu.

Codzień umiérają ludzie, a przy biesiadzie śmierć za ławami chodzi.

I głową potrząsa obojętnie.

\*

\*

\*

Szumiący gaj osłaniał nad brzegiem rzeki rozłożone naprędcie obozowisko. Z wetkniętych u na-

miotów chorągwi obliczyć było łatwo, iż ich więcej nad dwanaście nie było, ale uzbrojeniem swém wydawały, że je wybrano z najcelniejszych, które pod Zyndramem u Grünwaldu walczyły. Żołnierz to był stary, wyćwiczony i tak okuty żelazem, że cudzoziemskim i krzyżackim zaciągom mógł stawić czoło.

Pod innemi walczył lud równie mężny, ale pośledniej opatrzony w oręż, o który naówczas nie było łatwo. Płatnerze domowi kuli wprawdzie ciężkie zbroje, lecz one i ramionom były do dźwignia nie łatwe i nie każdemu oparły się ciosowi. Przedni rycerz sposobił się za ostatni grosz w zbroję lekką a twardą, co się cięcia i pchnięcia nie lękała. Takimi właśnie okryci byli ci, co u brzegu rzeki pod drzewy spoczywali, wysłani przez króla, pod dowództwem Witoldowém, aby przeciąć drogę Mistrzowi inflantskiemu Henrykowi, który z kilkuset przedniejszymi braćmi, w pomoc obleżonym śpieszył.

Witoldowe wojsko zasłabe było, ażeby temu doborowi Inflantezyków skuteczny opór stawić mogło. Szły więc Zyndramowe chorągwie, ciesząc się walką zawczasu.

Namiot ks. Witolda stał opodal na wzgórzu, a obok niego, w wykopanym dole, naniecono ogień

i czeladź obracała przed nim pieczeń sarnią na stół pański, aż z lasu ukazał się herold. Wojsko, które odpoczywało, gdy na skraju ujrzano konnego posła, powiewającego chustą, całe niemal się zerwało, bo nikt w bliskości nieprzyjaciela się nie spodziewał, a herold zdawał się go zwiastować. Na tarczy miał jakieś godła niemieckie rogate i szachowane, których nikt nie znał. Konia zatrzymał, pobiegł do niego od obozu starszy i długo czekano, nim nakoniec poprowadzono go do Witoldowego namiotu.

Samemu księciu wcześniej dano znać, stał więc w pogotowiu na przyjęcie.

Tu i owdzie w obozie odzywały się głosy niechętnie, żeby zamiast bitwy nie przyszło do jakich układów. Szemrano, że kawał drogi napróżno odbyły chorągwie, gdy nie spotkawszy się z nieprzyjacielem, na heroldów trafiło. Zły to był znak.

Herold przed namiotem miał rozmowę z Witoldem, lecz jej nikt słyszeć nie mógł. Dano potem posłowi przewodnika, aby sobie spokojnie nazad szedł, co też nie nie znaczyło dobrego.

Ledwie skosztowawszy, co mu jeść podano, księżę o konie wołał, żadnego z dowódców pol-



skich z sobą nie wziął, tylko dwóch swoich i czeladzi kilku i w las jechał.

To już było najgorszym ze wszystkich znaków. Po wojsku chodziła wieść, że na rozmowę był wezwany książę od Mistrza Hermana, który z Inflant ciągnął, a przeciw któremu wojsko było wysłane.

W istocie, o godzinę drogi, w miejscu odludném, czekał orszak Krzyżaków na ks. Witolda. Nie był on liczny. Wielki Mistrz, dwóch komturów, jeden duchowny, czeladzi i knechtów kilku.

Pozsiadawszy z koni, siedzieli pod dębami oczekując, gdy Witold się ukazał. Mistrz Herman pierwszy wstał. Mnich to był więcej, niż żołnierz, mężczyzna słuszny, cienki, nieco pogarbiony, z twarzą i oczyma przebiegłości pełnemi. Gdy w gaju ukazał się Witold, który konia wstrzymał i zbierał się zsiąść z niego, Wielki Mistrz pośpieszył ku niemu, wyprzedzając i nadażył, gdy jeszcze jedną nogę miał w strzemieniu.

Z pokorą wielką skłonił głowę. Książę dumnie witał, lecz uprzejmie. Znali się z widzenia i ze sławy i z sąsiedztwa nie zawsze przyjaznego.

— Wasza Miłość i ja — odezwał się Herman — nie potrzebujemy świadków, ani słucha-

czów rozmowy. Odejdźmy nieco, abyśmy swobodniejsi byli: spodziewam, się, że długą nie będzie.

— Słucham was — rzekł Witold — choć nie wiem, czy już rozmowa na dobie, gdy oręż z sobą mówić począł.

— Na dobre słowa czas jest zawsze — mówił Mistrz z wielką łagodnością i przymileniem. Zaprzysięgliście więc zgubę Zakonu?

— Radzibyśmy być w zgodzie, ale... — począł Witold.

— Nie marnujmy słów — ciągnął Mistrz — króla Jagiełły sprawa a wasza, dwie są oddzielne, po co je łączycie? Mówię dla W. Miłości, nie dla króla. Mnożycie jego potęgę, aby wam więcej ciążyła? Pomagacie jemu, gdy winni byście myśleć o sobie? Kto wam zapłaci straconych ludzi, wylaną krew? Gdy Zakonu niestanie, król znajdzie powód obrócić się na was. Czyż tak nie bywało?

— Ale dziś jest inaczej — odezwał się Witold.

— A! do czasu! — mówił łagodnie Mistrz — jam się tu zbliżył umyślnie, nie dla wojny, pokój niosę i wam i królowi nawet. Chcemy go szczerze. Złamaliście nas, potrzebujemy czasu, aby klęski jak rany się pogoiliły.

— Czegóż chcecie? co dajecie nam? — rzekł Witold.

— Ja wam przynoszę Żmudź waszą, oddajemy ją, nie królowi, ale wam, za to tylko, abyście od Jagiełły odeszli i nie pomagali do zupełnej zagłady chrześcijańskiego, szpitalnego Zakonu.

Witold uśmiechnął się trochę szydersko.

— Szpitale dziś przemieniły się w śpichrze, a Zakon w pułki.

— Któż nas zmusił do tego? Niesiemy światło, tamujecie nam drogi.

— Cóż więcej?—spytał Witold nieco niecierpliwie—co więcej?

— Słyszeliście, dajemy wam Żmudź waszą.

— Któż ją oddaje?

— Zakon.

— Plauen może zaprzeczyć.

Potém Herman zwrócił się twarzą ku ludziom, których opodał zostawił.

— Oto tam stoi człowiek, wysłany do mnie z Malbarga.

W orszaku Mistrza był Kuno Dienheim.

— Dajemy wam Żmudź, ofiarujemy wam przymierze stałe, przyjaźń i wdzięczność wieczną.

Witold się zadumał; spostrzegłszy wahanie, Krzyżak mówił dalej coraz natarczywiej:

— W. Miłość nie odrzucaj tak mojej ofiary, jak król Jagiełło odepchnął Plauena: bogdajbyście tego nie żalowali. Pomóżcie mi do króla się dostać, dojsć do Plauena, a i z Jagiełłą pokój stanie.

— Rozmowa tak poczęta, przerwana na chwilę, kilka razy zawiązywana nanowo, skończyła się po dwóch godzinach szepty cichemi: Witold milczał, Mistrz mówił, nacierał, dowodził, i z weselszą twarzą nareszcie księcia pożegnał.

Oba orszaki potem rozjechały się szybko, każdy w swoją stronę, a Witold biegł do obozu, do którego wrócił przed wieczorem. Oczekiwano go tu z niecierpliwością wielką. U namiotu stał Krystyn z Ostrowa i kilku starszyny, których Witold, jakby pomieszany, skinieniem głowy powitał.

Znano go, że mówić długo nie lubił, ani się był zwykł ze swych czynności tłumaczyć. Nie rozwodząc się nad tém, dlaczego tak postanowił, oznajmił, iż jutro Mistrza inflantskiego sam przewiedzie do króla.

— A chorągwie tu pozostaną?—zapytał Krystyn, rzucając okiem ciekawém na księcia.

Witold odparł jakby zmuszony:

— Wyrobiłem to na Mistrzu, iż wojsko swe odeśle do Balgi i Brandeburga, sam tylko w pięćdziesiąt koni jedzie ze mną. Chorągwie do obozu wracają.

Krystyn skłonił głowę, nie rzekł nic, a ks. Witold wszedł do namiotu.

Nazajutrz rano, przez swego herolda poprzedzany W. Mistrz zjawił się nad Passargą. Obóz zwijano niechętnie. Wyprzedzał go ks. Witold z Mistrzem Hermanem.

Pod Malborgiem dziwnie się szczęściło i niepowodziło na przemiany. W wojsku opowiadano różne sprawy nie do wiary, które potrosze ducha odejmowały. Zdała, na wysokim zamku, na ścianie kaplicy Ś. Anny, widny był całemu obozowi olbrzymi ów obraz Matki Boskiej, na tle złocistém. Gdy w tę stronę, na zamek, kierowano działa, mówili ludzie, że pękały.

W wojsku szerzyły się wieści, że ten obraz sam zamek obraniał, i że on nie może być zdobytym, póki go ta patronka broni.

Przedłużone oblężenie wszystkich zarówno nękało, najgorzej pono Szlązaków i Czechów zaciężnych, których na zamku dość było. Niemało ich też i w polskim znajdowało się obozie. Często w godziny odpoczynku, trafiało się obyczajem

ówczesnym, że jedni pod murami stojąc, drudzy na murach, rzucali ku sobie słowami i wojowali żartami i łajaniem; nieraz też poznawano się wzajemnie, bo ci, co przed rokiem walczyli w jednej chorągwi, ramię z ramieniem u króla Zygmunta, znajdowali się teraz przeciwko sobie jako nieprzyjaciele.

Tak się właśnie poznali Czesław i Masław, dwaj Czesi, jeden z królewskiego wojska, drugi z krzyżackiego. A byli starzy przyjaciele i z jednej ziemi od Bolesławia.

Ruszyli ramionami zrazu, patrząc na siebie i pokiwali głowami.

Potém nocą raz, gdy Czesław stał na straży, podszedł Masław pod mur, rozpoczęli rozmowę pocichu.

— Macie co jeść?—spytał Masław.

— Jest jeszcze dosyć i pić téż — odparł Czesław.

— Będziecie się trzymali?

— Pewnie, posłali po posiłki do Niemiec; licho ich nie weźmie: pieniędzy huk.

— A no by tego dosyć było, niechajby król zamek wziął, i wam i nam z tém lepiej będzie.

Poczęli szeptać pocichu.

— Starszyzna wszystko robi—rzekł jeden— jakby tój niestało, zamekby się poddał.

Od Czesława dowiedział się Masław, że Krzyżacy, na godzinę przed południem, zbierali się do wielkiej sali na radę, której sklepienie oparte było na jednym słupie. Gdyby kula mogła weń trafić, zwaliłyby się mury i wszystkich razem przytknęły. Nikt ze starszyny nawet o tym spisku nie wiedział, osnuli go zaciężni sami, aby raz tę sprawę zakończyć.

Okna wielkiego „Remter” wychodziły na Nogat, gdzie na pagórku stały działa: wymierzono więc tak, aby słup kulą obalić.

Sługa namówiony, gdy wszyscy Krzyżacy i dowódcy byli na radzie, wywiesił na znak czapkę czerwoną w oknie. Strzał był tak trafny, że kamienna kula o kilka cali tylko chybiwszy słup, utkwiała w przeciwniej ścianie i tkwi w niej do dzisiaj.

Nie powiodło się, ułożyli najemnicy wydać zamek Malborski. Maluje to doskonale ówczesne rycerstwo polskie, gdyż ze zdrady korzystać nie chciano, uznawszy ten sposób wdarcia się na zamek za niegodny szlachetnych wojowników!

Tymczasem, gdy ze strony Zyndrama i rady wojennej Jagiełły postępowano tak wspaniałomy-

ślnie, Krzyżacy przekupywali ludzi, wysyłali gońców, używali wszelkich środków godziwych i niegodziwych i śmieli się z téj prostoduszności rycerstwa polskiego.

Można już było przewidzieć koniec tam, gdzie jeden z przeciwników przebierał w sposobach walczenia, a drugi wszystkie miał za dobre, co do celu go wiodły.

Szło już o istnienie samo Zakonu, któremu śmiertelny cios zadano, a dobić go owa szlachetność nie dopuszczała.

Jagiello znużony, byłby już przyjął pierwsze warunki, jakie mu wprzód podawali Krzyżacy; oni zaś, spodziewając się posiłków z Niemiec i ufając w Zygmunta, przyjąć ich teraz nie chcieli.

W takiej chwili Witold przybył z Mistrzem inflantskim, Hermanem, do obozu. Droga i obcowanie z Witoldem dłuższe, starczyły na pozyskanie go zupełne. Herman łagodnemi słowy wciąż bezustanku wystawiał Witoldowi jego własny interes, który zawsze najlepiej do serca przemawia. Gdy do Malborga przybyli, nie ulegało wątpliwości, iż Inflanctzyk na swoim postawi.

Sam Witold przedstawił go Jagielle, oddając mu nadzwyczajne pochwały i ręcząc za jego pojednawcze usposobienia. Mistrz Herman przybywał



jak mówił jedynie, dla widzenia się z Plauenem, aby nań wpłynąć do zgody. Dopraszał się wpuśczenia do zamku na rozmowę, któraby rychlejszy koniec wojny miała na celu.

Z tą samą wspaniałomyślnością, z jaką odrzuciono zdradę najemników, zgodzono się na wpuśczenie Mistrza inflantskiego na zamek, z całym jego orszakiem. Znajdował się w nim i przebrany Kuno i staruszek mnich, proboszcz gdański.

Gdy Inflantczycy znaleźli się na zamku, i oni sami i Plauen rzeczywistości niemal wierzyć nie chcieli. Nieprzyjaciel sam dopomagał przeciwko sobie. Mistrz inflantski miał kilka dni do rozmowy i narady. Zgodzono się na to, jak zdobyte zamki odzyskiwać, jak dobra w Czechach sprzedać, aby mieć co najwięcej pieniędzy, do kogo w Niemczech zgłosić się o pomoc i listy wysyłać, jak przemówić do Zygmunta, ażeby swych obietnic dotrzymał.

Jagięło czekał z nadzieją na powrót Mistrza inflantskiego, gdy ten knuł zdradę przeciwko niemu.

Naostatek po kilku dniach wystąpił herold, a za nim Mistrz Herman, z pocztem swoim. Za nim na wozie jechał chory, jęczący staruszek, proboszcz gdański, którego wypuszczono przez

litość. W wozie na którym leżał, ukryto trzydzieści tysięcy dukatów, mających służyć dla komturów w Gdańsku, Człuchowie i Świeciu!

Mistrz wyraził wymownemi słowy boleść swą przed królem, iż Plauena nakłonić nie mógł do natychmiastowego poddania. Przysięgał, że go namawiał, że zaklinał i miał nadzieję, że się namyśli.

Dano mu odjechać, a oblężenie dalej się ciągnęło, ale już coraz leniwiej. Witold był chmurny, znękany i w kilka dni potem zaczął się dopraszać, aby mu z ludźmi odejść było wolno.

— Ludzie moi — mówił — giną jak muchy, setkami; zbytek i rozpusta ich zabija: całe wojsko stracę.

Opiérał się Jagiełło długo, przyrzekał mu co chciał tylko: Witold stał uporczywie przy swoim. Trzeba mu było dać odciągnąć, a co gorzej dla ochronienia go w drodze od napadu, któremu by się oprzeć nie mógł, dać jeszcze kilka chorągwi na zasłonę.

Odejście Witolda nie tyle osłabiło potęgę Jagiełłową, jak na duch wojsk wpłynęło. Było to oznajmieniem, przepowiednią zakończenia wojny. Połowa panów polskich rwała się do domów; zakochany Jędrzej z Tęczyna, kasztelan wojnicki,

wzdychając do swój Hanny, codzień kładł w ucho królowi, że im czas do Polski powracać; że Zakon i tak złamany, już się podźwignąć nie może: dość będzie po zamkach zostawić załogi.

Wkrótce po Witoldzie książyta mazowieccy jęli się prosić z ludem na spoczynek. Tak długo byli już w polu!

Król i rycerstwo, jeśli się bez Witolda obejść mogli, tém łatwiej bez garści ich ludu.

Z murów Malborskiego zamku widać było odciągające oddziały i coraz zmniejszające się zastępy Jagiełły. Na zamku zaczynało braknąć chleba, a ludowi zaciężnemu cierpliwości; ale Mistrz ciągnął od dnia do dnia, wiedząc przez swych szpiegów, jakie są w obozie usposobienia.

Jagiełło nie był już owym zwyciężkim panem, który nazajutrz po bitwie promieniał radością pobożną: niepokoił się i gniewał. Krzyżackie oddziały na prowincyi jak z pod ziemi wychodząc rosły.

W samém otoczeniu króla, zdania były podzielone: jedni namawiali, ażeby zajętego stanowiska nie opuszczać; drudzy znękanii odkładali resztę na następną wyprawę.

Napróżno Jan z Tarnowa i Zyndram Maszkowski dowodzili, że Zakon jest hydrą, której

jedną zostawiwszy głowę, wkrótce jój wszystkie odrosną; że dając czas, da się Krzyżakom sposób uratowania się; inni wołali, że Zakon zabity jest i że europejskie mocarstwa podniosą wielką wrzawę na króla i naród, jeżeli z okrucieństwem Zakon krzyżowy nękać zechce.

Piętnastego września rano, król znużony radę zwołać kazał. Domyślano się o co szło, więc ci co do niej należeli i kiedykolwiek przypuszczeni byli, do namiotu pańskiego się zbiegli. Młodzież pod dowództwem Jędrzeja z Tęczyna, kasztelana wojnickiego, starsi pod przewodem Mikołaja podkanclerzego.

Tu także stoczyć się miała bitwa walna, mająca stanowić o losie Malborga i rycerstwa.

Witold, którego Mistrz inflantski zupełnie umiał ująć sobie, przed wyjazdem potrafił i słabszych i chciwszych zjednać podarkami, aby króla skłonili do opuszczenia Malborga.

Byli i inni w obozie krzyżacy wysłańcy, którzy ludzi bałamucili.

Mała garść widziała jasno i wiedziała nawet, że na zamku od dnia do dnia zaciężnych, Plauen prośbami i pieniędzmi utrzymywał tylko, obiecując im, że Jagiełło odstąpi; wiedziała, że za dni kilkanaście, żołnierz sam niesłuchając starszyny, bramy otworzy.

Jagiełło ze zwykłą swą powagą i chłodem zasiadł niby widz i słuchacz. Otoczyli go panowie Rady. Wyrwał się pierwszy w imieniu wielkiej większości rycerstwa, między którym rej wodził, Jędrzej z Tęczyna, gwałtownie nalegając na króla, aby rycerstwu swojemu dał folgę i spoczynek, że i tak dosyć uczyniono dla sławy oręża i dla osłabienia Zakonu. Poparli go inni wołaniem i pokłonami.

— Miłościwy Panie! i Wam i nam do domów czas. Wrócimy i dobijemy nieprzyjaciela, zostawimy załogi po zamkach. Odciągnął ks. Witold, poszli Mazury; dlaczegoż na nasze barki cały ciężar ma spadać?

Gwar powstał wielki, gdyż starsi na wstyd i hańbę wołać poczęli, a drudzy wyzywać, aż król musiał się kazać uciszyć, a ks. Mikołajowi dał głos. Ten już z oblicza pańskiego widział, że napół go zmiękczył Jędrzej z Tęczyna i owo głośne wołanie i prośby.

— Miłościwy królu—rzekł—lepiej było nie poczynać, jeśli się miało nie kończyć. Na sławie stracimy, a wszystka krew wylana pójdzie marnie. Zamek ostatkami goni i poddać się musi. Stójmy a trwajmy. Jeśli odstępując przyznamy się do słabości, Zakon podniesie głowę, wpadną w jego ręce

znowu wszystkie zamki i dzierżawy. Nie uczyniliśmy nic.

To mówiąc, ks. podkanclerzy rzucił się królowi do nóg i ze łzami błagać go począł, aby nie czynił swemu imieniu i rycerstwu krzywdy największej, a nie podawał się w pośmiewisko.

Przemówili inni za podkanclerzym, ale kasztelan wojnicki wyrwał się też z głosem zaraz, wiedząc, że u króla wrzawą i gwałtownością wszystkiego dokonać można. Nie odstępował więc, prosząc ze swjej strony i ręcząc, że rycerstwo pójdzie z królem znowu, wypocząwszy i dzieła poczętego dokona.

A że król i przez Witolda już był wprzódy napół ujęty, i tajemnie przez Tęczyńskiego napastowany ciągle, gdy uciszono się, aby posłyszć wyrok jego, przemówił za ustąpieniem.

Poparci więc ci, co tego pragnęli, górę wzięli, a podkanclerzy ze swoimi musiał ustąpić. Król radby był pogodzić przeciwników i środek znaleźć jakiś, lecz środka na to nie było.

Stańło więc na tém, ażeby odchodzić, ale przykazano zarazem, aby o postanowieniu nikt w obozie mówić nie śmiał, bo cokolwiek tu rozpowiadano, wnet szpiegi na zamek donosili. Mimo to, nad wieczorem, szeptałi uradowani jedni dru-

gim na ucho, że już odebrać postanowiono, dalej mówiono o tém półgłosem, a w godzin kilka głośno ten i ów tłómoki i sakwy gotował i na Żuławy, gdzie się konie pasły, posyłał po swoje. Wnet wieść na zamek dobiegła: Plauen uczuł się ocalonym.

Dziewiętnastego września podpalono z rana obozy, na mury wybiegło co żyło patrzeć: dymy te zapowiadały wyswobodzenie. Zwijano namioty, chorągwie się ściągaly, król smutny wyszedł z namiotu.

Przyprowadzono mu ulubionego jego konia ci-sawego, na którym pod Grunwaldem siedział. Ci-sawy obejrzał się, jakby króla chciał pożegnać; zarżał, nogą kopać począł: upadł i zdechł.

Wypadek ten na wszystkich niemiłe, na królu zabobonnym najprzykrzejsze wywarł wrażenie. Był to jeszcze dzień piątkowy, dzień żałobny; o mało to nie powstrzymało go od podróży, lecz rycerstwo otaczające siedziało już na koniach. Jędrzej z Tęczyna wnet drugiego wierzchowca królewskiego podprowadzić kazał; wstydział się Jagiełło okazać małoduszność, siadł więc i wojsko w cichości ze sromem niemal ruszyło.

Półowa jego przynajmniej szła posłuszna, mimo serca i woli. Widok tych chorągwi wcale był

inny, niż gdy z pod Grunwaldu nadciągały. Ludzie i konie spaśli się, wozów ładownych łupami moc się wlekła niezmierna, ale to nie było owo rycerstwo natchnione, rozgorzałe i do walki skore: obleżenie je znękało gorzej boju.

Tak ciągnęły chorągwie pod Sztum, kędy z Brochockim pozostali załogą Bartosz z Trębawli, Kagnimir z Tuchowca, Pakosz Bystrzonowski i kilku innych. Wiedzieli oni wszyscy co ich tu po odejściu króla czekało od Krzyżaków, że ani dnia, ani nocy spokojnej mieć nie będą, ale na to się święcili i harce te miłe im były. Wypro-wadziwszy króla do bram, p. Andrzej ścisnął go za nogi i prosił o błogosławieństwo, a gdy wojsko odciągnęło, wrota zamknął, zwody podniósł i stał patrząc już tylko, rychło go zaczepią. Nie czekał téż długo.

W Kwidzynie Jagiełło zwiedził celę pobożnej świątobliwej Doroty, modlił się i ztąd jeszcze do Sztumu żywność posłał. Z rana drugiego dnia stanęło rycerstwo pod Radzynem, który od bitwy Grunwaldskiej aż do tego dnia nadaremnie oblegano. Krzyżacy trzymali się zamku, choć miasto się już poddało. Złożono radę: czy dobywać taki gród mocny. Znowu tedy ci, którym śpieszno było, wołali by mu dać pokój, kiedy go przez



tak długi czas nie zmożono. Odłożono do jutra postanowienie.

Piękny to był i świetny dzień znowu dla owych rycerzy, co rozkazu nie czekając, jak lwy niezdobytą twierdzę napadli. Można powiedzieć, że czterech lub pięciu dzielniejszych poprowadzili za sobą wszystkich: Dobek z Oleśnicy, Piotr Chełmski, Florek z Korytnicy i Piotr z Oleśnicy łowczy sandomierski.

Jak mrowie obsiadło mury co żyło. Dobek podpadł pod bramę sam i kazawszy wrota rąbać, choć mu tarczę, którą robotnika zasłaniał podziurawiono strzałami, nie ustąpił. On i jego ludzie wdarli się do niższego zamku. Na wyższy w téj samej chwili wpadli, albo się raczej wdrapali drudzy. Floryan z Korytnicy, który już stał na murze, spotkał się tu oko w oko z vice-komturem, niemcem, jak wół silnym i odważnym. Starli się i schwycili za barki, aż komtur musiał się cofnąć. Na przedmurzu Piotr z Oleśnicy już był ze swymi, choć ranny w nogę i tarczą się tylko zasłaniając.

Gdy ich ujrzała załoga, bojąc się, aby jęj rozjątrzone rycerstwo w pień nie wycięło, poddała się.

Jagiello na nieszpór wjechał do zdobytego

zamku. Piętnastu starców Krzyżaków stało powiązanych sznurami, czekając śmierci. Darowano im życie.

Z kaplicy szedł król do skarbcza, który strzeżono, aby się czeladź doń nie wdarka. Stanęli kołem panowie, a król klejnoty, pieniądze, łańcuchy, sprzęt kosztowny rzucał i rozdawał najprzód tym, co zamek zdobywali, potem innym kto się nastreczył...

Jagiello był tak hojnym zawsze, iż ostatni płaszcz z siebie zdjąć był gotów, byle go kto poprosił.

Tu ów Jaśko Sokoł został się na załodze z Żyżką i innymi Czechami i Polakami. Ztąd już ciągnęło wojsko ku Wiśle, gdzie ów most długo stawiano, który wprzódy tak łatwo było zbudować i przebyć. Rozchodziły się ztąd łupem obciążone chorągwie.

Jagiello jeszcze Wisłą z niewielką liczbą statków popłynął z Raciąża do Torunia, więcej, aby miasto obejrzyć i zażyć wezasu, niżeli z potrzeby. Wiele mu o bogactwach i piękności jego mówiono. Ludzie łącno zapomnieli, że tam się nie bardzo rycerzom wiodło, bo nie wojując z nikim, jak kasztelan nakielski, wymierali, lecz czasu wojny nikt grobów nie liczy.

Z rana w sam dzień św. Wacława oznajmioném mieli Torunianie o spodziewaném królewskim przybyciu. Całe niemal miasto wysypało się na brzegi i wzgórze okryte było świątecznie poprzybieranemi mieszczkami, paniami i pannami, między którymi i trzy piękne Werderówny niepoślednie zajmowały miejsce.

Wyszła z innemi i Noskowa, ale Ofka została w domu i Kuno, który tu przesiadywał znowu, nie bardzo się rad był pokazywać.

U brzegu, kędy statki przybić miały, i szkarłatném suknem przystań była wysłaną, stanęło duchowieństwo całe w uroczystych ubiorach, z chorągwiami, śpiewając:

*Tua est potentia, tuum regnum Domine!*

Proboszcz Krzyżak, staruszek, rad nie rad innym przewodniczył.

Jagiello z procesją wiedziony, udał się od brzegu do kościoła św. Jana, gdzie mszy wysłuchawszy, jechał na zamek, kędy dlań obiad przygotowano.

Część dworu i rycerstwa podejmowano na zamku, mnogich zaś co się z innych grodów zbiegli dla widzenia króla, pobrali do siebie dla ugoszczenia mieszczanie.

Kuno, który stał w rynku, gdy się tłum ów rozdzielał właśnie, nie spostrzegł się, jak go stary znajomy, ulubieniec królewski, świeżo osadzony w Radzynie, Jaśko Sokoł po ramieniu uderzył, wesoło się śmiejąc.

— A tu to jesteś zbiegu—zawołał—przecieżem cię złapał.

Kuno zmięszał się trochę; stali właśnie nieopodal od kamienicy Noskowej, a Ofka na nich oknem patrzyła. Jaśko aż wąsa pomuskał, spojrzawszy na to cacko w oknie.

Dziwnie bo strojna wyglądała dziewczyna: blada, z brwią namarszczoną, z gniewem tłumionym w duszy, usiłująca się uśmiechać i ukryć co czuła. Matki jeszcze z powrotem nie było.

Jaśko nie słuchając już odpowiedzi Dienheim, oczy wlepił i cudował się dziewczęciu.

— Hej! hej!—zawołał głośno—gdyby choć godzinę w życiu w te się oczy popatrzeć.

Kuno chciał go zagadać, nie udało mu się to. Jaśko z okna nie spuszczał wzroku.

Z wysoka spadło słowo.

— Hrabio Dienheimie, proścież swojego przyjaciela do nas! Innych już wszystkich nasi panowie mieszczanie rozebrali między siebie: dla nas nikt nie pozostał.

Kuno pobladł; przez tych dni kilka, które spędził z nim pod namiotem, poznał dobrze starego żołnierza i polubił go wielce. Nie rad był go do Nosków prowadzić. Sam zakochany w dziewczynie, doświadczał przy niej dziwnego uczucia trwogi. Mówiono jeszcze o uczcie pana z Granowa: dziwne przychodziły myśli i podejrzenia.

Ofka z okna zawołała raz drugi, uśmiechając się Jaškowi i ręką go wzywając do domu.

— Chodźcie, proszę, i przyjmijcie u nas gościnę.

Rzucił się Jaško ku drzwiom chciwie, a Kuno za nim. Zdawało mu się, że nie zdradzając się, potrafi Sokoła odciągnąć gdzieindziej: znał nienawiść dziewczyny dla nieprzyjaciół Zakonu.

— Starosto miły—rzekł wchodząc—nie idźmy my tu; dziewczę piękne, ale bałamutne. Szczerze mam rzec, nie bardzo w gościnę ochotną wierzę. Nadto tu Krzyżaków kochają, aby tym co dla Jagiełły służą, radzi być mogli.

Jaško się rozśmiał i lekko go ręką odtrącił.

— Co mi za obawy! — zawołał — rycerska sprawa i niewieście fochy zwyciężać. Przecież prosi, a prosi tak piękna dziewczka, że dla niej i w piekle gorzeć warto.

— To najbogatsza dziedziczka w mieście—dodał Kuno, lękając się, aby Jaśko nie wziął ją za płochą zalotnicę.

— Témcı lepiej, będzie miała nas czém ugościć.

Noskowa wchodziła we drzwi z drugą jejmością, gdy się właśnie u schodów spierali. Spojrzała na urodziwego, choć nie młodego rycerza i uśmiechnęła mu się. Po rysach poznał w niej Jaśko matkę. Ona sądziła, że Kuno go prowadził.

— Chodźcie, radzi wam będziemy—rzekła.— Wszyscy w Toruniu dziś gości mają, tylkom ja wdowa nieszczęśliwa skazana na to, by jeść samotnie.

— Pan starosta królewski z Radzyna, Jaśko Sokoł—odezwał się Kuno—a mój dobry i łaskawy opiekun czasu pobytu w obozie.

Weszli tedy na górę, kędy ich Ofka czekała z jakąś niecierpliwością w progu. Teraz z bladój, twarz jej stała się rumianą; oddech był przyspieszony: szatański uśmieszek błąkał się po ustach. W białej rączce trzymała balsamkę złotą, zawieszoną na łańcuchu.

Sokoł nie wiedział już między dwiema: powabną matką a uroczą córką, na którą patrzeć

i którą po żołniersku ukochać na dwie godziny, póki na koń nie zatrąbią.

Znać się Noskowa na przyjęcie gości gotowała, gdyż stół spory był w jadalnej izbie nakryty. Prosto tam szli, bo godzina późną była. Ofka skinęła na Kuna, który był jej służką posłusznym.

— Któż to jest ten stary gach, co tak do młodych oczyma strzela, myśląc, że już i kobiety zawojowane muszą przed ich siwemi padać wąsami.

— To Czech, Jaśko Sokoł, starosta z ramienia króla na zdobytym Radzynie.

— Wiem, tam gdzie stary Stein poległ mężnie na murach. To on pewnie zabił Steina?

— Nie wiem, ale człek dobry.

— Wszyscy oni dobrzy—rozśmiała się Ofka—oni! ależ my! my! jakie my jesteśmy dobre. Wczoraj byłyśmy siostrami Zakonu, jutro gotoweśmy być dyabła siostrami, gdyby do Torunia zajechał.

Spojrzała z rodzajem pogardy na Kuna: ten stał pomieszany. W drugiej izbie Jaśko dworował Noskowej i śmiał się. Usłyszawszy śmiech, Ofka drgnęła i po ustach jej przeleciało coś jak wyraz zajadłego gniewu. W téjże chwili wbiegła

do izby i siadła naprzeciw Jaśka, który z matki przeniósł wzrok na córkę.

Wtém misy zaczęto przynosić.

Żołnierz się zdumiał srebrom, puharom i dostatkowi, choć wszystko to gasło przy blasku oczów matki i córki. Wkrótce jednak Ofka odciągnęła go od niej zupełnie; po drugim kubku wina Sokoł dopominał się całować białe ręce. Dano mu jedną, a była tak drżącą z gniewu, iż mogła się wydać drżącą jakimś uczuciem inném.

Z izby, w której jedli, po kilku schodkach było wnijsć do wystawki oszklonej, wiszącej nad ulicą. Stały tam ławy dokoła, z których otwartszy okna, wygodnie patrzeć było można w ulicę.

Od stołu, przy którym goście jedli, nie można było dojrzeć wnętrza, tylko jeden Kuno siedział tak w rogu, iż oko jego głębiej sięgało. Nagle Ofka zaczęła się bardzo krzątać około kubków i wina.

Jaśko chwalił sekt przedziwny.

— A! nie będzie on smaczny, aż ja go wam z cukrem i korzeniami przyprawię — zawołała wstając.

Kuno drgnął: dziewczę nie zważało na niego. Pobiegło po schodkach na wystawkę i Dienheim



widział jak dobyło z za rąbków pektoralik, otwarło go, w mgnieniu oka parę kropel w kubek wpuuszczając. Chciał się zerwać i biedz, gdy Ofka spostrzegłszy go, zmarszczoną brwią, okiem nakazującym, w miejscu go przykuła. Kuno struchlał. Dziewczę naléwało sekt, rzucało cukier i miątko utarte przyprawy.

Białuśka rączka kubek niosła żołnierzowi, który ze szczęścia, z téj rozkoszy, łyzy miał w oczach.

— A! królowo ty moja! pewnie żaden napój w życiu tak mi jak ten nie smakował—zawołał przejęty, kubek trzymając w ręku—ale chcesz by mi nad wszystkie balsamy wydał się słodszy, przytknij do niego usteczka twoje, wypij kropel kilka...

Ofka się rozśmiała, oczy jéj błysły.

— Jam się zarzekła, nigdy nic prócz wody nie piję—odpowiedziała śmiejąc się—tego uczynić nie mogę.

Matka chciała ją namawiać nie wiedząc o niczem: spojrziała na nią groźnie. Wtém Kuno, w którym serce biło, wstał, chciał podejść do Sokoła, aby mu choć przypadkiem kubek wytrącić; lecz nim doszedł do niego, stary już wychylił go do dna i przewrócił na znak, że próżny.

Wróciwszy na swe miejsce, Kuno już ani jedzenia, ani napoju nie tykając, dotrwał do końca, ciągle tylko patrząc na Jaśka. Ale na nim wcale żadnych skutków złych znać nie było, owszem stał się jeszcze śmielszym i weselszym i wino dobyło z niego wspomnienia przeszłości.

— O! moje jasne gwiazdy—mówił do kobiet uśmiechając się—i ja to kiedyś byłem taki szczęśliwy, żem miał młodą, hożą i kochaną u boku niewiastę. Pan Bóg mi ją wziął. Zostawiła mi tylko po sobie dwóch chłopaków złotowłosych. Toż to będzie radość, gdy mojego Mikołajka i Jaroszka znowu na kolanach posadzę i będę im prawić, jak my się tu w Prusach bili tego i jakie piękne widzieliśmy panie.

Ofka słuchając, nieco pobladła: zamyślona sparła się na łokciu.

— Powiedzcież im—dodała pocichu—jakeście wy chrześcianie, tłukli tych starców, co z krzyżami na piersi szli przeciwko wam... jakieście tu skarby zabrali, i jak pięknie płonęły wioski, przyświecając wam po nocach do pułarów i pieśni.

Jaśko spojrział na nią zdziwiony.

Wtém przestraszona Noskowa poczęła już o czém inném mówić, usiłując to w żart obrócić.

Wtém na rynku trąbić zaczęto.—„Król! król!”—wołano.

W istocie Jagiełło tegoż wieczora odpływał do Nieszawy; prowadzili go duchowieństwo i mieszczanie, i panowie rady i rycerstwo.

W pośrodku Rynku, na królewskiej drodze, stała wielka kobiet gromada; postrojone, pobielone, a ciekawe i cisnące się by Jagiełłę zobaczyć mogły.

Król był dobrej myśli dnia tego.

Ubrał się nawet lepiej niż zwykle i włożył płaszcz swój aksamitny na kozuszek i żupanik, a na głowę kołpak soboli. Zobaczywszy to niewiast kółko, przystanął i uśmiechać się począł do nich. Śmielsze z pokłonami przybliżyły się ku niemu.

— Cóż tu was tak wiele?—spytał Jagiełło— a bodaj i od mężczyzn więcej.

— Wyście to temu winni—podchwyciła śmielsza jedna — wszystkich nam mężów wybiliście i braci. Sameśmy sieroty zostały i kłaniamy ci się, Miłościwy Panie, abys nam dał mężów i opiekunów.

— O toć dla takich jasnych twarzy nie będzie trudno — rzekł król śmiejąc się, któremu całe rycerstwo wtórowało.

Obstąpiły tedy Jagiełłę dokoła szczebiocąc, a choć się bał i czarów niewieścich i oczu dziewczęcych, rozochocony zapomniiał o tém i chwilę pogwarzył.

Gdy się ruszył ku brzegowi, poszły za nim, chustkami miotając i oczyma goniąc długo \*).

\* \* \*

Gdy od stołu ruszyli się, a Jaśko żegnał śpiesznie gospodynię, aby do króla podążyć i jeszcze go zobaczyć, bo po to był do Torunia przyjechał, kobiety do okna zbiegły patrzeć, jak w rynku króla obstąpiono.

Ofka drżąc spoglądała na to widowisko, a każdy śmiech głośniejszy kobiet, odbijał się na niej drżeniem konwulsyjnym. Wtém ujrzały Jaśka, który wychodził z kamienicy, slaniając się. Kuno go podtrzymywał; blady był, sparł się o mur na chwilę, potem rzucił się dalej iść i przeciskać przez tłum, lecz chwiał się na nogach. Pomimo to dobił się do króla i wyciągnął rękę do jego dłoni, chcąc pocałować, gdy się na bruk obalił.

---

\*) Cała ta scena i obydwaj otrucia w Toruniu— historyczne (*Długosz*).

Odkoczył Jagiełło na krok, nadbiegli drudzy ratować: podniesiono go z ziemi. Sądzone zrazu, że zbyt sobie podochocił, lecz biedny Sokoł jęczał skarżąc się na boleści wielkie, a że nie posądzał nikogo, na rybę której wiele zjadł to zrzucał.

Rycerstwu zaraz przypomniała się choroba pana z Granowa, poczęli go pytać kędy jadł. Wskazał na dom. Nie już nie powiedziano mu, lecz wszczęły się szepty i spojrzenia złowrogie ku oknom.

Kuno stał nieco opodal osłupiały.

Gdy cały lud toczył się już ku brzegowi rzeki, za królem, Jaśka na rękach wzięto do gospody. Kuno już za nim iść nie śmiał. Spojrzał w okna kamienicy Noskowój: nikogo w nich nie było.

Płochy i nie wiele myślący chłopak, pierwszy raz w życiu surowiej pomyślał o ludziach, o świecie i o kobiecie. To co widział, przeraziło go; uczuł wstręt i trwogę razem do téj, ku której go ciągnęła namiętność. Jak pijany zawrócił się parę razy po rynku.

Kilku mieszczan, których znał, obstało go.

— Ta przygoda ze starostą Radzyńskim nie miła, na miasto gotowa ściągnąć złą famę. Poszalały baby!— rzekł jeden.

— Nie żalby nam pewnie było, gdyby ich Krzyżacy do nogi wybili... ale tak...

— Ale tak! — bąkał drugi.

— Może się upił tylko.

— A pewnie! — dodał drugi.

— Tak trzeba gadać — dołożył trzeci.

— Albo lepiej nie mówić nic.

Rozeszli się. Kuno na jakąś odwagę się zebrał i wszedł do kamienicy.

Na dole miał trochę węzełków swoich, najprzód do izby się udał i śpiesznie gotował się do drogi.

Gdy wszystko zgromadził, a pasa wziął, na górę poszedł.

Noskowa płakała siedząc w krześle i powtarzała jeden wyraz:

— Nieszczęście.

Dienheim nie chcąc o tém zagajać rozmowy, szepnął tylko, że jechać musi, bo mu czas przychodzi stawić się na słowie.

Wstała Noskowa z czułością go pożegnać i pragnąc powstrzymać.

— Radbym został, Bóg widzi: nie mogę — odparł cicho.

Obejrzał się dokoła, Ofki nie było: wskazała mu matka drugą izbę: w niej dziewczę w téj wy-

stawce właśnie na ławie siedząc, w miasto patrzyło takimi oczyma, co nic nie widziały.

Gdy się Kuno przybliżył, drgnęła, spojrzała nań i nic nie mówiąc, ręką na ławę wskazała.

Potém znowu nie mówiąc słowa, odwróciła głowę i wlepiła oczy w mury.

— Pożegnać was muszę—odezwał się Kuno.

— Jedziecie? — spytała — dokąd?

— Jestem jeńcem puszczoneym na słowo i stawić się muszę.

— Złękliście się Jaśka losu, nieprawdaż? Mnie samój go szkoda. Ale po cóż im służy? My nie mamy innego oręża.

Kuno zmilezał.

— Podpatrzyliście mnie? O! niech mnie na stos prowadzą, ja się nie zaprę. Wiem kto mi to dał i co mi mówił przytém. Jednej rzeczy żałuję, że ich więcej na winie mojem nie było.

Oczy miała obłąkane. Kuno spoglądał, była tak piękną, że na chwilę zapomniał o zbrodni; zląkł się więc samego siebie i wstał by odejść.

— Nie pytam was czy powrócicie — odezwała się Ofka—nie wróćcie pewnie? Bo téż jabym dla was nie była żoną, ani wy mężem dla mnie.... ja męża nie chcę, bo panować nad sobą nie dam. U mnie jedynym panem—Krzyż-Zakon.

— I dla niego wy...—począł Kuno.

— Dla niego—podchwyciła Ofka—wszystko: jam siostra w Zakonie i serce moje tam.

Dienheim nie chciał już ciągnąć rozmowy, pokłonił się, nie prosił o rękę do pocałowania. Ofka się rozśmiała smutnie, spoglądając na dłoń swą.

— Lękacie się, czy tam jaka kropla nie przylgnęła?

Skinęła mu główką dumnie i usiadła znów patrząc w okno. Kuno, choć go ciągnęło do dziewczęcia, zwyciężył się: odszedł. Nie był jeszcze w progu drugiej izby, gdy suknia za nim zaszeleściła. Ofka biegła...

— Czekaj! — zawołała — stój! Nie jesteś wolnym, bo ja cię nie uwalniam od słowa i służby. Lękasz się mnie? Ja tak samo kochać umiem i nienawidzić. Wy walczycie z nieprzyjacielem waszą, ja moją bronią niewieścią: podejściem i zdradą.

— My, my walczymy—rzekł Kuno—bronią przeciw broni, orężem przeciw orężowi, życiem przeciwko życiu.

— Ja także życie stawię—przerwała Ofka—lecz po cóż się mam tłumaczyć? Spełniam rozkazy i czynię co mi zlecono. Hrabio Kunonie, nie chcecie mnie znać więcej? mówcie?



Spojrzała na niego wyzywająco, wlepiała oczy śmiało, patrzyła nań; choć zmieszany odwrócił wzrok, i gdy znowu spojrzał, znalazł oczy jój w siebie utkwione. Potęga tych oczów i uśmiechu zwyciężyła go: zawahał się. Była tak dziwnie piękną, tak strasznie silną i pewną siebie, iż on uczuł się złamanym.

Ofka zdjęła z palca pierścioneł i trzymając go w rękę, bawiła się nim, spoglądając na hrabiego.

— Nie chcecie więc pierścienia? odpychacie rękę? — zapytała. Rzucę go w ulicę: niech go kruk sobie na gniazdo poniesie.

Łzy zakręciły się jój w oczach.

Nie wiedział, jak pogodzić tę czułość z okrucieństwem, w głowie mu się pomieszało, powiedział sobie:

— Zginę, ale będzie moja.

I wyciągnął rękę milcząc po pierścień: Ofka go z lekka cofnęła.

— Dam go—rzekła—ale służyć mi musisz... jeszcze raz. Zaniesiesz poselstwo do Michała Kochmeistra, wójta Nowej Marchii, ażeby śpieszył pod Koronowo; dasz znać, że Osterod, Niedborg i Działdów odebrane, Morąg się nie utrzyma, Sztum musi się poddać; Koronowo niech idą i odbiorą: siła jest mała.

Wszystko to wypowiedziała z pośpiechem, szybko, z oczyma iskrzącymi się zapalem. Pierś jej podnosiła się żywo.

— Trzeba iść — dodała — trzeba iść żywo. Niech się cieszą zwycięztwy i usypiają. My po jednym poodbieramy grody nasze.

To mówiąc, obejrzała się i pobiegła do szafeczki ukrytej w murze, dobyła z niej dwa małe zwitki i wręczyła je Dienheimowi, który jedną rękę wyciągnął po nie, drugą po pierścień. Ofka patrząc mu w oczy, obrączkę oddała i uśmiechnęła się jakby z politowaniem.

— Jedź! — rzekła — wracaj; gdy do Torunia Komtury powrócą, ja pójdę z tobą do ołtarza.

Za wychodzącym hrabią przestąpiła próg do pokoju, w którym siedziała matka.

— Matuniu—rzekła—to mój narzeczony: dałam mu pierścień i słowo.

Lekkim okrzykiem, wesołym prawie, przyjęła tę nowinę Noskowa i podbiegła uścisnąć Dienheima, który stał zmieszany więcej niż szczęśliwy niespodzianą dolą swoją.

Nie dało mu długo zatrzymywać się despotyczną dziewczę.

— Trzeba, żeby jechał teraz—dodała—a gdy powróci...

Mówiąc to nie była wesołą, zmuszała się do uśmiechu; jakby pilno jej było pozbyć się Dienheima, przeprowadziła go do drzwi, powtarzając:

— Jedź... Koronowo! pomnij! niech idą pod Koronowo, niech odbiorą Morąg. Wy go znacie, powinniście powiedzieć, którądy wnijsć, jak zdobywać. Jedźcie, wracajcie.

Podawała mu rękę i z dziwnym uczuciem, raczej miłosierdzia niż przywiązania, zakryta drzwiami, pocałowała go w czoło. Kuno wyciągnął ręce by ją pochwycić, lecz się drzwi zatrzasnęły i dziewczę uciekło.

Gdy z kamienicy wyszedł w rynek Kuno, w głowie mu się zawracało i długo oprzytomnieć nie mógł. Siadł wreszcie na konia, którego trzymał stary przewodnik i puściwszy go przodem, zatopiony w myślach wyjechał z miasta, które jeszcze wrzało i poruszało się świeżemi wypadkami, wyrwane ze zwykłego trybu życia.

Rad był z tego, że przynajmniej sam podróżą swoją kierować nie potrzebował, całe staranie zdawszy na milczącego przewodnika, który na zapytania skinieniem tylko głowy znać mu dawał, ażeby był spokojnym.

Zaledwie z miasta wyruszywszy, stary okiem

rzucił po okolicy, i gościniec wymijając, przez pola i zarośla, puścił się małemi ścieżynami.

Po wyjściu Dienheima, Ofka przypadła do nóg matce, kryjąc głowę na jej kolanach: nie mówiły do siebie słowa. Obie nadto, choć różnie, były wzruszone. Wśród tego milczenia, które każdy szelest co je przerywał, czynił straszném dla Ofki, zwolna otworzyły się drzwi. W progu ukazał się ks. Jan, nie jak zwykle odziany, ale w starój sukni swój podróźnej, z sakwą przewieszoną przez plecy i kijem w ręku. Powstająca na widok jego Noskowa, zdziwiła się pełnemu znaczenia ubiorowi brata, więcej jeszcze twarzy, wyrażającej wzruszenie i kapłańską powagę.

W zwykłych dniach był on w jej domu jakby pokornym sługą i bogomodlcą nadwornym, stawał na boku, odmawiał modlitwy przed jedzeniem, mało się mieszał do rozmów, a część dnia znacznie-szą spędzał w kościele Św. Jana.

On i siostra, która mu należny dla duchownego okazywała szacunek, nigdy się dobrze zrozumieć nie mogli. Ks. Jan był dawnym sługą Jagiełły, kobiety gorliwemi siostrami Zakonu. Cichy kapłan nie mogąc ich nawrócić, milcząc wolał, niż rozdrażniać.

Nie było długo mowy o odejściu i opuszczeniu

domu Noskowój, która sądziła, że brat przy niej pozostanie. Przełękała się więc tego nagłego podróznego stroju, który dla niej i dla Ofki znaczył, że kapłan otrząsnąć chciał pył z nóg i zerwać węzły, jakie ich łączyły. W tej chwili było to wyrokiem potępienia.

Ksiądz Jan smutne, ale uroczyste miał oblicze. Wszedł do środka izby, stanął, podparł się na kiju, i rękę wyciągnawszy ku Noskowój, rzekł:

— Bądźcie zdrowi, mnie wracać potrzeba: niech Bóg ulituje się nad wami.

— Jakto? chcecie nas opuścić? — zawołała rzucając się ku niemu Noskowa—dlaczego?

— Nie jestem tu potrzebny — odpowiedział wzdychając — pójdę się modlić w kościółku moim.

— Lecz, bracie, dla czego ten pośpiech? — spytała kupcowa.

— Dziś czy jutro, wszystko to jedno; odejść potrzeba: niech Bóg ulituje się nad wami.

— Nie mówisz mi szczerze — przerwała Noskowa—chyba cię co odpycha od domu mojego?

Staruszek zamyślił się.

— Tak jest — rzekł — odpycha mnie to, że trzymacie z ludźmi, z którymi ja trzymać nie mogę. Wyście siostry krzyżackie, a ja, ja proszę

Boga, aby się ulitował nad nimi, jak nad wami, bo to nie są ani zakonnicy, ani żołnierze Chrystusowi, ale dzieci Baala, ale rozbójnicy i szalbierze.

Noskowa krzyknęła z oburzenia, a Ofka cofnęła się kilka kroków i milczała stojąc w płomieniach, niekiedy mierzając wuja okiem gniewnym.

— Oczyma mojemi patrzałem na ich czyny, przeszedłem ziemię te podbite, nasłuchałem się o ich życiu i sprawach—mówił dalej ks. Jan—sam Bóg kierował ręką Jagiełły, by złamał ich potęgę.

— Ona nie jest złamaną — przerwała Ofka gwałtownie — nie!

— Jeśli nie jest nią jeszcze, to będzie — ciągnął dalej ks. Jan — gdy czas, który Bóg dał do nawrócenia, użyją na złe, nie na pokutę i kajanie się za grzechy. A gdzież ich skrucha? gdzie pokuta? Grzeszą coraz więcej i brną coraz głębiej, a ciągną z sobą sługi swoje.

— Siostró moja — czuliej odezwał się ks. Jan—jedna krew w nas obojgu płynie, więc choć wszystkich ludzi miłuję równo, ale więcej ciebie nad innych bliźnich. Siostró moja, nie chcę opuścić domu tego, bym ci nie rzekł: Pokutuj i ty i nawróć się, ty i dziecię twoje. Chrystusowi służ-

cie, nie Krzyżakom, bo ci szatanom służą, a wy z nimi, i dla nich też samą służbę sprawiacie.

Zamilkł na chwilę ksiądz, a gdy Noskowa zaniósłszy się od płaczu, nie odpowiadała, ciągnął dalej:

— Matko, źle wychowałaś dziecko, będziesz mieć na sumieniu zgubę jego.

Ofka zbliżyła się na kroków kilka zuchwale.

— Co mi macie do zarzucenia?

— Wszelaką rozpustę i swawolę—odparł ks. Jan—przystałaś być niewiastą, stałaś się dzikiem zwierzęciem.

Ofka roześmiała się urągliwie, a matka usłyszawszy to, porwała gniewna.

— Bratem mi jesteście — zawołała — ale nie po bratersku karcicie.

— Owszem, po ojcowsku, bom duchowny; po bratersku, bom nie przestał być bratem waszym, dopóki nie tracę nadziei nawrócenia.

Wtém dziewczę przerwało, biorąc się w bok jedną ręką i podnosząc głowę.

— Przecież kapłani są téż między Krzyżakami i zakonem oni są, a w Chrystusa wierzą i N. Pannę czczą i Św. Jana mają za opiekuna, a wasz król Jagiełło poganin chrzestony dwa razy daremnie, bo pogańskiej skóry z siebie nie zrzucił. Tak, do-

brzeście powiedzieli, mój Ojczy, jesteŃmy siostry Zakonu, matka i ja, i chlubimy się tćm i bćdziemy niemi, i zostaniemy do ostatniej życia godziny.

— Bóg z wami! — spokojnie odezwał się kapłan i kij poruszywszy, głowę skłonił, ku drzwiom się zwracając.

Matka i córka nieporuszone stały w miejscu. Zuchwalstwo Ofki ośmieliło Noskową, ale ją wstyd ogarnął jakiś, gdy brata ujrzała już biorącego za klamkę. Szybko chwyciła za worek wiszący u pasa, dobyła z niego kilka sztuk złota, które ze zwyczaju nosiła i pobięła za księdzem.

— Nie idźcie odemnie z gniewem—rzekła doganiając go—proszę was.

— Nie z gniewem idę, ale ze smutkiem — szepnął ks. Jan — prawdę-m rzekł, obowiązek spełniłem, wszystko skończone.

Noskowa chciała mu w rękę weisnąć jałmużnę: ks. Jan z lekka ją odtrącił.

— Nie potrzebne mi złoto wasze — rzekł — a lękałbym się go nieść, aby mnie dłań w drodze gdzie rabusie nie napadli. Jestem sługa Chrystusów. Gdziekolwiek krzyż i kościół po drodze, a dla ubogich szpital, idę się do stołu z ubogimi. Strawy mi nie odmówi nikt, suknia dotrwa do do-



mu, a obuwie zdarte pomoże, bym boso spełnił ciężką pielgrzymkę moją.

I powtórzył raz jeszcze:

— Bóg z wami!

Noskowa stała oparłszy się o mur, nie śmiejąc go już napastować, on nie oglądając się, szedł zamysłony ku wyjściu i rynkowi, a spostrzegłszy drzwi kościelne otwarte jeszcze, zawrócił do Św. Jana, aby przed podróżą się pomodlić.

Nad wieczorem spytawszy o wielki gościniec, pacierz razem począł i podróż, nie troszcząc się ani o wojnę, co go otaczała, ani o porę spóźnioną.

\* \* \*

Dnia 10 października, w dzień piątkowy, Św. Gereona, liczne rycerstwo polskie, zbierające się w miasteczku Koronowie, właśnie do postnego zasiadało obiadu. Wesóło było pod szafasami i szopami, w których zastawiono lada jakie stoły na beczkach i palikach, po większej części z wydartych tym samym szopom drzwi i wrót złożonych. Nie było tam obrusów wykwintnych, a mało kto ręcznik z sobą miał, by ręce otrzeć. Zastawa też nie była wykwintna weale, bo strawę czeladź przynosiła w czarnych garnkach, a polewane miseczki niewielkie, nie wszyscy mogli dostać i ręce też po-

sługiwać musiały; lecz przy dobrej ochocie, ci co w domu na srebrze jadali, radzi byli glinie.

Rycerstwa zastęp był niewielki, lecz dobór najpiękniejszy. Co gnuśniejszego powróciło do domów, co przedniejszego zostało. Wszystko to szło pod jedną tylko chorągwią, którą niósł Toporeczyk Piotr Ryterz, z dwoma krzyżami szkarłatnemi w polu białém. Trudno wszystkich policzyć, trudniej wybrać celniejszych, bo to było czoło same, ale z imion rycerskich,—niepoślednie miejsce zajmowały: Sędziwoja z Ostroroga, wojewody poznańskiego Nałęcza, Wojciecha Malskiego tegoż herbu, Toporezyków kilku, Łabędzi, Habdanków, Ostojów, Różyców.

Starostą i dowódcą był Toporeczyk Piotr, Niedźwiedziem zwany, silny jak niedźwiedź i zarosły. Jeden Rej z Nagłowic, Brochocki Andrzej, Skarbek, Zaklika, znani byli z pod Grunwaldu jeszcze. Wszyscy ci przedniejsi rycerze, nie darmo to imię i pas nosili, nietylko imieniem, ale wprawą, nauką i mężstwem się sławiąc. Było naówczas tak zwane rycerskie rzemiosło sztuką, której się od młodości uczyć było potrzeba, a miało nietylko reguły dla oręża, ale zakon dla serca. Nie był rycerzem, kto z mieczem i z ucziwém słowem obchodzić się nie umiał, kto czci swój nie szanował,

kto bezbronnego napadł, kto ze zdrady korzystał, kto się czémkolwiek splamił.

Siedzieli pospołu rycerze, gdzieindziej młodzież co pasów jeszcze się nie dosłużyła, i czeladź, i pacholtkowie i żołnierz zaciężny. Misy z rybami, o które w Brdzie trudno było, szły na stół i dzbany zaczynano nachylać, gdy pan Andrzej Brochocki zawołał do Jana Naszana z Ostrowiec Toporczyka:

— Jaśku, serce moje, wszystko mi się widzi, że rychło przyjdzie do rąbaniny... dłonie mi czegoś świerzbią.

— Bogdajbyś, panie starosto, był prawdziwym prorokiem: żołnierz, który stoi, psuje się, tyje, cięższe i rozpieszcza.

— Nie bój się—mówił Brochocki—nie da ci Plauen, ani Kochmeister do tuszy przyjść: ino ich nie widać. Niemcy im zaciężnego ludu nasłali siła, bo bitwa Grunwaldska popłoch wielki uczyniła aż do Renu, a gorszy wstyd. Sprzedali ziemię w Czechach i miły druh Zygmunt Węgrzynków im podesłał... Pilno im to poodbierać, co się samo poddawało nam i co za Malborg stracimy.

— Nie wspominaj Wasze Malborga—wtrącił Sędziwój z Ostroroga, który w końcu stołu z Nie-

dźwiedziem siedział.—Serce się kraje, gdy pomyślimy, żeśmy go mieć byli powinni.

— Witoldowa to robota—mruknął Malski—ja mu nigdy nie wierzę. Zdradził nas pewnie.

— Żmudź mu za to dali—wtrącił inny.

— Panie Andrzeju—mówił Naszan Topor—wy to lepiej od nas wiecie: dużo ich tam znowu jest?

— Juźciż nie tyle co było pod Dąbrowną — rozśmiał się Brochocki, — a zawsze poczet duży. Niemcy to płodny naród, rodzi się ich naraz po dwóch, po trzech, i żyje to lada sucharem, a skórę ma twardą.

— Nie lubię ich—mówił Ostroróg—ale z respektem jestem. Rycerstwo mają dobrze wyćwiczone, oręż przedziwny, a rzemiosła u nich jak nigdzie.

— Tylko — ozwał się Niedźwiedź — ani z Francuzy, ani z Hiszpany, ani z Włochami u nich równać się nie mogą. Zobaczcie zbroje niemieckie przeciw włoskich i hiszpańskich, albo miecze lub tarcze!

Chciał coś mówić Niedźwiedź jeszcze, gdy postrzegł, że pacholę, które z jego tarczą chodziło, biegło pędem doń z twarzą rozjaśnioną. A tuż u żołnierskich mis powstał rozruch, bo każdy co

mógł chwycił i naprędce do ust niósł, zrywając się z ziemi.

— Co u Boga! — krzyknął Ostroróg — ludzie ruszają.

— Krzyżacy idą! Krzyżacy!

Rozległ się odgłos: „Krzyżacy!” ale Niedźwiedź ruszywszy z pieńka, na którym siedział, przez złożoną dłoń zawołał:

— Cicho! cicho, a do zbroi i koni! Cicho!

Poszło tedy hasło — „cicho” — i szmer już tylko słychać było, a rycerstwo rzuciwszy garnki i misy, niektórzy w prędkości poobalawszy stoły, wyruszyło wyprzedzając się co żywiej ku klasztorowi nad rzeczką, kędy stały konie i większa część tam swoje zbroje poskładała. Taka była ochota wielka, a serce do boju, iż zdyszani wszyscy dobiegli siodła kłaść, kopie chwycić, zbroje nakładać. Nie każdy dobrze sprzęczki dopilnował, a szyszaki na drogę podpinać odłożono.

Tu u góry zarośla, które osłaniały nieco, dozwołyły stanąć w bojowym szyku i zastęp cały zebrać; aż gdy Niedźwiedź wszystkich oczyma zliczył, wskazał ręką, Piotr Toporeczyk podniósł proporzec z dwoma krzyżami i z za gąszczy wystąpiło rycerstwo niespodzianie, jak z pod ziemi.

Krzyżacy o kilkoro stai, nie widząc i nie słysząc nikogo, a mając wiadomość o słabej załodze w Koronowie, posiadali byli z koni i rozpatrywali się właśnie, gdy im tuż zbroje błysły i czerwone kopie na oczach stanęły.

Tak byli nie gotowi do boju, iż dopiero po konie puszczone zaczęli biedz, otrąbiać się i dosiadać.

A że Niedźwiedź po rycersku czas im dawał i nie śpieszył z napaścią, póki by w szeregi się nie zebrali, mieli go dosyć, by koni dosiąść i puścić się cwałem nazad.

Walki snąć tak niespodzianie przyjąć nie mogli, a i miejsce do niej było dla nich niedogodne.

Puścił się tedy Niedźwiedź i łucznicy królewscy w pogoń. Chorągiew szła w porządku za nimi. Strzały leciały gęsto i trafiały wielu, ludzie i konie padali. Na łuczników coraz to się w pędzie odwracali Krzyżacy, a ci cofali się ku swój chorągwi; lecz ledwie nazad poczęli umykać, znowu im na karkach siedzieli.

Miała czas i reszta rycerstwa nadążyć, bo ten harc godzinę niemal trwał.

Czuli wszyscy, że to dopiero przekąska, a sama ucztą przyjść musi, gdy się ku sobie zwróca.

Dwa zastępy gnały się tak aż pod Łącko, wioseczkę na górze położoną, nad którą wzniosłe miejsce obrawszy Krzyżacy, postanowili przyjąć bitwę, zaufawszy w to, że przeciwnik w dole się usadowi, i że całym pędem nań rzuciwszy się, szyk łatwiej złamią.

Ale mieli do czynienia z Sędziwojem, Niedźwiedziem i Brochockim, ludźmi rycerskiej sprawy, którzy też rachować umieli.

— Starosto—pędząc zawołał Toporczyk do Brochockiego—patrzcie ino na zbroje: to nie lada ciury i knechty, ale prawe rycerstwo... Hełmy i tarcze świadczą. Płaszczów białych dosyć, ale pasów niemieckich jeszcze więcej.

— Z pomocą Bożą nie będą te zbroje za twarde na zęby nasze!—zawołał Brochocki.

Niedźwiedź przypadł do chorągwi i w prawo z wojskiem ruszył ku wzgórzu także, aby nieprzyjacielowi korzyść odebrać. Co więcej, obrotem tym to sprawił, iż celniejszy rycerz, który już stał w pierwszym szeregu, musiał, czoło chcąc stawić, zmienić stanowisko i zawrócić w stronę.

Gdy się oba wojska ustawiły, spostrzeżono też znaczek jeden, ze dwoma polami: białém i czerwonym, który niósł rycerz smukły i zwinny.

Mogli się dobrze przyjrzyć jedni drugim i porachować, bo stali blisko i każdy swego wybierał. Tu dopiero okazała się prawda tego, co Toporczyk zawczasu zwiastował: niemiecka siła i znaczna była i dobrana. Rycerz w rycerza w pełnej zbroi, tarcze żelazne lśniące, hełmy kryte, miecze u boków, i młoty i toporki. Na hełmach to pierze, to różne niemieckie dziwolągi się nosły; w tarczach też znaki były dla Polaków nieczytelne, ale mocno różnemi ingrediencyami przyprawne. Gdy na polskich widziałeś podkowy z krzyżem, topory, księżyce; na niemieckich wszystko razem było pstro pomieszane. Ludzie w pierwszym szeregu jak mur stali: ramię do ramienia, rosłe, krzepkie, ogromne. Kopije długie przed nimi jak las sterczały.

Lżejszy był z drugiej strony rynsztunek, a nie pośledniejszy wcale, tylko żelaztwa mniej, kaftany bite i szyte, i koszul żelaznych, a misiuerek z czepcami siła.

Stali tak przeciw sobie chwilę, gdy z przeciwnych szeregów, jak to było obyczajem, wyjechał Szlązak, Konrad Niemczem zwany, rycerz ze dworu króla Zygmunta, zawołany do turnieju i wybrany do boju na rękę.



Wiedzieli Niemcy dobrze, że nie odmówią Polacy i wyjedzie pewnie który przeciw niemu; rachowali zaś na to, że gdy zręczny Niemcz go zwali z konia, wojsku odejmie otuchę jednemu, a drugiemu jój doda.

Gdy się wysforował naprzód Szlązak wywijając kopiją i głośno wyzywając, spojrzeli po sobie niektórzy, bo tu się wiele ważyło. Serca nie brakło nikomu, ale siły i zręczności było trzeba. A stał z brzegu Szczycki Doliwa, który był z takich harców sławny, i gdy ruszył, uradowali się wszyscy. Ponieważ Szlązak był przystanął, a ciężko zbrojny konia nie rychło ścisnął, Doliwczyk nań natarłszy, kopiją go z siłą wielką w ramię pechnął, tak, że się zachwiał, i własna mu z ręki na ziemię padła. Ponieważ Szczyckiego włócznia nie strzaskała się, dźwignął ją raz jeszcze, ugodził w pierś i Szlązaka już ruszonego z siodła na ziemię obalił.

Huknęło całe wojsko z jednej strony. Koń Niemcza poleciał wierzgając, a Krzyżacy nie czekając już dłużej, kopije do boków wzięwszy, puścili się. Z drugiej strony też szereg cały dźwignął się ku nim.

Łomot tylko druzgoczących się kopij i okrzyki słychać było.

Z obu stron ci sami to byli rycerze w większej części, co z sobą pod Grunwaldem się ścięrali, ale tego dnia szczególny charakter przybrała walka. Szyki się nie zmieszały, ludzie nie rozpierchli; każdy niemal z jednym się bił i łamał, jakby jego tylko na rękę wyzwał. Kto kopiję skruszył, a resztę jej na hełmie przeciwnika połamał, rzucił ją, a brał się do miecza i młota i kuć zaczęli wszyscy, że tylko brzęk i jęk słychać było i nawoływanie, bo łajano się też i krzyczano nieustannie. Kto swojego powalił o ziemię, albo z kim koń padł, znalazł się zaraz świeży w miejscu jego zastępcą.

Po pierwszym starciu Brochocki krzyknął do Naszana Toporczyka:

— Gorąco będzie!

Jakoż długo nie można było wcale odgadnąć, na czyją się stronę szala pochyli. Niemcy stali mocno i bili się dzielnie. Pierwszy szereg tak był dobrany, że go złamać silono się napróżno. Tylko kto w nim, albo z koniem, lub z konia się obalił, ten się już nie podniósł, bo zbyt ciężkie zbroje o swój sile wstać nie dawały, a swoje i nieprzyjacielskie konie tratowały leżących.

Trzeba było widzieć, gdy się po dwóch ścięrali najdzielniejsi, jak przyłbice brzęczały i hełmy

trzaskały, jak dziurawiły się tarcze i pękały miecze.

Trwał ten bój tak długo, a tak zacięty i nierozstrzygniony, iż w jednej chwili wszyscy znużeni, poczęli wołać o rozejm z obu stron.

Rozstąpili się, nie dalej jak na kilkadziesiąt kroków, a widok był osobliwszy, gdy to wszystko pozysadało z koni i na ziemię popadało.

— A co!—wołał z szeregu Niedźwiedź do Krzyżaka naprzeciw—pomacaj zbroi, masz na niej odemnie pamiątkę.

— A weźcie-no hełm swój i opatrzcie—odpowiadał z przeciwnej strony—tam téż pono na żelazie blizna, jeśli przez nie do głowy nie przeszła.

— Głowa cała!—śmiał się Niedźwiedź.

Tak samo Brochocki z drugim rozmawiał, inni téż ze swymi, tak że i śmiechy było słychać i patrzący zdala myśleć mógl, że jedno wojsko i przyjaciele się zabawiają.

Poodciągano na bok rannych i odniesiono za szeregi, pachółkom kazano konie sprzątnąć, a po pół godzinie siedli wszyscy znowu, z okrzykami i odgrózkami. Ustawily się szeregi, zanucono pieśń. Rzuciły się na siebie dwa wojska jeszcze zajadlój, lecz z tym samym co pierwój skutkiem.

Brochocki wołał do Naszana:

— Bracie Toporze, kto ten dzień przeżyje cały, będzie go opowiadał dzieciom, a synowie mu nie uwierzą.

Brochocki, że i siłę miał i szczęście, dwóch Niemców już wprzód w niewolę wziął. Jednego z łańcuchem pysznego człeka, co mu się odgrażał, ranił i dobił leżącego. Niedźwiedź i inni dokażywali cudów, lecz co się z pierwszego szeregu sprzątnęło, zastępowali Krzyżacy niepoślednimi też i walka w miejscu trwała bez skutku.

Było dobrze z południa, gdy po dwugodzinnym boju zawołano o rozejm raz drugi i każdy mu rad był, bo siły ustawały.

Znowu tedy z koni zsiadli.

Rozmowy pierwsze szły teraz jeszcze żwawiej. Wyzywano się do przyszłej walki. Niemcy z wozów poprzynosili baryłki z winem i krzepili się.

— Dziwże tu będzie, gdy nas, uchowaj Boże, przygniotą; kiedy my po wodzie, a te bestye po winie!—zawołał Brochocki.

— Żeby walka była równa—po polsku zawołał Krzyżak z drugiej strony—ślemy wam wina baryłkę.

— Bóg zapłać! oddamy wam to w boju—rozmiał się p. Andrzej—dawajcie!

Knecht krzyżacki chwycił baryłkę i potoczył ją, ale na polu tyle było potrzaskanych drzewców, że się zaraz wstrzymała; skoczyli więc młodszy i baryłkę zabrali.

Za to rannego Krzyżaka, który leżał bliżej polskich szeregów, zniosło dwóch: Ossoria i Doliwa i oddało Niemcom.

— Zbroje macie zacieżkie! — mówił Niedźwiedź—wierzycie nadto w grube żelazo.

— Gdybyśmy go nie mieli—odparł któryś z przeciwnika—zdałoby się nam, że w koszulach walczymy.

Ocierano pot z czoła, przewiązywano rany; ale słońce zniżało się ku zachodowi. Gdy starszyzna znowu się do koni brać i nawoływać zaczęła, młodszy a niecierpliwszy zaklinali się głośno:

— Już tego dosyć! żartowaliśmy cały Boży dzień, trzeba począć robotę.

To starcie miało w istocie stanowić o losie walki, i każdy teraz siadając na koń, żegnał się krzyżem św., bo nie wiedział, czy z niego zsiędzie. Sprobowali się nieprzyjaciele wzajem i czuli, że zapaśników mieli przeciw sobie równie dzielnych jak sami byli.

Brochocki, Niedźwiedź, Naszan, stanęli teraz tak, ażeby przeciwko chorągwi krzyżackiej miejsce

im wypadło. Gdy po raz trzeci zwarli się, jeszcze żadna strona nie uległa, miecze się szczybiły... nadaremnie, tu i owdzie krew po zbroi ciekła, nie jednemu z pod hełmu szła strugą, ale trzymali się wszyscy. Wtém Naszan pochwyciwszy chwilę, gdy właśnie naprzeciw siebie dostał Henryka Franka, który niósł chorągiew krzyżacką, wpadł nań, płątnął po drzewcu silnie i tuż za płótno chwyciwszy, zręcznie je około siodła okręcił. Rzucili się nań Krzyżacy odbierać, ale go zasłonięto. Stał się popłoch. Szereg niemiecki ugiął się. Pierwszy chorąży krzyżacki z placu począł uchodzić, co drugich za sobą pociągnęło.

Puściła się za nim pogoń Toporezyków i Okszyców. Zamęt coraz był większy, a Niedźwiedź głośno począł wołać:

— Kto w Boga wierzy, siecz a bij!

Już uchodzili z placu, co żyło siadło im na karki.

— Siecz a Bij!—wrzało dokoła.

Naówczas Brochocki, który się był rozpalił do niepamięci tą walką, uchodzącego młodego chłopaka, znacznego bardzo tém, że zbroję miał szmelcowaną i złocistą, toporkiem w głowę ugodziwszy, w miejscu ubił.

Gdy padł, a rozpiął mu się szyszak i rozwinęły włosy złociste i śliczna twarz ukazała, p. Andrzejowi samemu żal się zrobiło chłopięcia, bo był w kwiecie wieku i możnej rodziny Elchingerów, za którego gdyby był się w niewolę dostał, zapłaciliby byli krewni mało 60,000 czerw. złotych.

Rej z Nagłowic i inni chwycili samego wodza Michała Kochmeistra wójta; dostał się do niewoli Niemców, co taką złą wróżbą bitwę rozpoczął, a z nim dworzan króla Zygmunta wielu. Ci znać do turnieju w szrankach na podwórzu dobrzy byli, ale w polu nie tędzy.

Pospolitego ludu Franków, Szlązaków, Bawarów, Turyngów, Czechów i wszelkiego niemieckiego plemienia nabrano mnóstwo wielkie.

Już późną nocą dopiero skończyła się pogoń i wracający z łupem i niewolnikiem, legli przy ogniach na pobojuwisku.

Dopieroż chórem śpiewać, a weselić się poczęto, dopiero opowiadać i trefne stroić żarty.

— Co najpewniejsza — odezwał się Brochocki — że ryba nam ostygła, aby ją psy może koronowskich mieszczan zjadły. Toporze, bracie, co twój żołądek powiada?

— Strapiony wielce, a w dodatku spowiadać

się trzeba, bośmy się w piątek krzyżackiego mięsa najedli i post złamali.

Na pobojuwisku pobrawszy zbroje i sakwy i konie i oręż, i co łupem było, powiązawszy jeńców, wreszcie łuczywa pozapalawszy, poszli wszyscy z pieśnią pobożną jak należało do miasta, najprzód pod klasztor dawny Cysterski, gdzie składy były, a potem do namiotów i stołów.

Ryby rannój prawda nie było i znaku, ale mieszczanie wiedząc o zwycięztwie postarali się o inną, a na zamku téż coś zapasu było.

Gdy wozy krzyżackie przyszło zabierać, a Brochocki poszedł ze zbroją po Elchingerze i orężem szukać miejsca, gdzieby je złożył, o mało nie osłupiał postrzegłszy siedzącego między wozami Dienheima. Bez zbroi, bez miecza, w odzieży prostej, dawny jeniec pana Andrzeja na ziemi skurczony i już związany pół leżał, pół siedział.

— Kuno, a wy tu co robicie? a słowo? — zakrzyczał Brochocki.

— Nie biłem się — odparł zarumieniony Dienheim — wzięli mnie Krzyżacy w drodze. Każcie rozwiązać, proszę. Gdybym się bił, albobym padł był w téj strasznej bitwie, lub ranny był przynajmniej. Zbroi ani kaftana nie mam.



Brochocki podszedł i dobywszy nóż, sznury zaraz porozcinał.

— A co? — zapytał — cóż powiecie o dzisiejszej sprawie?

— Mój panie — smutnie odparł Kuno — albo Grunwaldskiej waszej warta, lub po rycersku więcej niż ona. Lecz tym co polegli, oddajcie cześć, bo i oni bili się walecznie.

Brochocki hełm zdjął i głowę uchylił.

— Cześć wszystkim — rzekł.

Zabrawszy z sobą Dienheima, poszedł p. Andrzej też do miasta, bo każdemu spoczynek był potrzebny.

Na pobojowisku, że noc była ciemna, strażę tylko zostawiono do jutra.

Z pola zaraz Zaklika z Korzkwi do króla do Inowrocławia pojechał, z oznajmieniem o zwycięstwie, które nieco Malborgski błąd poprawiło.

Nazajutrz co się tym rycerzom obojój strony należało, poszły wozy po ciała ich, zarówno Polaków jak Niemców, aby z uczciwością pogrzebione były przy kościele koronowskim. Ogromna moc jeńców, prawie cała właśnie na cmentarzu stojąc, oplakiwała straty swoje.

Z pod Koronowa wojsko ruszyło do Bydgoszczy, gdzie trzy dni stało, i tu zwyczajem ówczesnym, znie-siono łupy wszystkie dla podziału między zwycięzców.

Tu Jagiełło nadesłał sześćdziesiąt wozów pod jeńców znakomitszych i rannych, a sam czekał nadchodzącej chorągwi z wielką wdzięcznością i radą a wesół jak od Grunwaldu go nie widziano.

W Inowrocławiu dla rycerstwa i dla jeńców, bo dla tych szczególne zawsze miał względy, kazał król nagotować wieczerzę i służbę do niej naznaczył ze swego dworu, dla rannych wcześniej opatrzone mieszkania i opiekę.

Ten pochód do Inowrocławia i wjazd, prawdziwie był uroczysty: wojsko ochocze, pokrwawione, lecz wesołe, jeńców tłumy, wozy pełne białych płaszców krzyżackich, dalej lud pieszy, rycerstwo konne, łupy, konie.

Miało się pod noc, gdy to wszystko nadciągnęło do miasta. Król stał na koniu i witał a poznawał.

Z rycerzy krzyżackich oniemiałych, z głowami spuszczonemi, nikt ani się urągał, ni szydzić śmiał, pocieszano ich ludzko. Jeden Kochmeister siedząc na wozie, wilczemi oczyma patrzył na króla i na to co go otaczało. Chciał go Jagiełło dobrem słowem obdarzyć, ale się opryskliwie odezwał:

— Nie weselcie się zawczasu: oddamy za swoje i z nawiązką.

Potém królowi grozić począł, tak, że go musia-

no osobno oddzielić i w kajdanach do chęcińskiego zamku odesłać.

Z zaciężnym żołnierzem, gdy się do stołów usadowili, poszedł sam król mówić, aby temu obalamuconemu ludowi, który mniemał, że za krzyż walczył, okazał jawnie, iż rozbojowi, wydzierstwu dopomagał.

Stoły dla niewolników przygotowane były po szopach, a dworscy Jagiełły posługiwali: — prawdziwa uczta ewangeliczna. Każdy kubrak inny, niemieckie suknie i szlążkie gunie, i płaszcze odarte i sukmany z kapturami, i kapoty i żupany, pocięte, odrapane, pozszywane jako tako białemi nićmi. U jednych włosy długie, u drugich powygalane, wąsy a brody wszelakiego kształtu, i ludzie też rudzi i czarni, mali i ogromni. Gdy król wchodził, wstawali wszyscy, ale kazał im siadać i sam po za stołem się przechadzał, niektórych zaczepiając, jako Niemca i dworaków Zygmunta, którym ostrą prawdę rzekł.

Tłómaczyli się, że byli ludzie nieświadomi i że prawdy się im dowiedzieć było trudno, a drudzy dowcipem i śmieszkami jak mogli się osłaniali.

Jagiello wedle zwyczaju prawie wszystkich, krom Krzyżaków, powypuszczał potem na słowo i obdarzyć jeszcze kazał, aby z głodu nie marli.

Potém choć już noc była, jeszcze się kazał z pochodniami prowadzić po kwaterach, gdzie ranni leżeli, aby im podziękował i obdarzył.

Radość była wielka wszędzie, a choć który ledwie zwlec się mógł z łóżka, wstawał na przyjęcie takiego gościa.

Wieczór to był dla wszystkich pamiętny, bo nigdy Jagiełły nie widzieli weselszym i dobrotliwszym jak tego dnia. U jednego tylko Reja, który był szpetnie w rękę cięty, trafiła się przygoda nie miła, bo mu ktoś był miskę jabłek przyniósł i postawił na stole. Król skoro na próg wstąpił, a zapach jabłek go zaszedł, którego cierpieć nie mógł, wnet się, nos ścisnąwszy w rękę, cofnął.

Nikt nie wiedział coby to było, dopiero dworzanie oznajmił i jabłka wyrzucono precz, a okna pootwierano, aby izbę wywietrzyć. I tak przecie król długo wytrwać nie mógł, bo mu jeszcze te nieszczęśne jabłka czuć było.

\* \* \*

Nie występowali już później Krzyżacy nigdzie w pole, aby się mierzyć z rycerstwem polskim, ale swoim sposobem, zdradą i wycieczkami, zamki napowrót odzyskiwali.

Polskie załogi dotrzymać nie mogły w pośród

kraju zewsząd przez nich zajętego, w którym krzyżowały się niewidoczne sieci, a tych uniknąć było niepodobna. Dobrowolne więc załogi co słabsze grody opuszczaly, pobrawszy z nich co się tylko zabrać dało. W Morażu, z pomocą tego Abla co w popiele legął, a niby z psami kości ogryzał, tak Krzyżacy podkradali się i naciskali, że w końcu go musiał Brochocki porzucić, tém więcej Sztum, który żywności nie miał, a narażonym był więcej jeszcze.

Z dozwolenia też królewskiego, do domu, dzieci i żony chciał dojechać, aby spocząć, bo przez cały ten czas nikogo nadeń czynniejszego nie było i szablą i głową, a gdzie najciężej, tam albo się on sam prosił, albo go pewno posłano. Wprawdzie się to wynagrodziło sowitym łupem, lecz zapłaciło zdrowiem.

Znalazłszy Dienheima w Koronowie, już go p. Andrzej puścić nie chciał, a Kuno też choć pierścień miał na palcu, jakoś do Torunia nie śpieszył. Dopiero gdy wieść gruchnęła, że w Toruniu znowu panowanie krzyżackie wróciło, jął się niepokoić Kuno i jednego rana poszedł do pana Andrzeja sam. Było to już na drodze, właśnie w czasie pochodu do Inowrocławia, w Bydgoszczy. Wybrał sobie taką chwilę, gdy p. Andrzej dobrego

był humoru, choć mu nigdy na nim nie zbywało. Wiązano sakwy, opony różne i naczynia, których po zamkach nabranych, król wiele rozdarował.

— Panie Starosto—odezwał się Dienheim,— choć zrazu ostroście się obchodzili ze mną, alem miał dużo dowodów waszej łaskawości dla mnie i dobrego serca. Pozwólcieź mi się do niego odezwać jeszcze.

— Chcesz bym cię bez okupu wypuścić?—spytał Brochocki.

— Jak mnie dziś widzicie—rzekł Dienheim— żadnego za siebie dać nie mogę, a do brata śłać daremna rzecz.

— Więc musicie choć rok u mnie w Brochocicach konie najeżdzać—począł śmiejąc się Starosta. Nie mam już ani jednego jeńca, aby go w domu pokazać, choć, choć grafiątkiem z nad Renu się pochlubię.

— Jam przyszedł was prosić o folgę — rzekł Kuno—mam dziewczkę bogatą, kupcową, która mi słowo i pierścień dała, dozwólcie mi jeszcze raz pójść się o nią upomnieć. Jeśli dotrzyma słowa, może i okup zapłacimy.

— Tém-ci lepiej! rycerskie słowo—podchwycił Brochocki — stawicie się za cztery tygodnie w Brochocicach. Okupu ci wielkiego nie naznaczę,

ale waszmość wiesz, my nie bierzemy żołdu, służym o własnym koszcie: okup i łup to cała zapłata za potłuczone kości i doznaną biedę.

Począł się starosta dowiadywać jak daleko było, i co za jedna swatała mu się dziewczka, i od słowa do słowa dowiedział się w końcu wszystkiego, aż śmiechem parsknął.

— Szatan nie dziewczyna — rzekł — patrzeć na nią pewnie miło, a żenić się nieprzyjacielowi-bym nie życzył; ale kto w czém smakuje, radzić trudno. Znać z was rycerz mężny, kiedy się na to porywacie. Więc jedźcie i wracajcie.

Było naówczas między wszystkimi orężnymi ludźmi, choćby z obozów nieprzyjacielskich braterstwo takie, iż Brochocki jeńca puszczał, pożałował go, że odarty był i nie mógł się przystojnie stawić przed mieszczanką. Dał mu więc i koni dobrych parę krzyżackich i siodło jedno piękne i delię szytą i odzieży co było potrzeba, czém sobie ujął serce Dienheima.

Rozstali się więc w Bydgoszczy jak najlepiej, a że Kuno dawszy słowo rycerskie powróci, o tém starosta wcale nie wątpił. O przewodnika nie było trudno, puścił się więc hrabia samotrzeć ku Toruniowi, dobrze konie podkuwszy, bo mrozy już ścisnąć zaczynały i gruda była ostra.

W drodze kilka razy to go polskie oddziały chwytaly, to krzyżackie; lecz się wykazywał papierem, że jeńcem był na słowie, a takiemu nic nie czyniono z jednéj, ni z drugiejj strony; chyba gdyby go Polacy z bronią byli w walce ujeli: w takim razie odsądzony od czci, dałby na placu głowę.

W Toruniu w istocie wróciło było już panowanie Zakonu, który wrąc zemstą bezsilną, sposobił się do odwetu. Wszysey, na których podejrzenie padało, że królowi nie tylko służyli, ale mu zbyt byli powolni, srogą teraz kaźń cierpieć musieli.

Plauen obrany Wielkim Mistrzem, z nadzwyczajną gorliwością krzątał się dla przywrócenia się utraconych Zakonowi; lecz straty były ogromne, kraj wycieńczony, ludzie rozpierzchli, zamki poogałacane, a owa wieża dukatów pełna, o której rozpowiadano między pospółstwem, musiała się opróżnić wielce. Wprawdzie ze sprzedaży ziemi w Czechach, wpłynęły summy znaczne, ale na zaciągi nowe ogromnych też było potrzeba.

Chmurnym rankiem dostał się Kuno do Torunia, nieustannie po drodze i w bramach pytany, wodzony i badany ktoby był i z czém jechał—obawiano się bowiem zdrady. Nie chciał wprost



zajeżdżać do kamienicy pani Noskowej, aby się odziać przystojniej i przyjść w lepszą porę, zbyt bowiem było rano. Zawróciwszy do gospody pod Konia, że naówczas nigdzie osobnych izb dla podróżnych nie było, musiał razem z innymi pójść do halli na dole, gdzie i gwar był i tłok znaczny. Jedni wstawali z posłania na ziemi, odziewali się drudzy, golił balwierz w pośrodku, przy wielkiem ognisku grzali się zziębli, a dziewczki zaczepiane przez wesołych nocleżan, gotowały i piekły co było potrzeba.

Gospoda była niemiła i niespokojna, ale innéj naówczas podróżny nie znalazł. Posłańcy, kursory, handlarze, woźnice, kilku zaciężnych żołnierzy: wszystko w kupie gwarzyło tu, łajało, krzyczało, a nie rzadko się kłóciło i do nożów porywało. Znalazł sobie przecie kątek Dienheim, gdzie mógł sakwy swe rozwiązać i odzież zrzucić. Służąca mu przyniosła kubek grzanego wina, którego zażądał, a spojrzawszy w oczy i wzięwszy się w bok, zapytała, czy nie do Noskowej przyjechał?

Kuno poznał w niej sługę, którą tam widywał, ale chcąc ją wypytać, słowa nie mógł dobyć: poszła do garnków ramionami ruszając.

Zostawiwszy więc konie i przystojnie się odziew-

szy, poszedł do kamienicy. Stały drzwi otworem, na górze téż gdy zapukał, wniść mu kazano. W znanéj izbie, znowu tak samo przybranéj jak była, siedziała Noskowa w krześle, ręce założwszy, a obok niéj młody jeszcze, zdrów i przystojny mężczyzna, z wąsem i brodą, pół-rycersko ubrany, tak, że poznać było trudno czy mieszczaninem był, czy żołnierzem. Postawa w jakiej siedział oznajmywała, że tu był jak w domu; pochyłony nieco ku wdowie, z nogą na nogę założoną, jedną ręką wąsa pokręcał, a drugą w bok się trzymał. Noskowa ku niemu słodkie oczy zwracała, gdy w progu Dienheim się ukazał. Zjawienie się jego widocznie ją zmieszało: poruszyła się nieco i ręce złożyła zdziwiona.

— Powracacie nam jakby z drugiego świata, grafie Dienheim — zawołała — świadczyli ludzie i wszyscyśmy już byli pewni, że pod Koronowem zabito was; znajdowali się nawet tacy, co ciało widzieli.

— A no, przecie żywy przed wami stoję — rzekł Dienheim.

— Podziękujcie Bogu, bo tam, słyszę, wojsko Jagielly nabiło wiele rycerstwa naszego.

— Byłem świadkiem tego rycerskiego dzieła — wzdychając i oglądając się dodał Dienheim.

W czasie téj krótkiej rozmowy, siedzący mężczyzna mierzył go oczyma. Wdowa wskazała nań ręką.

— Sprzykrzyło mi się wdowieństwo i sieroctwo—odezwała się—a oto widzicie męża mojego, pana Pawła Hentscha, rycerskiego człowieka, któremu już od kilku tygodni zaślubioną jestem.

Pan Paweł zlekka się skłonił. Hrabia Kuno nie mógł ukryć zdziwienia swojego, gdyż po tak długim wdowieństwie, nie sądził nigdy, aby Noskowa swą wolność na jarzmo małżeńskie zamienić miała. Znać się to i w jego twarzy odbić musiało, bo wdowa poczęła się żywo tłumaczyć, że już dłużej tak żyć nie było podobna.

— Cierpiało się, cierpiało—a no raz koniec trzeba było położyć temu. Z ludźmi sobie rady dać nie mogłam: było co cierpieć za grzechy. Teraz tak statecznego i zacnego obrawszy sobie małżonka, spocząć przynajmniej będę mogła.

Poczęła się tedy rozwodzić nad tém, jak się Wolff zestarzał, jaki się nieład wkradł i ile strat poniosła przez wojnę. Dienheim napróżno oczekiwał jakiej wzmianki o Ofce i na wszystkie strony szukając jój oglądał się. Dostrzegłszy to, poczęła coś na ucho szeptać mężowi pani Pawłowa,

a ten rad nie rad, wstał i zakręciwszy się po izbie wyszedł.

— Gdzież córka wasza?—zapytał niecierpliwie Dienheim.

— Siadaj i słuchaj—poczęła wdowa—to niewdzięczne dziecko.

I poczęła popłakiwać, więcej jednak dla przyzwoitości może, niż z wielkiego żalu.

— Trafił mi się ten człowiek stateczny—mówiła dalej—ale jak tylko okazał mi miłość swoją i zamiary, Ofka zakrzyknęła, że ojczyma nie ścierpi. Zaklęła się na wszystko święte. Bunt mi podniosła w domu. Stary Wolff wziął jój stronę. Szczęściem, że to mężczyzna stateczny, bardzo stateczny i ma swoją wolę i nie dał mnie sieroty pokrzywdzić przez własne dziecko. Poszłam więc do ślubu, choć się rozbijała; ale nazajutrz...

Tu głosu zabrakło pani Pawłowój.

— Nazajutrz, gdy się Paweł wniósł do kamienicy, Ofki już nie było.

— A cóż się stało? gdzie jest? — zawołał Dienheim.

Wdowa poczęła suknię na sobie poprawiać i oczy wywracać.

— Co ja łez wylałam, co łez wylałam—mówiła.

Dienheim słuchał chciwie, wdowa zdawała się zwłóczyć umyślnie.

— Wiecie, panie grafie, że my wszystkie tu pół-siostrami jesteśmy, ale nie zakonnice: Ofcę się w głowie przewróciło. Uciekłszy z domu, dała się w Elblągu postrzyżdz i oblec i została Siostrą szpitalną.

— A mój pierścień? słowo? przyrzeczenie?

— Ona sobie z was, jak z drugich, żarty stroiła—dodała Pawłowa—ona was nigdy nie kochała, a uchowaj Boże, byście ją poprowadzili do ołtarza, nie byłoby szczęścia w waszym domu.

Kuno stał osłupiały.

— Usiądź-no, panie grafie i uspokój się: ja wcale temu nie jestem winną—mówiła Pawłowa. Dziecko było zawsze krnąbrne i samowolne. Omałomy życiem nie zapłaciły za pierwszego starostę i za tego Czecha, któregoście tu wy przyprowadzili, bo i ten później w Brześciu zmarł, a na nas rzucili podejrzenie trucizny.

Zmieszala się mówiąc to, spuściła oczy i zniżyła głos.

— Kto to może wiedzieć co ta szalona czyniła; ja życia mojego Pawelka kochanego nie byłabym pewną, gdyby ona z nami w domu mieszkała, bo się z tém nie tajiła, że go nienawidziła.

Zamilkła gospodyni, milczał i Dienheim, ale burzył się.

— Przecie słowo coś znaczy, gdy raz dane było, a jam od niego nie uwolnił: pierścień na palcu mam! Jeździłem gdzie mi kazała, czyniłem co poleciła, wróciłem wedle jój woli i dla niój. To nie może być!

— Ale ona śluby uczyniła—przerwała Pawłowa—cóż wy, z Bogiem o nią staniecie do walki i z Zakonem. Ona habit wdziała, ona przysięgła. Dienheim się rzucił.

— Więc ani wspomniała o mnie?—zapytał gniewnie—więc sztydziła sobie ze mnie.

— Gdym jój mówiła o was, śmiała się tylko i ruszała ramionami i nazywała was, wiecie jak? wiecie co o was mówiła? To mój knecht, a królowe za knechtów za mąż nie wychodzą.

Krew uderzyła do twarzy Dienheimowi, wstał miarkując się, ażeby nie wybuchnąć, ściał usta silnie—z pod powiek przymrużonych, białka mu świeciły.

— Gdzież jest córka wasza?—spytał.

Pani Pawłowa zdawała się namyślać i wahać.

— Ja nie wiem dobrze: przy szpitalu w Elblągu, albo w Malborgu może, lub gdzie już ją na wieś wysłali.

Skłonił się hrabia Kuno.

— Szczęścia wam życzę w małżeństwie nowém i bywaj mi pani zdrową—rzekł.

Chciała się zegnać czulój gospodyni, ale na twarzy tak srodze zawiedzionego gniew spostrzegłszy, zatrzymała się.

Dienheim drzwi za sobą zatrzasnął i poszedł nazad do gospody.

Tu wprost do stajni się udał i konie siodłać kazał. Do siodła przywiązany miecz opatrzył i popróbowował go, ludzi zaczął pędzić, ażeby rychlój się do drogi gotowali i z miasta zaraz wyjechał.

Chociaż pani Pawłowa rozgniewaną była na córkę, zostało jój przywiązanie do dziecięcia.

Wychodzący z gniewem widocznym Dienheim przestraszył ją. Posłała więc natychmiast po Pawelka, który w dolnej izbie już przy korzeniach zaprawném winie siedział. A że mu się nie chciało go porzucać, bo grzane było i smakowało, wziął z sobą kubek na górę.

W progu przyjęła go jójmość, załamując ręce.

— Nic dobrego nie wróżę—odezwała się—po tym człowieku. To mruk! napozór łagodny, ale milczący i mściwy. Gotów nie wiem co uczynić, bo się szalenie kochał w tój głupiej dziewce. Trzeba go śledzić, co on myśli i co pocznie.

— A cóż on począć może?—rozśmiał się Paweł, sącząc wino. Ma ona tam opiekę lepszą niż w domu, i krzywdy jój uczynić nie dadzą. Niema się czego lękać. Na zakonnicę się nie porwie, boby szyją to, albo więzieniem wiekuistém opłacił.

Jójmość patrzyła, słuchała i uspokoiła się nieco, w końcu jednak zaczęła męża prosić, po twarży go głaszcząc, ażeby starał się wywieźć, a choćby za Dienheimem posłać.

Urodziwy młody mąż nie bardzo rad był ruszać z domu i wygodny odpoczynek mieniać na podróż bez celu. Opierał się długo, lecz zobaczywszy łzy, poszedł.

Dienheima już w mieście nie było. Musiał więc konia siodłać i na zwiady wyruszyć. Dopiero drugiego dnia od ludzi się dowiadując i przepytując, doszedł Hentsch, iż ścigany do Elbląga pojechał. Trzeba więc się było za nim wybierać, za co przynajmniej nie żałując go, wyklinał Paweł. W Elblągu okazało się, iż ani Ofki, ani jego nie było.

Nowo obleczona Siostra wybrała się z rozkazu komtura dla pilnowania rannych w odzyskanym Morągu. Jechać za nią i za Dienheimem nie miał ochoty wysłany.



Wolał towarzyszków dobrych znalazłszy, zasiąść z nimi za stół i do kości. Miał taką naturę Hentsch, iż raz rozpoczynszy hulankę, nie rychło poprzestał; zbiegł więc tydzień cały na zabawie w gospodzie, gdy jednego dnia przyniesiono do niej wiadomość, że w Morągu stał się wypadek dziwny. Nieznajomy jakiś rycerz wkradł się pod szpital nocą i gwałtem porwał Siostrę zakonną, którą uwiózł z sobą. Nie prędko się spostrzeżono i uganiańo się za gwałtownikiem dni kilka, ale dognać go nie było podobna. Jednak znać czując pogoń, rzucił po drodze zakonnicę, którą osłabłą i w gorączce przywieziono na wozie do szpitala. Sprawy tego napadu pochwycić nie było podobna.

Wiadomość ta zdała się niedorzeczną Hentschowi, lecz sprawdzić ją chcąc, musiał towarzyszków porzuciwszy, na koń siąść i przerzynać się na miejsce.

Już po drodze potwierdziło się z różnych ust opowiadanie, tak że o niém wątpić nie było podobna. Dobiwszy się do miasteczka, dowiedział się na pewno pan Paweł, iż zakonnica porwana została, że jęj przez dni kilka nie było, że pogoń odzyskała ją chorą i zbłąkaną w lesie, gdy się jęj uciec udało; że potém chora jeszcze leżała

w szpitalu; lecz teraz już była zdrową i około rannych chodziła jak przedtém.

Chociaż Hentsch wiedział, że go Ofka znieść nie mogła, poszedł jednak próbując, czy mu się nie uda zasięgnąć lepszej wiadomości, z którąby powrócił do matki.

Nie łatwo mu przyszło do szpitala się wprosić, a trudniej jeszcze mówić z Siostrą Magdaleną, gdyż to imię w zakonie przybrała Ofka. Do celi jój przy szpitalu wszedłszy, gdy go poznała, myślał, iż go natychmiast wypędzi.

Zmienioną ją znalazł, ale nie lepszą jak była.

— Czego wy chcecie odemnie?—zawołała.

— Przychodzę od matki.

— Ja nie mam matki—odparła Ofka.

— Nie ze złém przecież do was idę, ale żebym jój przyniósł wiadomość.

— Jaką wiadomość?—podchwyciła—że mnie zbójca pochwycił, aby mi wstyd uczynił, żem mu się potrafiła wyrwać, powrócić? cóż więcj? niemam wam powiedzieć nic.

I odwróciła się od niego.

Hentsch znalazł ją mizerną, zbladłą i gniewliwszą niż bywała; wielka jój piękność znikła prawie: zostały tylko ślady jakby ogniem jakimś

wypalonego oblicza, rysów szlachetnych, z oczyma dzikimi.

Napróżno starał się ją ułagodzić i uprosić jeszcze słów kilka; w końcu groźbą wyprawiła go precz ze szpitala. W miasteczku i między rycerstwem krzyżackim mówił się o tém wzdragano. Komtur zakazał ust otwierać. Siostra Magdalena miała nad sobą opiekę wielką i obawiano się jój powszechnie.

Czyniła co chciała w szpitalu i rozporządzała starszyzną zakonną. Ostra dla podwładnych, przykra dla chorych, obchodziła się ze wszystkimi jakby mszcząc się za to, że jój na świecie źle było. Zapewne z rozkazu jój, komtur kazał zaraz wyjeżdżać Hentschowi precz, zagrażając, aby się tu więcej nie śmiał pokazywać.

Musiał więc Paweł powrócić do Torunia i uspokoić żonę, połowę tylko prawdy jój powiedziawszy. Wkrótce téż ucichło o tym wypadku, bo o nim mówić zakazano. Paweł miodowe miesiące spędziwszy z żoną, wcale niespodzianie zaciągnął się znowu pod chorągiew, mimo jój oporu, i znudziwszy się znać w domu, życie dawne rozpoczął z zaciążnemi z całego świata, zbieranymi na Zakonu obronę.

\* \* \*

Gdyby z mogił swych i grobów kamiennych powstałi dawni kraju każdego mieszkańcy, a przyszli szukać starych siedzib, w których spędzili życie: błędziliby po swojej ziemi jak po obcej, nie mogąc odszukać ani dworów gdzie stały, ani lasów gdzie rosły, ani rzek, gdzie płynęły.

W miejscu starych puszczy, wydarte zielenieją pola; gdzie były wioski, rosną teraz lasy; rzeki suche opuściły łożyska; mogiły rozorały pługi; kości w pył się obróciły.

Cmentarze złotą kołyszą się pszenicą; na łąki muł i piasek naniosły rzeki; stawiska wsiami zabudowano; potoki w głąb ziemi pouciekały. Mieni się tak wszystko, pada i rośnie. Ziemia chłonie ruiny i pożera mury.

W owych czasach, których sięga opowiadanie nasze, kraj zupełnie inną miał postać. Większą jego część stare, jeszcze nie trzebione zalegały bory i puszcze, łączące się z sobą i stanowiące nieprzebyte kryjówki dla zwierza i ludzi, a niewyczerpaną skarbnicę.

Z nich wówczas szły dochody szlacheica, z nich w większej części żył włościanin; była to komora i spiżarnia, w której ludzie i wily gospodarowali. Wydzierano półka powoli, karczowano już lasy,

ale znaczniesze obszary zajmowały zarośla i puszcze.

Gdzieniegdzie nad brzegiem rzeki, u strumienia, nad stawem, lub jeziorem wznosił się dwór oczęstokolony, a przy nim wioseczka niewielka. Dalej rozsypane były jak Bóg dał po uroczysskach dworki i chaty, i budy, i szałas, i ziemiaki, jak nasiona przysłych sadyb po lasach, z których wsie później i osady rosnać miały.

Na wielkich przestrzeniach ludności szczupłej było przestronno. Tam gdzie już pól wydartych świeciło więcej, na kopcu sypanym, lub na brzegu podniosłym widać było gródek książęcy, lub możniejszego szlachcica zameczek. Każdy z nich, od niespodzianej napaści opasywały błota i wody, wały, częstokoły, lub mury. U podzameca cisnęły się chaty dworskiej służby, czeladzi i rolników. Tych ostatnich prawie najmniej było jeszcze. Las dostarczał czego do życia było potrzeba—oprócz chleba. Zwierzyna stanowiła pokarm, pszczoły dawały miód i wosk, krupę gotową zbierała z rosą na błotach niewiasta, gdy manny dojrzały.

Na wydartém pólku, po spalonych gałęziach bujno téż zboże rodziło, choć go nie wiele siano; ladajaka socha, radło i brona, często zastępowana

gałęźmi, starczyła do uprawy. Około chaty i dworu mały ogródek karmił warzywem i owocem. W odległych zakątkach kraju lud jeszcze nawpół był dziki.

Ci co już chodzili modlić się do kościołów, pokryjomu jeszcze w lasach pod dębami stare obchodzili święta i bili ofiary na rozdrożach, a kościół nie mogąc wykorzenić pamiątek stariej wiary, nowe do nich przywiązywał znaczenie. Drogi po kraju stanowiły rzeki, i wyjeżdżone, a wydeptane ścieżyny, które deszcz wymywał.

Im dalej od miast i ognisk życia, do których nowy, obcy osadnik przybywał, gdzie się zbieg chronił, tém ciszej było i puściiej.

Dwa i trzy dni drogi po niektórych okolicach zrobić było można, nie spotkawszy ani żadnej wsi, ani chaty. Obozowano po lasach, nocowano przy ogniskach, węgle i doły znaczyły dla przyszłych podróżnych miejsca spoczynku, w których bliskości wodę znaleźć było można i leśne dla koni wypasy.

Inaczéj téż wyglądały naówczas dwór i osady szlacheckie, niżeli w późniejszych wiekach. Brochocice pana Andrzeja, w których żonę i dziatki zostawił, leżały także wśród wielkich lasów, obejmujących je dokoła.

Coś pół wydartych przy dworze i wiosce, złożonej z dworskich ludzi służebnych, okrężało budynki.

Wieś i dwór stanowiły jedno i życiem jednym tętniały, które ze dworu od pana płynęło. Stara osada możnego człowieka, któraby się dziś wydała nam bardzo niepozorną, na owe czasy pańską się zwać mogła.

Na wzgórzu zbudowany był ów dworzec, na kamienném podmurowaniu, cały z kłoców dębowych olbrzymich, o dwóch gankach ze słupami rzeźbionemi, z wysokim dachem, kominami grubemi i dwiema chorągiewkami herbownemi. Po stronach ciągnęły się podsienia, na misternych też słupkach oparte. Z głównych drzwi sień obszerna przerzynała dwór na przestrzał. W niej wielki komin dwudziestu ludzi mógł objąć pod gzęmsami i ogrzać zimą, gdy służba gościnna na panów swoich tu oczekiwała.

W prawo były izby dla czeladzi, śpizarnie i schowanka, a alkierze i fraucymer jójmości; w lewo komnata dla przyjęcia gości i druga ze stołami do jedzenia i mieszkania państwa, i izba pana i bokówki dla dzieci.

Izby na górze pod dachem mieściły część izb dworskich.

Tuż stał folwark, gdzie mieszkał wódarz i podstarości, z drugiej strony stajnie obszerne, które pańskiego wymagały oka. W rogu piętrzył się lamus murowany jak baszta, któremu naprzeciw odpowiadała z krzyżykiem kaplica.

Wszystko to okalał podwórzec obszerny, w środku którego był słup do przywiązywania koni, gdzie też harcowano, biegano rzucając dziryty i sprawiano sobie pod dobry humor małe rycerskie turnieje.

Wysokie parkany i tyny otaczały dziedzińce, budynki i ogrody, bo i od zwierza zimą i od ludzi po wszystkim czas trzeba się było mieć na ostrożności, a nocą chodzili stróże z grzechotkami, aby nigdy czujność nie ustawała.

Z wielką prostotą urządzone było wnętrze domu w Brochocicach, ale z pod niej widać było starą pańską zamożność. Na prostej z tarcie podłodze, leżały kobierce wschodnie; na kominach gliną lepionych stały puhary, i konwie srebrne, i naczynia złote. Mało kto miał piec kaflowy, bo drogocenne kafle trzeba było na kopy z Niemiec sprowadzać. Większą część izb ogrzewały ceglane i gliniane ogromne piece, do których z sieni rzucano kłody całe, co się dzień i noc paliły, a stróż ich drzemiąc, pilnował. Mieszkał on tu,



spał, siedział i jadł z garnka, dopóki go drugi nie zluzował.

Wieś miała rzemieślników własnych i obchodziła się nimi. Byli tacy nawet, co na raz dwa rzemiosła sprawowali i celowali w obu.

Po długiej i niepewnej jesieni, która się z wilgocią przeciągnęła do Grudnia, gdy wszyscy już na tę przepadzistą zimę utyskiwali, bo mrozu wszystkim potrzeba było, a lękano się powszechnie, żeby spóźniona nie odbierała swęj należności na wiosnę — w wigilią wigilii Bożego Narodzenia, niebo się wyjaśniło i silny mróz pochwycił.

Z radością powitano bładę lazur, słońca trochę i drogi rozkisiłe stężały, a kałuże szklaną pokryły się powłoką. Zbierało się na ponowę, bo mimo mrozu, czuć było śnieg w powietrzu, i lasy czarno z daleka wyglądały, co było znakiem, jeśli nie deszczu, to śniegu.

Starościna Brochocka z dwiema dorastającemi córkami, siedziała w swojej izbie przepatrując bieliznę stołową, którą z ogromnych skrzyń dobywano, przejętą ziół wonnych zapachami. Pani Hanna była jeszcze w sile wieku, twarzy miękęj, tuszy wspaniałej, a domowy niewykuintny strój bardzo jęj był do twarzy. Obyczajem owego czasu miała na głowie czepiec biały jak śnieg, zawinięty tak,

iż całą jej twarz świeżą i różową okalał i końcami szerokiemi spadał na ramiona. Ciemna suknia obramowana szkarłatną wstęgą, w szerokich fałdach, układała się na kształtniej jej postaci. Dzień to był powszedni, i starościna żadnych, oprócz grubego, ślubnego pierścienia nie miała klejnotów. Dwie jej córeczki, które się prawie jednolatkami wydawały, choć jedna od drugiej o rok przeszło starszą była, Hela i Ofka, ubrane jednakowo, stały skromnie przy pani matce, podając jej i odbierając od niej bieliznę świeżą.

Obie miały główki jasnowłose, nie pokryte niczem, a splecione kosy obfite, zwieszały się ze wstążkami w nie wmieszanemi, na białe dziewczątek ramiona. Sukienki ich były ciaśniejsze, rękawy ich długie, część palców nawet okrywały.

Oprócz dwóch córek, dwóch synów jeszcze miał Starosta, ale ci już z bakałarzem do Krakowa byli wysłani. Nie spodziewano się ich nawet na święta tego roku, bo i drogi złe i nauka, w podróż się wybrać nie dozwalały.

Wzdychała za nimi jejmość sama, tęsknił ojciec, ale człowiek był surowy i powinność zawsze nad pociechę przekładał. Pocieszano się tem, że oboje mieli, gdyby sanna stanęła, pojechać zobaczyć, jak też tam to rosło i wyglądało.

Powróciwszy z wyprawy, w której pod koniec wiele doznał przykrości, bo mu ludzie zazdrośni w poprzek drogi stawali, Brochocki szukał oczyma dzieci w progu i musiał się temi cieszyć, które zastał.

Serdeczne to było powitanie, choć nie bez łez na oczach jękności, a córki ojcu do kolan przypadły. Brał je w silne ręce wojak, podnosił do góry i w białe czoła całował.

Dziwił się i cieszył, bo mu przez tych kilka miesięcy dziewczęta porosły.

Wnet, choć je konno wyprzedził niespokojny, zaczęły nadciągać w dziedzińce: dwór, wozy, konie i ludzie. A było tego daleko więcej niż z domu wyszło. Koni pędzono niemal całe stado, a były między nimi i godne siodła i woźniki doskonałe.

Wozy pookrywane skórami mieściły w sobie wojenne łupy z wyprawy, wcale nie małe: gotowy grosz znaleziony na zamkach krzyżackich, naczynia srebrne, klejnoty i przepyszne zbroje, a co najwyżej ceniono, relikwiarze z kośćmi świętych, krzyże i sprzęty kościelne. Tych Krzyżacy mieli po zamkach podostatkiem; niepotrzebowano z nich kaplic odzierać, bo wszędzie jak w Morągu tak i w Sztumie, dostarczyły skarbee i zakrystye.

Jagiello wiele niemi w Polsce obdarował kościołów, na pamiątkę zwycięstwa swojego.

Wnet się czeladź zajęła znoszeniem tych zdobyczy do lamusa i do dworu, a gawiedzi nabiegło mnóstwo, przypatrującęj się ze zdumieniem bogactwu pańskiemu. Sam Brochocki rozporządził co miało iść na skład, do zbrojowni, do skarbcza, co do dworu, do sypialni i do skrzyń jejmościnych, lub na podarki i ofiary. Dostała się dziesięcina parafialnemu kościołowi i niejednemu z krewniaków i sąsiadów. Cały wóz poszedł do Rostkowa do p. Jakóba Kostki, rodzica jejmości, który zwłaszcza jedną zbroją szmelcowaną nacieszyć się nie mógł.

Dziewczętom téż coś poprzybywało do przyszłej wyprawy; dostała każda po łańcuchu pancierzowym, po dwa pierścienie i po sztuce jedwabnicy. Jejmość się już kłopotala, że chyba nową skrzynię trzeba było na to sprowadzić co dla niej przyszło; kochali się Krzyżacy w wymyślnych porządkach i obfitych zapasach, więc gdzie przyszli, zwycięzcy mieli co zabiérać.

Teraz już siedział pan Andrzej w swojej izbie u komina, piwo z grzankami stało przed nim, a opowiadaniom nie było końca.

Słuchały ich z upodobaniem niewiasty, słuchał stary Mszczuj ze Szczawina, krewny pana Andrzeja, który w jego domu dożywał spokojnie lat sobie wyznaczonych, wioskę swoją oddawszy Brochockim. A gdy się Starosta głośno rozgadał, a wszyscy zasłuchali, służba też podkradała się pode drzwi, żeby coś pochwycić.

Na folwarku tak samo i po dworkach: ci co na wyprawie panu towarzyszyli, mieli co opowiadać o wojnie, a widzieli i oni wiele takich rzeczy, których oprócz nich mało kto mógł dojrzeć. W czasie bitwy Grunwaldskiej, gdy rycerstwo się potykało, służba w obłokach kurzawy i dymu widziała postać Świętego Biskupa nad polskimi unoszącą się zastępy; widziała też owéj nocy co poprzedziła walkę, postacie Mnicha i Króla na księżycu; ich oczom najjaśniej błyszczała Panna Marya na złotej ścianie Malborskiej kaplicy, która broniła zamku, boby go żadna ludzka siła nie osłoniła, gdyby nie ten wizerunek święty, co gniazdo grzeszników jak tarczą okrywał, aby im dać czas do poprawy.

Mszczuj ze Szczawina, którego Brochocki dziadusiem zwał, człowiekiem był w wieku już bardzo podeszłym, ale po budowie jego poznać było można, że i on niegdyś tak dzielny jak pan Andrzej

musiał być żołnierzem. Teraz mu się nieco przygarbiły plecy i zgięły w kabłąk ramiona, ale wychudłe kości olbrzymich były rozmiarów. Twarz też długa z wąsami rozrosłymi, z krzaczystymi brwiami, z obnażoną czaszką, na której szable popisały blizny chwalebne, wrażała poszanowanie i grozę.

Mszczuj chadzał teraz z toporkiem, włókł się powoli; lecz gdy czeladź zdaleka jego stukanie posłyszała, chowała się po kątach, zwłaszcza jeśli grubym tubalnym odezwał się głosem. Miał zwyczaj bowiem wymyślać i służbę zwał plugawstwem, choć w sercu był dobry i więcej nałajał, niż karał.

Czasu niebytności Starosty, on miał jakby urząd Wojskiego w dobrach pana Andrzeja, i, choć stary, nie zasypiał, doglądając wszystkiego, a ludzi w tak surowej trzymał ryzie, że go się jak ognia obawiali. Głodu w domu, ani na wsi nie dopuścił, ale robota musiała iść żwawo; o drugich kurach wstawał i nocą stróży dopatrywał.

Małe szyby w ołów opravne, pozamarzały tego dnia we wszystkich oknach, skrząc się gdy na nie światło padało i błyszcząc jak drogim kamieniem sadzone. W kominie płonęły kłody olchowe. Mszczuj ze Starostą siedzieli naprzeciw

siebie, popijając piwo: wczesny wieczór zimowy nadechodził.

Zamknęła więc i Starościna skrzynie, zabrała córki i poszła do izby męża, w której zwykle na podanie wczesnej wieczerzy oczekiwała.

Brochocki miał na sobie żupanik i krótki koruszek, Mszczuj dostatnią i długą suknię podbitą popielicami, a na głowie czapczkę jedwabną, bo za lada chłodem blizny mu dolegały.

Gwarzyli pocichu, gdy Starościna weszła.

Krzesło dla niej naprzeciw komina stało przygotowane: siadła na niem, dziewczęta się umieściły z obu stron, przy wysokięj poręczy.

— Ha! no—rzekł pan Andrzej—chyba albo gdzie zginął, albo słowo złamał, a musi mi się przed Nowym Rokiem mój jeniec stawić, żeby albo wykup dać, lub na moją łaskę czekać.

— Eh! eh!—jęknął Mszczuj—szukaj wiatru w polu, gdyś Niemca na słowo puścił.

— I ja tak myślę—dodała jejmość. Krzyżacy go gdzieś obalamucą, albo i siłą wstrzymają. Nam téż tam nic po nim; chłopak pono ubogi, tyle tylko, że zbroję miał piękną, ale w mieszkun pustki.

— Prawda, moja panno, prawda—mówił Starosta—ubogie to było, ale rodu dobrego i w her-

bie ma nasze godło. Butny zrazu był, potem się uchodził: natura znać pocziwa, krew zdrowa, tylko w głowie jeszcze pstro. Mnie ta jego tarcza najwięcej ciągnęła. Nie darmo nasze godła nosi, coś to z dawnych czasów nas łączy. A przyznam się—dodał—żał mi się go też zrobiło, gdy swoje historią z bratem i bratową opowiedział. Pokrzywdzili chudzinę. Puszczę go bez wykupu, ale mi się więcej chce: pomógłbym mu do ojcowizny... toby się przytém trochę Niemców natłukło, a to miła sprawa. Z chłopca też, gdyby go na nasze kopyto przerobić, mogłoby coś być.

— Ale, ale—przerwał Mszczuj—łatani ludzie jak buty łatane: zawsze potem przemakają, nie wiele to warto. Z Niemca tylko skóra na bęben dobra, więcej nic.

Staroscina się rozśmiała.

— Gdzież to dziadus widział bęben taki?

— Nie widziałem go, alem słyszał rozpowiadaną gadkę, że sobie jeden wódz znaczny kazał, nieprzyjaciela pokonawszy, skórę jego wyprawić—dodał Mszczuj.

— Jeżeli nie wróci—rzekł Brochocki—a zawiodłem się na jego słowie, niechże mi się w życiu drugi raz nie nawija, bo go ściąć każę jak niepocziwca.



— Może i nie żyje—odezwała się Starościna.

— I to być może—kończył Starosta—chociaż zginałoby nie powinien. Podobało mi się to w nim, że sobie rady umiał dawać w najgorszych razach; a no go może dziewczka tak trzyma, którą zaswatał, co już najniebezpieczniejsza rzecz.

I tu się śmiać począł, ku jójmości spoglądając. Ona téż spojrziała na męża. Chciał coś mówić dalej, ale nagle zamilkł, widząc, że dziewczęta stały, przy których o owój Ofce mówić nie chciał, aby ich tą powieścią nie gorszyć.

Jójmość była ciekawą; domyśliła się łatwo powodów nagłego milczenia i zwróciwszy się do córek, posłała je do kobiet, aby motki liczyły, póki wiecerzy nie podadzą. Dopiero gdy wyszły dziewczęta, Brochocki znowu w śmiech i opowiedział po raz pierwszy, jak dziewczynę do pocztu swego przyjąć musiał i co się z tą szaloną później stało.

Starościna słuchała z brwią namarszczoną, widocznie zgorazona bardzo. Stary Mszczuj węża kręcił, a prychał wytrzymać nie mogąc.

Bywało i w Polsce z niewiastami różnie, boć pamiętano Russanowską, co konno z ludźmi po gościńcach rozbijała; nie było żadną osobliwością, podówczas widzieć kobietę w butach, na koniu

i przy orężu, ale młode dziewczę przebrane w obozie nieprzyjacielskim, wciskające się zuchwale, zjawiające i znikające, narażające życie, niedbające o cześć swoją, rzadko kto mógł spotkać w zamonym stanie. Niewiasty co się za obozami ciągnęły, zwano fraucymerem Ś-go Marka.

Mszczujowi szczególniej powieść się wydawała dziwną; patrzył na Brochockiego jak w tęczę i z podziwu się żegnał.

— Zajadłe wojny tylko lęgną takie potwory— rzekł—niech tam sobie będzie jak chce, ale żeby chłopak szlacheckiego rodu, o taką drapieżną istotę dobrowolnie się dobijał i na zgubę oczywistą szedł, to osobliwa rzecz. Takie szalenice nie na żony stworzone.

Mówili o tém długo, pani Brochocka najmniej, potrząsała głową i za pleć własną wstyd jój znać było. Nareszcie do wieczerzy znać dano, skromnej bardzo, z krupniku i kaszy złożonej, bo i na pańskich stołach naówczas, w powszednich dniach rzadko co innego dawano, a na króla Jagiełły dworze za przysmak służyły kiszzone ogórki i kapusta. Potém jójmość poszła pilnować placków na wigilię przeznaczonych, które po dziś dzień zachowały kształt swój, przypominający dziecię

zawinięte w pieluszki, dla uczczenia dnia Narodzin Zbawiciela.

Naówczas też także w tej postaci kołacz na gody stawiano; na każdym stole piekły go wszystkie gospodynie.

Brochocki od okna do okna chodził, wyglądając ponowy, aby nazajutrz jeszcze łowów spróbować, a nużby dzika się udało dostać na święta, ale śniegu jeszcze widać nie było.

Wigilię godów, wszyscy aż do gwiazd surowym obchodzili postem, nie do ust nie biorąc. Byli tacy, co i wody kropli tknąć nie śmieli, póki się na niebie gwiazda nie ukazała.

Mróz tego dnia powiększył się jeszcze, ponowa nie przyszła, tylko szron drzewa brylantami okrył; pan Andrzej u komina siedział, gdy około południa chłopak mu znać dał, że Niemiec jakiś przybył i do jegomości się prosi.

W sieniach stał zziębły Dienheim, a chuda szkapa jego przywiązana do pala w dziedzińcu ze łbem zwieszonym, z sakwami przy siodle, bokami robiła. Jeden rzut oka starczył na przekonanie się, że nadziei okupu z sobą nie przywiózł, ale się stawił w słowie.

— Otóż o wilku mowa, a wilk z za płota!—

zawołał śmiejąc się zoczywszy go Starosta i rękę doń wyciągnął.

— No, słowny WMość jesteś, to pięknie, a cóż, czy go kosmato mam witać?

Nie zrozumiał Kuno, chociaż się domyślał, że go o powodzenie konkurów pytano.

— Cóż się z waszą dziewczką stało?—dodał Brochocki, patrząc mu w oczy.

Chłopak głowę spuścił, westchnął i nie odpowiedział nic. Nie było co więcej pytać.

— Dziękuj Panu Bogu—rzekł Brochocki— tymczasem nim co będzie, izbę ci każę ciepłą dać, spocznij sobie, rozmówimy się co dalej poczniemy.

Niespodziany ten gość przybyły na samą wigilię Bożego Narodzenia, we wszystkich wielką obudzał ciekawość, począwszy od czeladzi, aż do gospodyni i jój córek. Gdy się potém zjawił wieczorem dość ubogo przyodziany w izbie, w której już wszyscy byli zgromadzeni, ubrani jak na gody przystało, niemal litość obudził, nawet w tych, co się każdym Niemcem brzydźili. Wyglądał biednie a pokornie.

Nad wyraz smutnym się wydał wszystkim, a jako jeniec trzymał się na uboczu, i z językiem téż mało będąc oswojonym, więcćj oczyma niż

usty mógł rozmawiać. Bawił go tylko jeden Starosta, który tyle umiał po niemiecku, co tamten po polsku; lecz z językiem obchodził się po żołniersku, nie czyniąc zbyteńnego zachodu. Mówił jak umiał, źle ale śmiało.

Znać obyczaj niemiecki inaczej dzień ten święcić musiał, gdyż jeniec i sianu na stole, i snopowi w kącie i potrawom osobliwym dnia tego pilno się przypatrywał, a zabawy wiejskie wieczorowi temu towarzyszące, kolendy, śpiewy, ludzie za zwierzęta poprzebiérani, obsypywanie ziarnem, gwiazda, z którą klecha z organistą przywędrował—wszystko to w wielkie go zdumienie wprawiało.

Gdy późno jeszcze siedziano zabawiając się z kuflami, u próżnego sianem zasłanego stołu, Dienheim, któremu było obco i przykro, znikł, wyniósłszy się do izby swojej.

Wszczęły się więc rozmowy o nim i o jego losie. Starosta tyle tylko wiedział o tém, iż dziewczyny nie dostał, bo już była krzyżacką mniszką.

— To i lepiej—rzekł Mszczuj—jój to do miary przystało, raczej niż żoną być i u kądzieli siedzieć.

— A z jeńcem—dodał Brochocki—nie widzę innój rady, tylko mu się dać odpaść, aby gdzie

po drodze nie zdechł i w świat go puścić, niech sobie szczęścia szuka. Miasto okupu przyjdzie do niego dołożyć, ale to uczynię z serca, bo mi sieroty żal, choć Niemczysko.

Mszczuj potwierdził.

— Tak się należy; wziąć z niego słowo tylko, że przeciwko nam bić się nie będzie, kilka groszy mu dać i niech sobie idzie.

— I ja nieinaczéj myślę—mówił starosta— ale że to zawsze nasz herbowny i chrześcijański człek, trzeba mu dać się odkarmić, wysapać i trochę biédy zapomnieć. Potém o wyprawie i odprawie pomyślimy.

Nazajutrz Kuno się nie pokazywał, aż go do stołu zawezwano, siadł w końcu, choć dla grafowstwa wyżej go sadzić chciano. Nie mówił nic, a jadł niewiele. Posępna jego postać, wejrzenie ponure, cierpienie widoczne, obudzały litość.

Chłopak był przytem bardzo urodziwy, a coś szlachetnego miał w sobie. Mimo przymusowej pokory, rycerską godność znać na nim było.

Aż do Nowego Roku trzymał go tak Brochoc-ki w niepewności, nie nie mówiąc, on téż o swój los pytać nie śmiał, a nieźle mu się działo. Nawet, jak to młodym właściwa, prędko na twarzy poprawiać się zaczął.

Z rana, na sam Nowy rok, kazał piękniejszą zbroję, którą był zdobył na Dienheimie, tarczę i cały rynsztunek z pod Grunwaldu, do tego dołożywszy co brakło na wyprawę, zanieść do izby, w której stał Kuno, sam przed pachołkiem poszedłszy.

Zastał jeńca swojego na kładce, przed kominem siedzącego, łokcie na kolanach, głowa w dłoniach... Miał na sobie ino łośiowy kaftan, przesywany, stary, od zbroi poczerniały i powycierany, który mu służył za przyodziewek, czechczery ładajakie skórzane téż, a na nogach buty podarte.

Mimo téj nędzy, postawę miał żołnierską, a bujny włos rozrzucony na ramionach, pięknym go czynił.

Gdy za panem Brochockim ów rynsztunek wnosić poczęto, zdumiał się i zerwał ze swego siedzenia Kuno, oczyma poźerając starą pamiątkową straconą własność. Chłopak to wszystko poukładawszy, wyszedł.

— Jest u nas obyczaj—odezwał się Brochocki—że się ludzie na Nowe Lato obdarzają czém kto może. Ja téż w imię Chrystusa, którego dzień dziś obchodzimy, przynoszę ci najprzód swobodę, a potém na co mnie stało, a co ci miłém

być może. Jednego tylko po was żądam, abyście kamieniem nie ciskali na tych, co radzi chlebem rzucają, i żebyście przeciw nam nie podnosili zwróconego oręża.

Zrazu Kuno nie dobrze to zrozumiał, potem się zarumienił z radości, i poszedł nie wstydząc się, za kolana ścisnąć pana Starostę, jak ojca. Trochę mu się w oczach jaśniej zrobiło.

— Nie mogę inaczej rzec, po ojcowsku postąpiliście ze mną — odezwał się rozczulony — radzcież mi teraz gdzie mam iść i co z sobą poczynąć? Nad Ren do Dienheimu nie mam po co, do Krzyżaków mi nie wolno: gdzież służby szukać?

— Dopóki król Zygmunt nie walczy z nami, u niego wam najłatwiej znaleźć służbę — rzekł pan Andrzej. Mielibyście ją i u nas, ale my nie dziś to jutro naprzeciw tych łotrów Krzyżaków pójść znowu będziemy musieli, a to wam nie przystało, tak samo, jak się z nami bić. Pierwsza rzecz, spoczniście u mnie teraz jak gość, gdyście jeńcem być przestali. Herbownym mi WMOść jesteś, więc w domu jak u powinowatego, wywczasuj się swobodnie. Z wyprawy, dziękować Bogu, nie wróciliśmy z gołemi rękami: jest ci co dać na drogę; dalej już sami sobie radzcie, bo najlepszy człowieka przyjaciel, to on sam.



Położył Starosta spory mieczek na stole w dodatku do rynsztunku i nie chcąc by mu dziękowano, wyszedł.

Zjawił się ku obiadowi Kuno jakby innym człowiekiem, bo mu się twarz rozpogodziła i duch w niego wstąpił.

Z jeńca stał się wolnym, równym innym, i mógł teraz śmiało w oczy patrzeć każdemu. Była naówczas hańbą ucieczka z pola bitwy, jak po wszystkie czasy, ale niewola czei nie odbierała. Ta i najmężniejszego spotkać mogła, przy przemagającej sile. Odzyskując swobodę, rycerz swój pas i cześć miał przywróconą.

Obejście się pana Andrzeja z nim, takie poszanowanie i miłość ku niemu w Dienheimie wzbudziły, iż tegoż dnia poprzysiągł głośno, iż w jego obronie życie stawić gotów.

Od tego dnia też hrabia Kuno lepiej widziany przez wszystkich, sercem do rodziny przystał. Nie bardzo mu się też i wyjeżdżać ztąd chciało, bo go już jako młodego, oczy pięknych dziewczątek wabiły. Choć to tam przystęp był trudny, rozmowa nie łatwa, ale wzrok ma swą mowę i sięga daleko.

Z dnia na dzień odjazd odwlekając, gdy Brochocki też więcej wstrzymywał niż namawiał do zimowej podróży, zwłaszcza, iż w tym roku ciężka była zima, choć spóźniona, pozostał tak Kuno aż do Wielkiej Nocy.

Stał się niemal domowym, bo na łowy ustawicznie razem jeździli i pan Andrzej go jak przyjaciela zażywał, a Dienheim miał czas i języka się potrosze nauczyć.

Przed Wielką Nocą przecież pochwyciła go do jazdy tęsknica, i pożegnawszy się jak z ojcem i matką z Brochockimi, o Kwietniej niedzieli ruszył, nie spowiadając się jak i dokąd. Wszyscy go w domu żalowali, bo już był jak swój, i wesół i usłużny, a jakoś do niego nawykli, choć hrabią Niemcem go zwali. Nawet stary Mszczuj, który najtrudniejszym był i tym Niemcem najgęściej szafował, pogodził się z nim wreszcie, a gdy wyjeżdżał, pobłogosławił go na drogę.

Dziewczęta obie długo za nim przez okna patrzyły. Po odjeździe pusto się jakoś w domu zrobiło. I Brochockiemu jakby czego brakło, ale dawszy raz wolność, wstrzymywać go nie mógł.

Dwa lata potem ani słychu o nim nie było. Starosta tymczasem wojował i gospodarzył, dziewczęta rosły, chłopcy już byli przy chorągwiach.

Starszą córkę zaswatano i wyposażona poszła do zacnego domu, z błogosławieństwem rodzicielskiém. Ofka przy matce została i nie radzi byli ostatniego ptaszka dać z klatki, boby pustką stała smutną.

Późną jesienią tego roku, gdy znowu do domu powrócił Starosta, a wybierał się właśnie na łowy, bo mu o niedźwiedziu szkodniku znać dano, na grobli naprzeciw dworu ludzie postrzegli orszak z kilkunastu koni złożony, który wprost do Brochocie ciągnął.

Żadnych się natenczas gości nie spodziewając Starosta, trochę się tém zdumiał, témbardziej, że orszak okazały wcale, niepospolitego zwiastował.

Dano wnet jéjmości znać, ruszyły się sługi. Starosta do ganku wyszedł, sądząc, że odgadnie kogo Pan Bóg prowadził.

Tymczasem jezdni się ku dworowi zbliżali, a była ich gromada i bardzo pokaźna, i z cudzoziemska to wyglądało, a świetnie.

Jechał jeden z pańska ubrany na koniu dzielnym, za nim dwóch sług zbrojnych, na których stal świeciła jak srebro; dalej pachółków dobrze przyodzianych i orężnych sześciu, wóz podróżny

zagranicznym sposobem zbudowany i para koni powodnych. Starosta narzuciwszy na siebie kożuszek z kun, stał patrząc w ganku, a właśnie w téj chwili ten co przodem jechał, podbiegłszy żywo, wierzchowca osadził.

Krzyknął z podziwienia Brochocki poznając Dienheima, który wesoło z konia skoczył, i z poszanowaniem zbliżył się ku niemu. Pańsko było teraz około dawnego jeńca: odzienie z aksamitu i sznurów złocistych, na szyi łańcuch, pas piękny sadzony, miecz w pochwach złoconych, na głowie czapka z piórem.

Twarz téż rumiana, jasna, tchnęła jakąś radością i swobodą.

— Bogu dziękuję, że cię tak widzę pięknie wyposażonym i żeś o mnie nie zapomniał.

Wprowadził go zaraz do izby, gdzie Staroscina i Ofka z równą go uprzejmością przyjęły. Posłano po Mszczuja, który spoczywał, i ten się stukając toporkiem przywłókł witać. Zgrzano zaraz wina i posadzono gościa, pytając o jego przygody, bo się łatwo domyślić było, iż mu się powiodło szczęśliwie.

Począł je zaraz opowiadać Dienheim.

Z Brohocina wyjechawszy, w istocie jak mu radzono na dwór cesarski się udał, dla służby

i dla użalenia się na brata, który go z ojcowizny wyrzucił, a nic mu dać nie chciał.

Pozwany został starszy przed trybunał cesarski, ale się nie stawił. Tymczasem, gdy się nań zbierano, aby siłą krzywdę pomścić, zwadziwszy się z sąsiadem ów brat, w zasadzce nocnej zabity został. Wdowa po nim, choć dzieci nie było, dobrawszy sobie szlachcica, który za życia męża koniuszym u nich był, z zamku i posiadłości wyrugować się dać nie chciała. Rościła do nich pretensye za summy jakieś, które wniosła, ale o nich tylko pargaminy podejrzone świadczyły, bo w istocie ubogą będąc, grosza nie miała. Przyszło tedy Dienheim zdobywać siłą, a że Kuno sobie przyjaciół na dworze cesarskim zjednał, a na zamku miał swoich dawnych, udało się podstępem wedrzeć i wdowę z jej nowym małżonkiem uchwyciwszy, pozbyć się ich na zawsze.

Do swojej posiadłości ojcowskiej powróciwszy, sownie przytém nagrodzony przez cesarza za rycerskie usługi, Dienheim był teraz możnym panem, który już nikomu oprócz cesarzowi służyć nie potrzebował.

Na przyjęcie osobliwego gościa sprosił zaraz Starosta sąsiadów, wyprawił łowy i dawnego jeńca podejmował z gościnnością szczerą.

Szlachcic mu się téż teraz wielce podobał, bo się na dworze otarł i śmiałości a humoru nabrał. Mszczuj mu stary téż do zarzucenia nic nie miał, oprócz, że taki Niemcem był, choć herb ten sam co Brochoccy nosił, o którym i legendę przywiózł z nad Renu, iż się były dwie rodziny przed wieki jeszcze pokumały.

Mszczuj nie bardzo temu chciał wierzyć: w jego przekonaniu między dwoma plemionami żadnej spółki być nigdy nie mogło, bo stworzone były, aby się wzajem gryzły a zajadały.

— Tego grzechu pierworodnego—szeptał stary z za wąsów—żaden chrzest nie zmyje. Że niezły sobie z niego niemiaszek, to prawda, ale cóż gdy Niemiec?

Gościna się jakoś przeciągnęła długo, bo to czas był samych łowów, a zwierza mnóstwo.

Szły tygodnie za tygodniami, o wyjeździe nie było słyhu. Co się Kuno niby zbierać poczynał do powrotu, Brochocki wstrzymywał i jechali w puszcze i siedzieli u komina i opowiadali sobie rycerskie dzieła, którym i kobiety się przysłuchiwały rade.

Aż starościna raz do męża zafrasowana przyszła, szepcząc mu w ucho, że coś Ofka na hra-

biego, a on na nią zbyt często patrzył, i że po kątach z sobą szeptali.

Starosta ramionami ruszył, przecząc, aby co podobnego na myśl przyjść mogło dziewczęciu i gościowi.

Ciągnęło się tak znowu, tylko Starosta pilniej na dziecko uważał, a zachmurzył się dostrzegłszy, iż w istocie coś było. Nie rzekł nic, ale pomyślał, że gdy Kuno jechać zechce, wstrzymać go nie będzie.

Pół-żartem, pół na prawdę wszczęła się u kamina rozmowa o różnych małżeństwach. Stała i Ofka za krzeselkiem jójmości i słuchała.

Starosta głośno i dobitnie rzekł, że córki-by nie dał nikomu, choćby królewiczem był, tylko własnemu rodakowi: obcemu za nic.

Nie spostrzegli jak dziewczę i hrabia ukradkiem ku sobie spojrzeli i rozmowa przerwana została.

Pochmurniał Kuno, przy wieczerzy był milczący, o wyjeździe coś począł, nie proszono go już—i to coś znaczyć miało. Poczęto więc nazajutrz do podróży się sposobić.

Starościna spostrzegła nazajutrz na oczach córki ślady łez wodą zimną zamytych; dziewczę się

tłómaczyło, iż z komina dymiło i dym piękne oczki wygryzał.

Trzeciego dnia o świcie, gdy jeszcze Starosta spał, wbiegli go zbudzić ze straszną wieścią, że hrabiego niestało, a z nim córka uciekła.

Co żyło na koń siadło do pogoni. Matka we łzach ręce łamała na progu. Mszczuj kijem w podłogę bijąc, Niemca przeklinał, Brochocki krzyczał, iż żmiję odgrzał na piersiach.

Nie pomogły pogonie. Przyszły w tydzień listy, iż się hrabia z Ofką ożenił w Krakowie i o przebaczenie błagał.

Nie było już co innego do czynienia, tylko błogosławić. Tak się téż stało. Wysłano, aby wracali. Padli oboje w ganku do nóg rodzicom, którzy się popłakali... Mszczuj milczał.

— Co się stało, odstać się nie może—rzekł Brochocki.—Przeznaczoném znać było, żeby się te rody z sobą łączyły: dziej się wola Boża.

Mszczuj tylko na to nastawał, aby i kropla krwi polskiej nie wsiąkła w niemiecką, żeby do nazwiska Dienheimów dodać Brochockich, i żeby z nad Renu się wynieśli, a bliżej rodziców mieszkali. I puścił im później Starosta dobra znaczne, a ów zameczek nad Renem powoli upadał, i wnuki



pono już się go pozbyły, bo tam oprócz ptastwa i kun nikt już mieszkać nie mógł. Stoi to jeszcze dziś malowniczą ruiną, a o złej bratowej rybacy opowiadają przerobioną powieść, do której co pół wieku coś przybywa... jak na drzewie starém coraz nowa gałąź wyrasta.

K O N I E C.



**INSTYTUT  
BADAŃ HISTORICZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-880 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**







F  
1686

2